

W POPRZEK SYBIRU

DOBRE KSIĄŻKI  
DLA MŁODZIEŻY

SERJA DRUGA



REDAKTORKA  
I WYDAWCZYNI J. MORTKOWICZOWA  
ADMINISTRACJA: T-WO WYDAWNICZE  
WARSZAWA MAZOWIECKA 12 TELEFON 244-14



428048

1-1

TADEUSZ DYBCZYŃSKI

W P O P R Z E K  
S Y B I R U

POWIEŚĆ PODRÓŻNICZA

5. f



MCMXXVIII

WARSZAWA KRAKÓW

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

NAKLAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE



204



882710

DRUKARNIA NAUKOWA T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE  
RYNEK STAREGO MIASTA 11

W. 44 / 2004

## SŁOWO WSTĘPNE

*Autor niniejszej powieści bawił w 1915 — 1917 r. jako zesłaniec polityczny w kraju Narymskim, potem w Tomsku na Syberji, skąd go uwolniła dopiero rewolucja, obalająca carat i wkrótce sama obalona przez bolszewizm. Oderwany przemocą od Ojczyzny, której zręby niepodległości w tym czasie wykuwała ofiarna krew jej synów i kombinacje polityczne światowych potęg, tęsknił za Nią, nie mogąc wrócić, myślą tylko biegnąc ku Niej szlakiem, scharakteryzowanym w powieści, której treść, wysnuta zresztą z fantazji, oparta jest na istotnym fakcie areztowań i wysyłki z kraju polskiej młodzieży harcerskiej przez Moskali, opuszczających wówczas już na zawsze naszą stolicę. Autor pragnął w powieści przedstawić trudy życia więziennego, których zaznawał przez półtora roku, zanim był etapem zesłany w tajgi*



Sybiru, — cechy samego etapu a, dalej—przyrodę i życie w tym wielkim, mroźnym i niegościnnym kraju, co stał się mogiłą tylu tysięcy naszych rodaków przez półtorawiekowy okres naszej podległości wschodniemu barbarzyńskiemu zaborcy.

Dziełko to, pisane w swoim czasie z współczucia dla owej młodzieży harcerskiej, uwięzionej bez racji i celu, za to jedynie, że czuła się polską i w przelomowej chwili dla Ojczyzny pragnęła oddać Jej wszystko, co miała najdroższego, bo życie własne, niechaj poświęcone też będzie owej młodzieży.

Młodsze, późniejsze pokolenia — w bohaterach tej powieści mieć będą wierny obraz ducha i części żywota owych harcerzy. Tłem zaś będzie daleka i obca a olbrzymia kraina, która, choć trwogą przejmowała naszych ojców i dziadów, żadnemu z ich pokolenia nie pozostawała jednak obcą, bo tak, jak i autor, — wbrew swej woli znajdowali się w niej na dłużej lub krócej zestani i byli w niej trawieni ogniem tęsknoty za Polską...

Autor

Warszawa 26.XI 1925.

## W WIĘZIENNEJ CELI

Wieczór się zbliżał.

W niewielkiej ciemnej celi o zakratowanym okienku, tak wysoko umieszczonem, że wspiąć się doń nie było można, na narach, zajmujących połowę całej przestrzeni, siedziało w milczeniu dwóch chłopców, trzeci zaś przechadzał się nerwowo, co pięć kroków zwracając skutkiem ciasnoty. Okute drzwi z maleńkim otworkiem, przez który często na chłopców spoglądał dozorca z korytarza, zaryglowane były grubemi żelaznemi sztabami i zamknięte na olbrzymią kłódkę.

Poprzez umieszczone wysoko nad drzwiami również szczelnie zakratowane okienko mdłe światło słabo świecącej lampki rzucało bladawe smugi na sufit.

Niezmiernie ponuro było w tym więziennym kącie, jeszcze bardziej ponuro w duszach chłopców.

Wyrwani niespodzianie ze swych domów, od rodziców i najbliższych, w ową pamiętną noc, gdy przed opuszczeniem Warszawy przez Moskala

„ochrana“ masami aresztowała młodzież szkolną i pędziła w głąb Rosji, — znaleźli się oto w sercu tego kraju, w tysiącocerkiwnej Moskwie.

Już od dwóch miesięcy siedzą w tej celi, nie wiedząc, co się z nimi stanie. Nikt ich nie wzywa dotąd na śledztwo, nikt nie powiada, czego chce od nich, za co więzi. Ta niepewność co do najbliższej nawet chwili, to uczucie, że się jest gnębnym za to chyba tylko, że się było harcerzem polskim, — męczy chłopców strasznie. Ze smutku, zresztą od niewygód i głodu, zmizernieli, rozdenerwowali się bardzo. Gdyby nie to, że są harcerzami, doprawdy, trudnoby im było panować nad sobą dłużej i nie poddać się zupełnemu zwątpieniu i rozpaczcy.

Przechadzający się przystanął nagle i rzekł:

— Wiecie: ja myślę, że nas chyba wkrótce uwolnią... Nie wzywają tak długo na badania... Niepodobna też przecie, żeby się o nas nikt nie upominał, nikt się nie starał.

Milczenie było odpowiedzią na te słowa. Przygnębieni koledzy nie mieli co odpowiedzieć.

Stefan Tęczyński popatrzył na nich przez chwilę, ale widząc, że napróżno czeka na odpowiedź, znów rozpoczął przyspieszonym krokiem swoją wędrówkę po celi, pogwizdując tylko zcicha znaną Mickiewiczowską pieśń:

*Nie dbam, jaka spadnie kara:  
Mina, Sybir czy kajdany,  
Zawsze ja, wierny poddany —  
Pracować będę dla cara...*



Był z nich wszystkich najpoważniejszym i jedynym ze starszych, bo plutonowym w drużynie harcerskiej, do której wspólnie należeli, nie poddawał się też smutkowi tak bardzo, najmniej czarno patrzył w najbliższą przyszłość. Zaczynał szesnasty rok życia, będąc uczniem szóstej klasy jednego z prywatnych gimnazjów warszawskich. Wzrostu dość słusznego, silnej budowy i zdrowia, blond włosów i niebieskich myślących oczu o łagodnym wyrazie.

Myśl jego teraz przeniosła się daleko.

Na zachód — ku Warszawie, gdzie zostali jego rodzice, zrozpaczeni losem, jaki go spotkał, na wschód, — w głąb tajg sybirskich, gdzie w jednej z odludnych a dalekich miejscowości Narymskiego kraju\*) przebywał już przeszło od połowy roku zesłany tam na pięcioletni pobyt starszy brat jego rodzony, Tadeusz.

— Ja tam zupełnie straciłem nadzieję! — po długim milczeniu odezwał się młodszy z siedzących, chłopiec lat czternastu zaledwie, choć wzrostem niemal dorównywujący Stefanowi, a z wyglądu zdradzający żywe usposobienie.

— Czemu to, Kaziu?! — zapytał Stefan, przystając.

Kazio Sobieniecki nic nie odpowiedział, powstał tylko z nary, gładząc swą ciemnową czuprynę i również zaczął się przechadzać.

---

\*) Kraj Narymski zajmuje całą północną część olbrzymiego powiatu Tomskiego, po obydwu stronach Obi.

— Czyś i ty także zwątpił we wszystko? — zapytał po chwili Stefan, zwracając się do trzeciego.

— Ja tam myślę tylko o tem, czyby stąd nie udało się w jakiś sposób zwać — odpowiedział pocichu zapytany Staś Krauze, tak się bowiem nazywał, kolega szkolny Kazika, chłopiec drobnej budowy, wąty napozór, nieco tylko młodszy od Tęczyńskiego, innego niż Kazio usposobienia, powolniejszy, za to wytrwalszy, zamiłowany przyrodnik, amator wojskowości, myśliwstwa i podróży.

Na te słowa Staszka Stefan i Kazik przystanęli na chwilę. Pomysł Krauzego podobał im się.

— Tak myślisz? — zapytał Kazik.

— Warto nad tem pomyśleć! — odrzekł Stefek.

— Myślę nad tem od dnia, w którym znaleźliśmy się tu! — powiedział Staszek, — ale nie mogę dotąd obmyśleć sposobu...

— Tak, to trudna sprawa — potwierdził Stefan.

— Może się jednak coś wymyśli... — wtrącił Kazik, przechodząc ze stanu przygnębienia, w jakim się przed chwilą znajdował, ku otusze i radości.

— A więc myślmy o tem wszyscy trzej! — rzekł Stefek.

I znów celę zaległa cisza, przerywana miarowym stukotem trzech chodzących przyjaciół, echem zwolna spacerującego po korytarzu dyżurnego dozorcę więziennego, skrzypieniem gdzieś w oddali otwieranych drzwi.

Noc jednak w końcu zwyciężyła.

Znużeni myśleniem i chodzeniem chłopcy rzucili



się o północy na gołe nary, przykrywając własnymi paltami, oparli głowy na improwizowanych ze zdjętych bluz poduszkach. Brudnych więziennych sienników, pełnych robactwa, od pierwszego dnia woleli wcale nie używać...

Obudził ich nie świt, lecz zwykła ranna ceremonia dozorczy, zmuszającego porządkować celę, dostarczającego wody gorącej na herbatę, pytającego się wreszcie, co w danym dniu kupić do jedzenia za przypadające pieniądze.

Zbliżyło się południe.

W celi było duszno. Otwarte okienko niewiele odświeżało powietrze, chłopcy pocieszali się tylko, że po obiedzie, t. j. gdy minie południe, wolno im będzie pójść na godzinę pospacerować po więziennem podwórzu. Ze spacerami temi, odbywanymi w każdy pogodny dzień, wiązali zresztą nadzieję ucieczki, bo o wyrwaniu się z celi bezpośrednio nie mogło być mowy.

Zaskrzyphiał też wkońcu klucz w kłódce, zamykającej celę chłopców i otwarły się drzwi. Myśleli że iść mają na spacer.

Zobaczyli jednak wkraczającego otyłego o zwierzęcem prawie spojrzeniu starszego dozorcę z jakimś papierem w ręku.

Zdziwieni — spojrzeli na siebie... Serca im silniej zabiły.

Dozorca głosem rozkazującym, odczytawszy ich nazwiska, polecił zabrać wszystkie rzeczy i iść za sobą. Zdumienie, połączone z radością, a zarazem obawą, ogarnęło przyjaciół.



Gorączkowo rzucili się do rozłożonych na narach swych ubrań i różnych drobiazgów, zwinęli je momentalnie w węzłki i, zarzuciwszy na plecy palta, bez słowa, ostatni raz rzuciwszy okiem na celę, z którą, zdawało się, że się już zrośli, — wyszli z dozorcą na korytarz, zeszli po schodach na dół, wreszcie znaleźli się w kancelarji więzienia przed biurkiem naczelnika.

Naczelnik popatrzył na nich przez chwilę, a potem, biorąc do ręki jakiś papier, odczytał zarządzenie gubernatorskie, mocą którego, mieli wszyscy trzej udać się na zesłanie do kraju Narymskiego. Dodał, że właśnie za chwilę etap odchodzi, nie będą więc długo czekali. Nadmienił przytem, że czeka ich pewna miła niespodzianka...

Odczytanie tego wyroku wywołało dziwne uczucia w duszy chłopców. Wszystkim jakby ulżyło, bo dowiedzieli się nareszcie, co ich czeka. O zesłaniu na Sybir mieli przecie jakie takie pojęcie. Ale każdego z nich lęk zarazem ogarniał, gdy uprzytomnili sobie, że pojedą słynnym „etapem“!...

Kazik, gorący, trząśł się wprost ze wzruszenia. Staszek uśmiechał się z filozoficznym spokojem. Stefka pochłonęła myśl spotkania się z bratem który też „administracyjnie“ zesłany został już dawniej na Sybir, przesiedziawszy pierwej pod śledztwem półtora roku w więzieniu. Gdy połączą się tam, — o, — wtedy potrafią dać sobie radę: przebiedują jakiś czas, ale wkońcu muszą uciec! Przecież łatwiej stamtąd, niż z więzienia...

Po chwili wprowadzono chłopców na podwó-

rze. Stało tam już ze dwadzieścia osób. Starsi i młodszy, mężczyźni i kobiety, — wszyscy, znać, że nie miejscowi. Dźwięki ich mowy przekonały zresztą chłopców wkrótce, że mają przed sobą przeważnie rodaków.

W tej zbitej gromadce, którą otaczało kilkunastu zdaleka rozstawionych konwojujących żołnierzy z karabinami, zauważyć było można wśród kilkorga niewiast, dwie kilkunastoletnie dziewczynki dużo lepiej odziane. Ledwie Kazik rzucił okiem w tę stronę, wydał okrzyk i, wyrwawszy się z pośród zdumionych kolegów, rzucił się ku owym dziewczynkom.

W jednej z nich poznał swą o rok starszą siostrzyczkę Jadzię, również harcerkę, którą widać po nim wkrótce również aresztowano, a on do tej pory o tem wcale nie wiedział, z tajemniczej zaś zapowiedzi naczelnika więzienia trudno było czegoś podobnego się domyślić.

Zbiedzona nieszczęściem dziewczynka, wzrostem dorównywująca Kazikowi i bardzo do niego podobna, z nieco starszą przyjaciółką swą Zosią Mirską stała między kobietami. W biegnącym ku niej chłopcu, odrazu poznała brata. Nim zdołała jednak wyrzec bodaj słowo, Kazik przypadł już do niej i ściskając pytał:

— Jadziuniu! I ty tutaj?! Więc i ciebie zabrali?!

Zrobiło się na chwilę zamieszanie w gromadce. Więźniowie otoczyli kołem parę rodzeństwa, ale konwój nie pozwolił na dłuższe gawędy. Usta-



wiono wszystkich w szeregi, i za chwilę wyprowadzono poza mury więzienia.

Jadzi z przyjaciółką nie pozwolono iść razem z chłopcami. Musiały podążać obok kobiet w ostatnich czwórkach „etapu“. Serca im tylko radowały się teraz, że nie same z obcymi idą w kraj daleki, lecz, że oto jedna spotkała brata, a obiedwie w chłopcach — druhach mają bezwątpienia obrońców i opiekunów.

Kazik nie posiadał się z radości. Staś rozglądał się uważnie okiem podróżnika. Stefek się zadumał. Patrzył też na miasto. Budziło ono w nim smętne refleksje. Oto gród ten składał ongiś hołd królowi naszemu, oddał mu swe klucze, królewicza na tron swój zawezwał. A dziś... Prócz tych myśli nasuwała się Stefkowi inna jeszcze: jak ma on, jako starszy, jako kierownik przygodnego zastępu harcerzy w tych szczególniejszych warunkach roztoczyć należyłą opiekę nad swymi młodszymi druhami i druhnami? Obawiał się jednego najbardziej: rozłączenia. Wiedział też, że zwłaszcza dziewczynki będą w drodze narażone na wiele niebezpieczeństw i nieprzyjemności.

Przechodnie na ulicy, jakkolwiek przyzwyczajeni już do widoku ludzi, pędzonych przez miasto w asyście konwoju wojskowego, stawali zdumieni i długo patrzyli za gromadką, wśród której obecność pięciorga młodzieży rzuciła się jaskrawo w oczy i jakby wołała o pomstę do nieba, bo znać byto z wyrazu ich twarzy wynędzniałych przez niedolę, lecz tem więcej uszlachetnionych,



że to nie zbrodniarze, nie wyrzutki społeczeństwa, lecz młodzi bojownicy idei, których już niemało przez Moskwę na Sybir z Polski przepędzono; że to prawi i godni potomkowie tych, co ongiś walczyli orężnie, na sztandarach swych z Białym Orłem mając wyszyte pamiętne słowa: „za naszą wolność i waszą!”

## II

### NA WYGNANIU

W dalekich głębiach tajgi, mniej więcej o pół tysiąca kilometrów na północ od miasta Tomska w Syberji, nad brzegami przepływającej w głębokim jarze niewielkiej rzeczki Ponigadki, dopływu potężnej Obi, o dwa niespełna kilometry od tej ostatniej rzeki leży, z jednej strony pierwotnym nieprzebytym borem, z drugiej niezmiernie prawie dla oka pustkowiem okolona, dość znaczna wieś, zwana w języku pierwotnej ludności miejscowej, Ostjaków, — Kargasok, co ma oznaczać „niedźwiedzi przylądek”.

Wieś liczyła przeszło trzy setki stałych mieszkańców, nadto przebywało w Kargasoku zwykle kilkudziesięciu zesłańców politycznych, ostatnio zaś, z powodu wojny, przeszło setka jeszcze różnego rodzaju zesłańców administracyjnych bez określonego terminu pobytu.

W jednym z krańcowych domów głównej części Kargasoka zamieszkiwał już od kilku miesięcy Tadeusz Tęczyński.

Zajmował wielki, o pięciu oknach pokój na piętrze, urządziwszy się w nim, jak na miejscowe warunki, dość znośnie. Za pokój wraz z całkowitym opałem płacił gospodarzowi, zamieszkałemu na parterze tegoż domu, zaledwie dwa ruble miesięcznie.

Z okien miał widok na wieś z jednej strony, z drugiej na olbrzymie pustkowie, rozciągające się poza rzekę ku wschodowi wzdłuż widniejącej zdaleka wstęgi Obi i szarzejących smug lasu na horyzoncie.

Pustkowie te z wiosną przez wylew rzeki i topnienie śniegów zamieniały się w bezbrzeżne morze, latem służyły za pastwiska. Z końcem kwietnia zazwyczaj, gdy wody już opadną, mieszkańcy Kargasoku celem użyznienia gruntu podpalają pozostałe z zeszłego roku zeschnięte trawy. Na pogorzelskich w niedługim bardzo czasie wykwita bujne życie. Wyrastają nanowo olbrzymie trawy, zamieniając całą przestrzeń w prawdziwy step. Widok podczas owych wypałów wspaniały.

Tęczyński podziwiał te sztuczne pożary, nocą rzucające krwawe łuny na całym horyzoncie i przypominające obraz palących się preryj amerykańskich, tak znany mu za młodu z dzieł Mayne-Reid'a i innych w tym rodzaju autorów dzieł podróżniczych dla młodocianego wieku, którymi się Tęczyński niegdyś „ zaczytywał“. A choć wówczas pragnął zaznać podobnych przygód, jakie spotkały bohaterów owych powieści, nie przypuszczał, że los go później zawiedzie aż w te dalekie strony

i nasunie dość przejść i wrażeń, nie ustępujących pod żadnym względem opisywanym w tych powieściach.

Tęczyński nie był zadowolony z miejsca swego pobytu. Po pierwsze — czuł się więźniem — i to go męczyło. Po drugie, choć jako przyrodnik, dużo mógłby tutaj mieć materiału do obserwacji i badań — w zakresie swojej specjalności nie znajdował jednak prawie nic... Był geologiem. Jakże miał mieć pole tutaj dla siebie, jeżeli w całym Narymskim kraju, oprócz znajdujących czasami gdzieś — nigdzie w dyluwjalnych napływach brzegowych Obi resztek kości mamutów — nie mógł znaleźć ani jednego kamyczka? A zresztą nawet poza obręb gruntów Kargasoka nie wolno mu było się ruszyć...

Ale cóż było robić? Odbywał więc tylko wycieczki po najbliższej okolicy, nawiązał jakieś takie stosunki z niektórymi ze swoich towarzyszy niedoli, zresztą pracował piórem. Ze światem łączyła go do niedawna jeszcze utrzymywana korespondencja z domem rodziców. Z chwilą zajęcia Warszawy przez Niemców i to się przerwało. Odcięty był całkowicie od wszystkich, bo nie miał nikogo ze znajomych w Rosji.

To też niezmiernie był zdumiony, gdy pewnego dnia przyniesiono mu list z pieczętką poczty samarskiej. Popatrzył nań, starając się odgadnąć, ktoby mógł do niego stamtąd pisać. Serce mu silnie zabiło, gdy poznał na kopercie charakter pisma swego brata Stefka.



Stefan Tęczyński, znany nam już z poprzedniego rozdziału, donosił bratu, że z czwórką swych przyjaciół zdąży właśnie ku Syberji, w te same co Tadeusz strony, nie wie jednak, czy się z sobą zobaczą.

— Czy się zobaczą?! — westchnął smutnie Tadeusz. — Skądże się jednak wzięli Stefan w Samarze?

Spojrzał raz jeszcze na kopertę i natychmiast zrozumiał wszystko. Na boku adresu czerwona pieczętka głosiła: „przejrzany przez prokuratora“.

Więc brat jego aresztowany! I jego czeka kraj Narymski!

Wiadomość ta silnie wstrząsnęła Tęczyńskim. Rozmaite myśli, nasuwające się błyskawicznie, wyprowadzały go prawie z równowagi duchowej, której już doczekał się przecie, mieszkając z górą pół roku w spokoju i ciszy sybirskiego odludzia po dniach więzienia i niewoli tułaczey etapów.

Nie wiedział, co z sobą robić.

Obok niezmiernego smutku, że jego ukochany brat popadł w takie nieszczęście, uczuwał zarazem jakąś nadzwyczajną radość, że zobaczy się z nim wkrótce, bo nie wyobrażał sobie, aby mogło być inaczej. I to ostatnie uczucie — radości — wzięło wkrótce górę.

Tadeusz nagle ochłonął, rozjaśnił twarz uśmiechem zadowolenia, narzucił czapkę na głowę ze zwieszającą się od niej drobniutką siatką, którą trzeba w tych stronach latem szczelnie zasłaniać twarz przed miliardami komarów i maleńkich muszek, nie dających spokoju żadnej ciepłokrwistej

istocie—założył rękawice dla tej samej przyczyny, wziął laskę i wybiegł z pokoju.

Zwykle, ilekroć pragnął uspokoić swe nerwy lub spotęgować dobry nastrój w sobie, porzucał robotę i ruszał do lasu.

I tym razem pobiegł szukać tam tła, na którym łatwiej przyszłoby mu tkać przedzę wyobraźni z powodu otrzymanego listu. Nie poszedł jednak w stronę, gdzie najbliższej zaczynała się tajga: tu wielkie bagniska nie pozwalały wędrować głębiej w gąszcz boru. Bliskość rzeki, kępy sitowia i mchów, wśród krzywych brzóz i olch nie miały dla Tęczyńskiego w tej chwili powabu. Pragnął on teraz znaleźć się w prawdziwej tajdze, w głuchym, dziewiczym mateczniku, z potężnych majestatycznych limb tutejszych złożonym, a nie w jakimś lasku o skarłowaciałej i przeredzonej roślinności.

Biegł też prawie, nie szedł przez wieś, nie oglądając się na nic, nie odpowiadając prawie na pozdrowienia spotkanych po drodze paru znajomych. Za ostatnim domkiem wsi skręcił nieco na prawo.

Drożyna, ledwie widoczna na piasku, wiodła tu poprzez kilka niewielkich pagórków do boru, który już zdaleka czernił się wyraźnie i zaznaczał z od dali poważny swój wiek i urok puszczy prawdziwie pierwotnej.

Jeszcze zimą, w lutym i marcu, gdy śnieg dwumetrową warstwą pokrywał całą przestrzeń wokoło, przy dwudziestostopniowym mrozie, Tęczyński, odpowiednio odziany, chodził nieraz tutaj na spacer. Tylko udeptanemi głęboko drożynami wśród

śniegu można było wówczas wejść nieco w puszcze, na ćwierć lub pół kilometra najdalej. Drożyny te, jedne od sań, któremi zwożono z lasu do wsi drzewo, inne — udeptane przez mieszkańców wsi, którzy zapuszczali się w bór celem zastawienia sidła na popielice, często kończyły się raptownie. Jeden krok dalej, a można było zapaść się z głową w śnieg. To samo nieraz spotykało Tęczyńskiego, gdy niebacznie zeszedł w bok drogi.

Na gałęziach rozłożystych limb (*Pinus cembra*), z których cały las w tym miejscu był złożony i tylko w niższych, wilgotniejszych miejscach zastąpiony przez brzozy (*Betula verrucosa*), śnieg leżał warstwami, często metrowej grubości, obciążając niepomiarne gałęzie, pokryte mnóstwem białych, żółtych, a nieraz i czerwonych, zwieszających się jak lłany w puszczech zwrotnikowych — porostów (*Usnea barbata*). Gałęzie te, wstrząśnięte nieraz zlekka, zasypywały śniegiem przechodzących pod nimi.

Często obok ścieżki widać było pod jakąś wynioślejszą limbą misternie rozstawione „samolówki“ na tutejszych przedstawicieli fauny, dostarczających futer. Niejednokrotnie Tęczyński znajdował w takich samolówkach chwytaną i skamieniałą od mrozu wiewiórkę syberyjską, t. zw. popielicę (*Sciurus vulgaris* var. *sibiricus*), raz nawet rzadziej trafiającego się, ale jeszcze pospolitego w tych stronach bielutkiego z czarnym ogonkiem gronostaja (*Putorius ermineus*).

Teraz bór inaczej się przedstawiał.



Powłoki śnieżnej nie było jeszcze. Martwość i ciszę zimową zastępował nieustanny świst szleszczących gałęzi, głosy nielicznego zresztą ptactwa, mnóstwo innych przytem poszumów zdala, z bezdennych przestrzeni tej jednej z największych puszczy świata, przeszło dwa tysiące kilometrów długiej, a z siedemset szerokiej.

Tęczyński doszedł do pierwszych limb i przystanął nieco. Zaczął wchłaniać w siebie żywiczną woń lasu, podziwiać cudną harmonję barw, która na szczytach drzew zagrała od purpurowych promieni zachodzącego słońca.

Myśl jego przeniosła się daleko.

Dalej niż tam, gdzie skrywające się słońce rzucało ostatnie szkarłatne swe blaski w złotej aureoli zielonawo-fioletowawego ciemniejącego zwolna niebosktonu. Najprzód tam, poza Ural, nad Wołgę gdzieś, gdzie w danej chwili znajdował się może jeszcze Stefek, później jeszcze dalej, hen ku Wiśle do Warszawy.

Gdyby nie zachód słońca, Tęczyński poszedłby w głąb boru, błąkałby się wśród znanych mu drzew i krzewów, piął się po zwalonych próchniejących pniach, przedierał przez brzoźowe gąszcze. Nadchodzący wieczór, trzykilometrowa przeszło odległość od mieszkania, obawa wreszcie przed spotkaniem się w lesie z pospolitym tu burym niedźwiedziem (*Ursus arctos*), wstrzymała go jednak od dalszego spaceru. Wolnym krokiem zawrócił i szedł, zcicha pogwizdując jakąś piosenkę.

W niespełna godzinę znalazł się znowu u siebie.

Kiedyindziej zasiadłby do jakiejś pracy, do czytania, poszedłby może do kogoś ze znajomych z wizytą. Dziś nie czuł się do tego usposobionym.

Posiliwszy się dwiema szklankami mleka z chlebem, gdyż był to zwykły jego ranny i wieczorny posiłek, zdjął ze ściany gitarę i przy akompaniamencie zaczął nucić sobie różne piosenki.

Była to jego najmiłsza rozrywka w tem dalekiem ustroniu. Śpiewane piosenki wywoływały obrazy minionej lepszej przeszłości. Przenosił się wówczas w te czasy niedawne a tak różne od obecnych, w te miejsca, które mu były tak bliskie, a do których stąd tak teraz było daleko.

### III

## ETAPEM

Przeszło trzy doby trwała jazda gromadki naszych harcerzy z Moskwy do Samary. Jechano pociągiem towarowym, na stacjach większych, a szczególnie węzłowych, wyczekiwano długie godziny. Konwój odpoczywał, część jego rozpraszała się po mieście i trzeba było czekać jego powrotu. W Syzranii oczekiwano prócz tego większej partji etapowej, jadącej z Tuły, gdzie był koncentracyjny punkt dla etapów z zachodu i południa Rosji. Te zatrzymywania męczyły okropnie chłopców, a jeszcze bardziej nasze harcerki. Szczęściem, naczelnik konwoju, dość poczciwy podoficerzyna, miał pewien wzgląd na nie i na bardzo uprzejmą prośbę Stefka pozwolił im wraz z trze-

ma jeszcze jakimiś kobietami przejść do tego samego wagonu, co chłopcy. Były niezmiernie z tego zadowolone.

Zaznaczyć trzeba, że uprzejmość prośby Stefka polegała właściwie na tem, że obiecał po przyjeździe do Samary dać owemu starszemu konwojowemu rubla... Obiecał, bo na etapie pieniędzy przy sobie mieć nie wolno, można wieźć ze sobą najwyżej tylko 99 kopiejek i to złożone w ręce naczelnika konwoju. Ponieważ na życie codziennie otrzymywano pieniądze, a więcej starano się nie wydać, nie było zresztą na co, bo żywiono się tylko herbatą i chlebem, „naczelnik“ mógł być pewny, że obiecanego rubla zdoła otrzymać. Dla Stefka zaś ten rubel teraz niewiele znaczył. Szło zresztą o poważną sprawę. Chłopcy, prawda, nie mieli większych sum żadnych wogóle, dziewczynki miały prawie po sto rubli każda, ale pieniądze te, zwyczajem etapowym, były z Moskwy już wysłane wprost do Tomska, do więzienia, gdzie miał się skończyć „etap“. O przyszłość nie troszczono się, chodziło głównie tylko o możliwe najlepsze przetrwanie etapu.

Teraz też dopiero Kazik mógł się dowiedzieć szczegółów o aresztowaniu i wysyłce Jadzi, a wszyscy chłopcy — wogóle o całej sprawie aresztowań harcerstwa, dziewczynki bowiem jak się okazało, były aresztowane dopiero w dwa dni później po chłopcach. Najbardziej jednak chłopców ucieszyła wiadomość, że rodzice wszystkich aresztowanych poczynili natychmiast wszelkie możliwe kroki



w celu ich oswobodzenia, że sprawą tą zajęło się grono adwokatów w Warszawie i że całe społeczeństwo polskie jest nią poruszone do głębi.

Jakkolwiek Kazik i obaj pozostali chłopcy od samego początku aresztu nie wątpili, że poczyniono starania o ich uwolnienie, to jednak potwierdzenie tego przypuszczenia było dla nich niezmiernie radosną wieścią. Polepszyły się jeszcze bardziej ich humory, gdy Mirska, upatrzywszy odpowiednią chwilę, podała Stefkowi, wydobyty z głębokiego ukrycia jakiś papierek.

— Co to takiego? — zapytał zdziwiony Stefan.

— List od mego tatusia! — odrzekła Mirska.

Stefan zaczął gorączkowo czytać, osłoniiony stosownie przez przyjaciół. List był napisany na małym kawałeczku papieru i drobnymi literami.

Moskwa, d. 29 sierpnia 1915 r.

*Droga moja Zosieńko!*

Nie upadaj na duchu! Odnalazłem Cię i będę czuwał nad Tobą, choćby mi przyszło, nie wiem co zrobić i dokądkolwiek jechać. Staram się zapomocą wszystkich możliwych dla mnie środków uwolnić Cię. Tymczasem będę się starał o ulgi dla Ciebie w więzieniu. Dowiedziałem się, że siedzisz razem ze swą przyjaciółką — i o niej nie zapomnę. Na wszelki wypadek zostawiam dla Was po sto rubli u naczelnika więzienia, ma to pewne znaczenie i w stosunku do niego. Przy najbliższej sposobności będę się starał przesłać Ci tą samą drogą drugi list. Bądź zdrowa i nie martw się, nie upadaj na duchu, nie zapomnij, żeś Polką! Całuję Cię i ściskam serdecznie.

*Twój kochający Cię ojciec Janusz.*

Zwracając ostrożnie przeczytany list, pomyślał Stefek, że teraz już wszystko dobrze, kiedy pan Mirski „czuwa“, bo Janusz Mirski był osobistością dość znaną w Warszawie. Z amatorstwa podróżnik i energiczny kupiec, w zamorskich krajach dorobił się znacznej fortuny, a wycofawszy się z handlu kupił majątek i w nim pomyślnie gospodarował. Treść listu Stefek naturalnie zaraz zakomunikował Kazikowi i Staszкови.

— Druhno Zosiu — zapytał po chwili — w jaki sposób otrzymaliście ten liścik?

Zosia Mirska, rozejrzawszy się wokoło, czy kto nie słuca, przyciszonym głosem odpowiedziała:

— W przeddzień naszego wyjazdu z Moskwy list ten rzucił mi do celi przez okienko z korytarza któryś ze strażników więziennych.

— Ja myślę — dodała po chwili Zosia — że tatuś z pewnością już wie, że wyjechałam i dokąd jędziemy...

— Kto wie, czy w jakim najbliższym pociągu nie jedzie nawet za nami! — dorzuciła Jadzia Sobieniecka.

— To bardzo możliwe! — potwierdził Stefek.

— Jestem tego nawet pewny! — wykrzyknął z przekonaniem Krauze.

— O, jakby to było dobrze! — wykrzyknął Kazik — przecież jakoś bezpieczniej czulibyśmy się i wogóle, myślę, że p. Mirski, uwalniając druhnę Zosię, z pewnością i o nasby nie zapomni...

— Ależ, ma się rozumieć! — zapewniała Zosia. — Nie znacie mego tatusia! — On wszystko potrafi,

jeżeli zechce. Ja jestem pewna, że jeżeli nie uda mi się mnie oswobodzić legalnie, to mię wykradnie z więzienia albo w jakikolwiek inny sposób ułatwi ucieczkę...

— I nam z tobą, Zosiu! — wykrzyknęła uradowana Jadzia.

— Spodziewamy się! — dorzucili chłopcy.

Objawy radości, wywołane tą rozmową, musiały być za chwilę pohamowane, gdyż zaczęli się schodzić znowu do wagonu konwojujący, co było zarazem oznaką, że pociąg miał ruszać w dalszą drogę. Jakoż w niespełna pół godziny nastąpił odjazd.

Na drugi dzień około południa pociąg przybył do Samary.

Harcerze, wypoczęci nieco po niespanej nocy, ciekawie zaczęli rozglądać się dokoła. Już w pobliżu miasta wzrok ich uderzyła niespodziewana nowość. Opoдал jakiegoś domostwa, tuż przy drodze, wiodącej do miasta — na jakimś ugorze, wśród spalonych od słońca badyli i ostów — pasło się kilka rosnących wielbłądów... Myśleli o wschodzie, Sybirze, a tu mają przed sobą i południe zarazem: okręty pustyń, pasące się spokojnie na stepie obok ludzkich siedzib.

Nim przybyły etap wyprowadzono z wielkimi ostrożnościami z wagonów, nim ustawiono w czwórki, przeliczono imiennie i odprowadzono ze stacji do więzienia etapowego — upłynęło znowu kilka godzin.

Tu chłopcy i dziewczęta znowu byli rozdzieleni.



Mirska i Sobieniecka zabrane zostały do oddziału kobiecego, chłopcy — po zwykłych formalnościach sprawdzania obecności — zapędzeni do ponurego korytarza, gdzie po obydwu stronach widać było kilkanaścioro drzwi w postaci krat, z za których, jak w menażerji dzikie zwierzęta, ponuro spoglądali więźniowie na świeżą falę przybyłych.

Stefan, Kazik i Staszek po dokładnej rewizji osobistej, dokonywanej przez żołnierzy bez ceremonji na korytarzu, zostali wepchnięci do środka jednej z cel.

Znaleźli się w otoczeniu około setki ludzi rozmaitego wieku i wyglądu, zajmujących wszelką wolną przestrzeń nar, pod narami i w przejściach na podłodze, spoglądających zresztą bez wielkiego zdziwienia na przybyłych.

#### IV

### U WRÓT SYBIRU

Samara oddawna słynna była z tego, że wszyscy więźniowie, etapem wyprawiani przez nią na Sybir, zwykle w tem mieście dłużej czekali swej kolei. Pozwala na to i samo więzienie. Olbrzymi ten budynek urządzony był z pewnym „komfortem“. Okalał go wysoki mur. Wejście prowadziło przez kilka bram i podwórzy, gdzie wszędzie czuwała straż, wrota były zaryglowane i zaopatrzone w potężne kłódki. Całość budynku dzieliła się na dwie części. Starą, służącą za właściwe miejsce

lokowania etapów, i nową, gdzie umieszczano „poważniejszych“ więźniów politycznych.

Chłopcy nasi ledwie zdołali wcisnąć się w srodek celi, gdzie na kawałku nary, odstąpionej przez kogoś, poczuli już, coza warunki ich tu czekają.

Niedaleko nich sporą część nary zajmowało wygodnie rozłożwszy się na posiadanej pościeli, kilku mężczyzn, lepiej wyglądających od reszty towarzystwa, widocznie też inteligentniejszych. Trzymali się trochę zdaleka od reszty i z pewną wyniosłością nawet. Zwrócili oni wkrótce uwagę na naszych młodzieńców i zaczęli z nimi rozmowę, przedstawivszy się, że są „politycznymi“, zesłańcami do Narymu, a dwóch z nich nawet jeszcze dalej, gdzieś nad Angarę w Jenisiejskiej gubernji.

Stefek wyłuszczył im też krótko kim jest on i jego towarzysze i dokąd są zsyłani.

Ta wzajemna prezentacja miała ten dobry skutek, że owi „polityczni“ zaopiekowali się harcerzami, widząc w nich „towarzyszów“. Posadzili bliżej siebie, ustępując część nary do spania, poczęstowali posiadaną herbatą i chlebem. Chłopcy niezmiernie byli radzi z tego spotkania, bo, pomnąwszy zyskane korzyści, poczuli się bezpiecznie w tem nieznanem sobie, a tak podejrzanem środowisku. Bo byli tu różni: zaczynając od Bogu ducha winnych ludzi, odsyłanych etapem na miejsce urodzenia dla jakiejś błahostki, a kończąc na zawodowych włóczęgach, złodziejach i wszelkich zbrodniarzach.

Noc przeszła szybko i lżej niż dotychczasowe. Zaspiano z myślą, że bądź co bądź są już dużo bliżej miejsca swego zesłania, gdzie nie będą przecie tak jak tu pod kluczem.

Rankiem — mycie się na korytarzu całej gromady więźniów, porządkowanie celi, przyrządzanie herbaty z wrzątku, podanego w olbrzymiej kadzi, z której brano, czem kto miał: czajnikami, kubkami, talerzami, — zajęło kilka godzin czasu...

Koło południa, przed samym obiadem, poprzez kraty we drzwiach do korytarza przybyły dozorca wywołał nazwisko Tęczyńskiego i Sobienieckiego. Chłopcy się wystraszyli, bardziej jeszcze niewywołany Krauze. Pomyśleli, że chcą ich rozłączyć.

Przestrach jednak zamienił się wkrótce w ra dosne zdumienie. Dozorca przez drzwi podał im wielki koszyk, pełen jedzenia. Była tam wędlina, pieczywo, masło, ser, sardynki — słowem to, czego już długi czas nie widzieli na oczy. Nie brakowało też cukru i herbaty.

— Od kogo to być może?! — pytał zdumiony Staszek.

— Alboż my wiemy? — odrzekli Stefek i Kazik.

— Czemuż który z was nie spytał się dozorca? — wykrzyknął znowu ze zgorzeniem Staszek.

Na te słowa Kazik skoczył ku drzwiom i zaczął wołać przez nie na dozorcę, który już odszedł daleko.

Dozorca jednak nie zawrócił, natomiast przed kratą zjawił się dyżurny korytarzowy i huknął ze złością na Kazika:



— Czego się drzesz!

Skonfudowany Kazik cofnął się szybko wgłąb celi, zły, bo niektórzy z obecnych w celi zaczęli się śmiać z niego. Ale zapomniał o tem natychmiast, dorwawszy się razem ze Stefkiem i Staszkiem do zawartości kosza.

Nie zapomniano poczęstować swych najbliższych sąsiadów „politycznych“, którzy zresztą porzucili na bardzo skromnych porcjach. Dawno już nie jedli chłopcy z takim apetytem. Prawda, że nie mieli takich dobrych rzeczy dotąd w więzieniu. Oczywiście, podanego obiadu nie próbowali nawet. Nie wzbudzał w nich apetytu. Sam widok brudnej drewnianej kadzi, w której przyniesiono kapuśniak, odstręczał od jedzenia. Nie umieli sobie jednak długo chłopcy wytłumaczyć, skąd ów kosz się znalazł.

Stefek odrazu pomyślał, że chyba to pan Mirski zrobił im taką niespodziankę, ale o przypuszczeniu tem uie wspomniał, czekając, co Kazik i Staszek powiedzą. Najadłszy się, trochę jak na harcerza może za dużo, odezwał się wreszcie Kazik:

— Wiesz co? Myśmy o jednym zapomnieli!

— O panu Mirskim! — dorzucił triumfująco Staszek.

— Tak, to dar od niego! — wtrącił Stefan.

Uświadomienie sobie tego faktu sprawiło takie wrażenie na chłopcach, że na chwilę umilkli zupełnie. Myśl, że p. Mirski jest w Samarze z nimi, że jak zapowiedział Zosi, będzie „czuwał“ nad nimi i daje tego już dowód przez przysłanie im tak po-

trzebnej żywności, — zaczęła budzić w nich różne nadzieje. Poczuli, że urosły im jakby skrzydła, że jakiś ciężar spadł im z serc i w najbliższą przyszłość mogą już patrzeć spokojniej.

Co się jednak dzieje z Jadzią i Zosią? — pomysleli. I jakby w odpowiedzi na te wspólne myśli, układające się w ich umyśle jednocześnie, odezwał się pierwszy Staszek:

— Niewątpliwie pan Mirski nie zapomniał i o naszych druhnach, o Zosi i twej siostrze, Kaziu.

— Z pewnością — potwierdził Stefan.

— I ja tak myślę. Ale gdzie one się znajdują? — powiedział Kazik, zamyślając się.

Towarzysze „polityczni“ objaśnili harcerzy wkrótce, że więzienie samarskie jest olbrzymie i że, prawdopodobnie, ich koleżanki znajdują się w celkowej części więzienia, gdzie znacznie jest lepiej. Zaczęto rozmowę o tem, jakie są tu porządki, jakie zwyczaje, jak można i należy postępować z dozorcami, żeby sobie jako tako ulżyć. Chłopcy nasi słuchali tych wszystkich objaśnień z wielką uwagą.

Pod wieczór wypili herbatę, spożywając z apetytem posiadane zapasy, które służyć mogły jeszcze przynajmniej na kilka dni. Do snu ukołysała ich pięknie nucona rewolucyjna pieśń, jaką się popisali „polityczni“.

Trzeci dzień pobytu w więzieniu samarskiem przyniósł harcerzom wielką zmianę. Przed południem jeszcze przeniesiono ich niespodzianie do nowego więzienia na drugie piętro.

Cela, którą im przeznaczono, ledwie zdołała ich pomieścić. Były w niej tylko dwa łóżka żelazne, spuszczone wyłącznie na noc, z materacami. Trzeci materac dozorca przyniósł trochę później. Chłopcy zaczęli umawiać się, gdzie który ma spać, Staszek jednak oświadczył, że życzy sobie sypiać na podłodze, sprawa tem samym została rozstrzygnięta. Obiad podano przez otwierające się we drzwiach okienko. Za naczynia mieli w celi wcale ładne duże miedziane, wybielone od środka miski i kubki. Okazało się, że i jedzenie tu dużo lepsze i czystsze. Nie chcąc wyczerpywać posiadanych zapasów żywności, co do których nie byli pewni, czy będą jeszcze kiedy znowu dostarczone, wzięli się wszyscy trzej do jedzenia otrzymanej zupy kartoflanej. Gorąca strawa, uzupełniona wędliną, przypomniała im obiady domowe na wolności. Po obiedzie, siedząc i dumając nad swemi losami, chłopcy zawiązali rozmowę.

— Może tu gdzie blisko nas jest Jadzia i Mirska — zagadnął Kazik.

— A może... — potwierdził, zastanawiając się, Staszek.

Stefan, nic nie mówiąc, wziął z półki, znajdującej się w celi, niewielką drewnianą łyżeczkę, podszedł do ściany celi i zaczął w nią pukać, starając się robić to jaknajciszej, ale wyraźnie.

Staszek i Kazik spojrzeli na siebie znacząco. Odgadli, że Stefan chce porozumieć się z „lokatoremami“ sąsiedniej celi. Krótkie uderzenia i przeciągłe rysy po ścianie odtwarzały głoski alfa-



betu Morse'go. Im, harcerzom, rzecz to przecie znana.

Próbowali też odcyfrować, co telegrafuje Stefek. A Tęczyński pytał wprawna ręką:

— Kto tam w celi?

Po krótkiej pauzie dało się słyszeć pukanie, ale nie można było odgadnąć jego znaczenia. Stefan przeniósł się z pukaniem do drugiej ściany. Stąd nastąpiła zaraz odpowiedź:

— Dwie Polki, harcerki z Warszawy.

Chłopcy o mało z radości nie skoczyli do góry...

Więc mają tylko przez ścianę od siebie swe koleżanki!

Zaczęto rozmawiać bez przerwy, bez wytchnienia. Chłopcy dowiedzieli się, że Mirska miała poprzedniego dnia widzenie ze swym ojcem, że ją również zaopatrzył w żywność, że p. Mirski będzie wślad za nimi jechał całą drogę, i co się tylko da zrobić, zrobi, żeby im wszystkim dopomóc. Czują się w swej celi bardzo dobrze i wogóle — są pełne otuchy. Za jakieś dwa lub trzy dni etap wyruszy z Samary, tak przynajmniej informował ją ojciec.

Chłopcy naturalnie opowiedzieli pokrótce swoje sprawy. Rozmowa trwałaby dłużej, gdyby nie nadeszła wieczerza, po której musi być zupełna cisza w celach. Dozorcy też częściej zaglądną przez okienka. To uniemożliwiło dalsze telegrafowanie.

Wszystkie wiadomości jednak, jakie otrzymano, znowu podniosły nastrój chłopców. Niespiesznie też kładziono się spać tego wieczoru. W ciszy,

przytłumionym głosem układali plany ucieczki z Sybiru. Nie wątpili w możliwość tego, licząc, że znajdą pomoc w p. Mirskim. Wogóle zaczęło go idealizować i robić w wyobraźni, Bóg wie czem.

Sprawdziły się informacje ojca druhny Zosi. W dwa dni już jechali młodzi więźniowie etapem dalej. Przed samym odjazdem z Samary Stefan zdążył wysłać przez kancelarię więzienia do swego brata w Kargasoku list, który stał się, jak wiemy, tak przyjemną niespodzianką dla Tadeusza Tęczyńskiego.

## V

### DORZECZEM OBI

Do Czelabińska nasi znajomi przybyli wieczorem. Więźniów znowu wysadzono z wagonów.

Dzień następny przeszedł bardzo smutnie. Okropnie zaniedbany stan więzienia, w którym się znajdowali, dawał się nadzwyczaj we znaki. Pogarszało sytuację i to, że dozorczy byli bardzo ordynarni, a i towarzystwo, w jakim się chłopcy znaleźli, było bardzo niemiłe. Większość miała cechy zwykłych złodziejasków i włóczęgów. Chłopcy jednak nie upadali na duchu. Humor im poprawiało posiadanie sporej jeszcze części zapasów żywnościowych, otrzymanych tak tajemniczo w Samarze. Bardziej jeszcze — myśl, że przecie pan Mirski czuwa nad nimi. Pocięszali się też, że chyba tu długo nie zabawią. Ponieważ zaś, jak

słyszeli od wszystkich „znawców“ etapu i bywalców więzień, „Czelaba“ jest ostatnim punktem etapowym dla jadących do Tomsku, pocieszali się, że chyba tu już kres ich męczarni więziennych, a tam w Tomsku inaczej będzie bezwzajemienia.

Tegoż dnia wieczorem istotnie — ruszyli dalej.

Noc nie pozwalała dokładnie obserwować z okien wagonu miejscowości, przez którą przejeżdżali. Już dawno byli poza pasmem Uralu. Jechali równiną coraz bardziej pozbawioną nawet lekkich wyniosłości i falowań. Krajobraz stopniowo przybierał wygląd stepu. Geograficznie byli już w Azji, jakkolwiek gubernja Orenburska, rozciągająca się jeszcze dość daleko za Czelabińsk ku wschodowi, aż prawie pod miasto Kurhan, zalicza się do gubernji Rosji Europejskiej. Przedostawano się szybko wgląd dorzecza Obi, jednego z największych na świecie.

Już od stacji Miass, między Złatoustem a Czelabińskiem właściwie znajdowano się na terytorjum tego dorzecza. W pobliżu tej stacji płynie z wyżyn Uralu rzeka tejże co stacja nazwy, wpadająca do Iseti, która jest dopływem Tobola. Tobol — trzysta kilometrów dalej ku północy wpada do Irtysza, Irtysz zaś, biorąc początek daleko na południu, w głębi Azji, gdzieś w t. zw. Mongolskim Ałtaju, pod siołem Samarowskoje wpada a raczej łączy się z Obi, obydwie te rzeki bowiem niczem sobie wzajemnie nie ustępują.

Rankiem pociąg, minąwszy Kurhan, powiatowe



miasto już sybirskiej gubernji Tobolskiej i przepływającą pod niem rzekę Tobol, nie zmienił bynajmniej więźniom naszym krajobrazu.

Jak okiem było sięgnąć z wagonu w jedną i drugą stronę, — wszędzie widziało się równinę, zarosłą trawami wyschłemi i żółtkłemi w ciągu lata od słońca, przerywaną kępkami jakichś krzewów i zarośli oraz skromnych brzozowych lasków. Tor kolejowy szedł po wysokim nasypie. W miejscach, skąd dla nasypu brana była ziemia, jakby w fosach po obydwu stronach nasypu, widać było roślinność błotną, a raczej jej resztki. Gdyby tedy wypadło jechać wiosną lub jesienią, widziałoby się setki wodnego ptactwa. Teraz — dawał się tylko od czasu do czasu spostrzec czmychający zdala szarak, w powietrzu zaś, stosunkowo nisko nad ziemią, unosiły się jęstrzębie i inni drapieżcy powietrzni, zamieszkujący te okolice obficie, mają tu bowiem karm w niezliczonych zajęcach, susłach i innych gryzoniach stepowych, pomijając nie mniej też liczne tu drobniejsze ptactwo.

Chłopcy nie tracili ani chwili, obserwując mijane okolice, choć już po kilku godzinach stały się one nudne przez swą jednostajność. Ale świadomość, że byli już w innej części świata, że tu już Sybir, o której od dzieciństwa tyle słyszeli, pozwalała zachowywać wciąż wrażliwość. Zresztą zapominali chwilami, że są więźniami, że oto siedzą w szczelnie zakratowanym wagonie i pod dozorem konwojn, któryby nie wahał się zastrzelić każdego z nich przy jakiegokolwiek próbie ucieczki.

I dopiero wieczorem, gdy ciemności nie pozwalały już im nic widzieć przez okna, zaczęli rozmowę. Prowadzono ją zcicha, obawiano się bowiem, że może być ktoś wśród obecnych, co rozumie po polsku, zresztą nie chcieli zwracać na siebie uwagi. Unikali zawierania znajomości, nie odosobniając się jednak zbytnio, bo i to byłoby złe.

— Jak dotąd — zaczął Stefan — dosyć szczęśliwie etap przemija. Nie taki straszny, jak to sobie dotąd wyobrażałem...

— Nie taki straszny — dorzucił Staszek — bośmy się już trochę otrzaskali z więzieniem, no i jesteśmy razem, a to dużo znaczy.

— Co też się dzieje z naszymi druwnami? — powiedział Kazik.

— Zdaje się, jadą w sąsiednim wagonie — odrzekł Stafek.

— Niewiadomo — odrzekł Staszek. — O ile się nie mylę, więziennych wagonów jest w tym pociągu ze cztery.

— Chciałbym wiedzieć, co porabia i gdzie jest teraz pan Mirski — rzekł Staszek.

— A może jedzie z nami tym samym pociągiem? — szepnął Stefan.

— Może... — zgodził się Kazik.

— Myślę, że nie, — zauważył Staś. — Nasz pociąg osobowo-towarowy, więc pan Mirski pewnie nas wyprzedził i może czeka już nas w Tomsku. Tymczasem, nim przyjedziemy, będzie miał czas na porobienie odpowiednich starań o druwnę Zosię, no i chyba o nas wszystkich...



— Istotnie! Gdyby z nami p. Mirski jechał, musiałby też zatrzymać się w Czelabińsku, a w takim razie z pewnością dałby tam znać o sobie, a przynajmniej coś nam przysłał.

— Szkoda, że nasi „polityczni“ zostali w Samarze, byłoby z nimi weselej jechać — rzekł Stefan. — Przyjemnie się z nimi rozmawiało i pożytecznie. Rozmawiałem z nimi o kraju Narymskim. Byli tam prawie wszyscy. I wiecie? mówili, że wcale tam tak źle nie jest. Ciekaw jestem, jak nam się tam wyda.

— Byleby nas nie rozłączyli — zwrócił uwagę Staszek.

— Oj, to byłaby klęska — rzekł, poważniejąc Kazik.

Myśl, że mogą ich rozesać do różnych miejscowości, zasmuciła bardzo chłopców. Umilkli, pograżywszy się w zadumę. W wagonie panowała względna cisza. Oprócz miarowego stukotu kół rozlegało się tylko chrapanie śpiących towarzyszków podróży, cicha jeszcze gdzieś rozmowa, a z osobnego przedziału dla konwoju, poprzez ściany dochodziły przytłumione wesołe śmiechy i gawędy, później zaś nawet śpiewy.

Nad ranem znaleziono się w Petropawłowsku, powiatowem mieście Akmolińskiej „obłasti“, zajmującej przestrzeń równą prawie całej Francji, a zaludnionej w trzeciej części przez Kirgizów, którzy z postępowaniem kolonizacji kraju przez Rosjan, częściowo porzucili tryb życia koczowniczo-pastercki i wzięli się do uprawy roli.



Wieczorem pociąg dojechał do potężnego Irtysza. Minąwszy piękny sześcioprzęsłowy most przez tę wspaniałą rzekę, stanął w Omsku, głównem mieście całej „obłasti“, jednym z największych handlowych centrów Syberji. Po półgodzinnym odpoczynku ruszono dalej.

Między Irtyszem a Obiã, po obydwu stronach linii kolei syberyjskiej rozciąga się step Barabiński, położony już przeważnie w granicach gubernji Tomskiej. Pociąg wkroczył na terytorjum tej „Baraby“, jak ją nazywają z tatarska miejscowi mieszkańcy. Właściwie taki sam step ciągnął się już od samego prawie Czelabińska. Różnica polegała głównie na tem, że w Barabie wyraźniej występują całe jakby wyspy lasów brzozowych, co dało też nazwę stepowi inaczej — stepu brzozowego lub lasostepu.

Baraba wskutek bezpośredniego sąsiedztwa na północy z nizinnym i błotnistym krajem Narymskim, posiada też mnóstwo, bo około tysiąca jezior, z których olbrzymia większość, bo aż około siedmuset, nie ma długości więcej nad kilometr, jest jednak coś sto dwadzieścia jezior dochodzących kilku kilometrów długości i przeszło dwadzieścia, mających długości przeszło osiem kilometrów. Największe z tych jezior, położone o pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od powiatowego miasta Kańska, zowie się Czany. Ma ono nadzwyczaj zawiłą linję brzegową i usiane jest mnóstwem wysepek. Długość jego wynosi przeszło siedemdziesiąt klm., szerokość trzydzieści;

największa głębokość nie przekracza jednak 8-miu metrów zaledwie.

Po upływie doby z górą, wczesnym rankiem etap dosięgnął rzeki Obi. Przejechano zwolna przez most, liczący około 800 metrów. Przed oczami roztoczył się widok na Nowo-Nikołajewsk, miasto liczące obecnie przeszło sto tysięcy mieszkańców, gdy w roku 1896 było ich zaledwie pięć tysięcy — a jeszcze kilka lat wstecz, — na miejscu tego najruchliwszego miasta handlowego Sybiru znajdowała się zaledwie nędzna wioska o nazwie Gusiewki. Miasto Nowo-Nikołajewsk nadzwyczajny swój, iście amerykański rozwój zawdzięcza kolei. Dawniej, będąc tylko portem na Obi, nie mogło rywalizować z innymi miejscowościami wcześniej rozrostłymi, dziś je dorasta i chce nawet przerosnąć.

Za Nowo - Nikołajewskiem kolej syberyjska, idąc dotąd prawie prosto ku wschodowi, skręca silnie ku północy, mijając coraz bardziej sfalowaną i zalesioną okolicę. Ginie tu już lasostep Baraba i występuje zwolna coraz potężniej piękna, choć bagnista puszcza leśna t. zw. tajga.

Przejechawszy dopływ prawobrzeżny Obi — rzekę Tom, pociąg zatrzymał się wkrótce w Tajdze. Stacja ta rozrosła się w kilkunastotysięczne miasteczko głównie dzięki temu, że jako węzłowa stacja nabrała dużego znaczenia. Od niej to przeprowadzona osobna odnoga kolejowa łączy stolicę zachodniej Syberji, kulturalny ośrodek całego kraju — miasto Tomsk, z magistralą syberyjską,



która dziwnym trafem ominęła tak ważne miasto i to w tak niedalekiej, bo tylko osiemdziesięcikilko-kilometrowej odległości.

Pociąg, wiozący naszych więźniów, zatrzymał się na kilka godzin, w ciągu których etap podzielono na dwie grupy: jedną, udającą się dalej na wschód, i drugą, przeznaczoną do Tomska. Gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, naszym chłopcom serca zabiły radośniej.

Już tylko kilka godzin jazdy oddzielało ich od miejsca, gdzie, jak wyobrażali sobie i byli tego pewni, wnioskując z opowiadań towarzyszków więźniów, przestaną być pod ciągłą wojskową strażą.

Był wieczór już, gdy zaczęto dojeżdżać do Tomska. Etap się ożywił. Pośpiesznie pakowano w tłumoczeki wszystkie rzeczy. Nikt nie szykował się do noclegu w wagonie.

Zabłyśły wkrótce światła, gwizdnęła lokomotywa i zabrzmiał dzwonek na dworcu.

Pociąg wtoczył się pośpiesznie na peron stacji Tomsk I.

## VI

### W SYBIRSKICH ATENACH

W godzinę po przybyciu pociągu na stację, więźniowie, otoczeni znów konwojem, opuścili dworzec i ruszyli szybkim krokiem ku miastu.

Droga prowadziła przez rzadki las. Choć była już noc, na drodze panował ruch. Dużo lu-



dzi szło z dworca pieszo, dużo też wiozły dorożki. Z pobliskich koszar wielu żołnierzy używało wieczornej przechadzki, uprzyjemniając sobie spacer śpiewem, lub grą skocznych kozaczków na harmonjach. Etap mijał to wszystko, przyspieszając kroku, bo konwojowi spieszno było zwolnić się nareszcie ze służby. Pragnęli jaknajprędzej powierzyć zesańców opiece więziennej.

I nasi chłopcy pędzili razem z etapem. W ostatnich rzędach znowu dreptały z trudem Mirska i Sobieniecka wśród kilku niewiast. Ale że już była to ostatnia droga do więziennych murów, że tu już mieli wyzwolić się z pod opieki konwoju (policja miała ich teraz wziąć pod dozór), raźniej było wszystkim, słychać było żywe rozmowy i wyczuwało się inny nastrój, niż dotąd. Zatrzymali się wreszcie przed wielkim budynkiem, którego zakratowane okna i żelazne ogrodzenie świadczyły, że jest to najpospolitszy gmach rządowy miast rosyjskich — więzienie.

Konwój odszedł, więźniów wpuszczono do jakichś podziemi. Był to wielki korytarz o łukowatym sklepieniu. Znow ujrzano przed sobą strażników więziennych.

Po dwu godzinach zjawił się starszy dozorca i zaczął wywoływać nazwiska więźniów. Wywoławszy około dwudziestu, kazał iść za sobą. W pierwszej partji znaleźli się: Tęczyński, Sobieniecki i Krauze. Panienki znajdowały się w innej części więzienia i od chwili przestąpienia progów tego gmachu chłopcy już ich nie widzieli.

Cela, do której wpuszczono chłopców, była jak wszystkie poprzednie gdzieindziej, może tylko trochę czystsza. Chłopcy zajęli od razu jeden z wygodniejszych kątów na narach. Rozłożono łomoczki i wzięto się zaraz do siania swoich palt i kurtek zamiast pościeli.

Nazajutrz rano zbudzili się wcześnie. Myśl, z którą kładli się do snu, nie pozwoliła im długo się wysypiać. Chcieli jaknajprędzej doczekać się nareszcie chwili, kiedy opuszczą progi więzienia. Do południa jednak nie było żadnej zmiany. Przyniesiono obiad, jaki już widywali po więzieniach. Posiadane resztki zapasów z Samary uchroniły chłopców przed spożyciem przyniesionej strawy. Ale zaczęło malować się na ich twarzach przygnębienie. Nadzieje na prędkie wyzwolenie się z pod więziennego rygoru gasły. Smuciło ich i to że p. Mirskiego, w którego opiekę tak święcie wierzyli, ani słyhać, ani widać. To też odezwał się wkrótce tonem zawiedzionego Krauze:

— Trochę mię dziwi, że pan Mirski nie daje znać o sobie...

— Kto wie, czy nawet jest tutaj — dorzucił smutnie Kazik.

— Moi drodzy! — zabrał głos Stefan — nie martwcie się! Tyleśmy przetrwali, to i te parę dni musimy jakoś wytrzymać. A co się tyczy pana Mirskiego, to myślę, że nie powinniśmy się na niego zanadto oglądać... Liczymy tylko na siebie. Czyż nie damy sobie rady?

— Tu nie tyle o nas chodzi, co o nasze drużyny! — przerwał Staszek.

— Pewnie, że bardziej idzie o Jadzię i Zosię — podtrzymał go Kazik.

— I ja pamiętam o drużnach, nie bójcie się — odpowiedział Stefek: — Ale cóż poradzimy? Czy źle, czy dobrze, mamy być przecie zawsze weseli i pogodnego ducha, to nasz harcerski obowiązek.

— Obowiązek obowiązkim, ale przyznasz, że nie zaszkodziłoby otrzymać znów zapasik żywności, jak wtenczas w Samarze... — z uśmiechem powiedział Kazik, pokazując puste miejsce po jedzeniu w tobołkach...

— Nie traćmy nadziei! może jeszcze dostaniemy lepszy! — rzekł Stefan.

— Oby jaknajprędzej! — zakończył Stach.

Rozmowę chłopców przerwało wejście dozorczy do celi. Pojawienie się strażnika we drzwiach celi zawsze zwiastuje jakąś nowinę. Tym razem ku wielkiemu swojemu zdumieniu Stefek usłyszał wymówione swe nazwisko.

— Jestem! — odpowiedział, drżąc i myśląc, co dalej nastąpi.

— Proszę za mną — dokończył strażnik, zachęcając Tęczyńskiego gestem do wyjścia z celi.

Stefan przeląkł się. A może go rozłączą z chłopcami! Ponieważ jednak strażnik nie polecił brać rzeczy, wyszedł jak stał, nawet bez czapki. Kazik i Staszek zaczęli się niecierpliwić z ciekawości...

— Kto Stefka wezwał i po co? — wyrzekł po chwili Staszek.



— Może Mirski? — rzekł Sobieniecki.

— A może tylko do kancelarji?

Na nasuwające się dziesiątki pytań nie mogli dać sobie odpowiedzi, pogrążyli się więc w zadumie, chodząc gorączkowo po celi.

Tymczasem Stefan znalazł się znowu na korytarzu, który wydawał się podziemiem, potem, minąwszy jeszcze jakiś drugi korytarz, dotarł do kancelarji więzienia. W głębi pokoju przy biurku, zobaczył naczelnika więzienia, rozmawiającego z jakimś panem, ubranym w sportowy garnitur. Stefek odgadł odrazu, że to pan Mirski. Ten zerwał się z krzesła i podszedł szybko do niego, poczem zaczął go serdecznie witać, ściskając i całując, co niesłychanie zdziwiło Stefana, gdyż przecie nie znali się dotąd nawet osobiście... W tej samej chwili jednak słowa naczelnika więzienia —

— No cóż, młodzieńcze, spodziewałaś się zobaczyć ze swoim wujem? — wyświetliły mu wszystko.

Stefek zrozumiał, że Mirski podał się za jego wujaszka, aby łatwiej uzyskać widzenie, i odgrywając przybraną rolę, oczywiście musiał tak serdecznie witać się z nim. Stefan też zaczął tytułować „wujaszkiem“ pana Janusza.

Pan Mirski, oznajmiwszy w krótkich słowach, że jedzie z nimi od samej Moskwy, i stara się, co można, zrobić, żeby ich uwolnić, oświadczył, że robi to nie tylko ze względu na swoją Zosię, ale i na prośby rodziców zarówno Stefka, jak i ich wszystkich, wyjeżdżając howiem z Warszawy po-

rozumiał się z rodzicami ich i obiecał opiekę na zesłaniu. Niech będą spokojni i nie martwią się, jeśli tu stosunkowo długo nawet przyjdzie siedzieć, już bowiem zaczął się październik i, jeżeli ich jutro lub pojutrze nie odeślą ostatnim etapem do Narymu — na parostatku po Obi, muszą przecze-kać okres zamarzania i mgieł na rzece, co potrwa do połowy listopada, wtedy dopiero ustali się na-nowo trwała komunikacja, ale już sankowa. I Ste-fan skorzystał z okazji rozmowy z Mirskim. Po-prosił go o napisanie do Tadeusza, że jest już w Tomsku i spodziewa się z nim wkrótce zoba-czyć. W trakcie rozmowy weszła Zosia Mirska. Nastąpiło serdeczne powitanie ojca i córki.

Dziewczynka nie posiadała się z radości. I pan Mirski był wzruszony. Jeszcze pół godziny rozma-wiano swobodnie i dowoli. Na pożegnanie pan Janusz wręczył Zosi i Stefanowi po paczce jakichś rzeczy i kilka książek, uprzednio naturalnie prze-jrzanych przez naczelnika. Żegnając się, zdołał też wsunąć Stefkowi za kołnierz list. Naturalnie chło-piec nawet mrugnięciem nie okazał, że to spo-strzega.

Gdy Stefek wrócił do celi, Kazik i Stach z jego radosnej miny i niesionych rzeczy domyślili się, że miał „widzenie“ z Mirskim, a przynajmniej od niego jakieś wiadomości zakomunikowano mu w kancelarji. Rzucili się też ku niemu, pytając na wyścigi o wszystko, oglądając przyniesiony to-bołek i książki. Tęczyński nie spieszył się z opo-wiadaniem, pragnął bowiem przede wszystkim

pozbyć się z za bielizny listu, który mu Mirski tak zręcznie wrzucił za kołnierz. Wyrzekł tylko dla uspokojenia:

— Widziałem się i rozmawiałem cały czas z Mirskim i Zosią! mam list! — dorzucił szeptem.

Chłopcy rozwiązali przyniesiony tobolek i znaleźli tam różne przysmaki: wędlinę chleb, oraz kilka książek.

Po wydobyciu listu Stefek zabrał się natychmiast do odczytania go tak, by tego nikt nie spostrzegł, poczem dał go również swoim przyjacielom. W liście tym pan Mirski zapowiadał, że użyje wszelkich środków, by uwolnić ich wszystkich z więzienia, a gdyby się to nie udało w Tomsku, przygotowuje im ucieczkę z Narymu.

— To rozumiem! — wykrzyknął radośnie Kazik.

— Podoba mi się ten pan Mirski naprawdę! — rzekł Stach.

— Najważniejsze jednak to, że prawdopodobnie nie tak prędko znajdziemy się na wolności, jak przypuszczaliśmy — odezwał się po chwili Stefan.

— To już głupstwo, gdy wiemy, co z nami ma być i że pan Mirski o nas pamięta — powiedział Kazik.

— Zresztą, po co narzekać? Bądźmyż zadowoleni, że jest tak, jak jest... Patrzcie! co teraz mamy w więzieniu — dorzucił Stach, pokazując na przyniesione przez Stefana przysmaki.

Chłopcy, choć nie z łakomstwa, ale choćby dla tego, że dawno już nie widzieli podobnych rzeczy,



skwapliwie zaczęli zajadać czekoladki i ciastka, częstując nimi nawet kilku bliższych towarzyszy-  
szów losu więziennego.

## VII

### W OCZEKIWANIU

Przez kilka dni następnych chłopcy łudzili się jeszcze, że doczekają etapu do Narymu, ale któregoś dnia Stefek, znowu wezwany do zobaczenia się z „wujem“, dowiedział się, że ostatnie statki już poszły, mrozy się zbliżają i Ob wkrótce stanie, czekać więc muszą, aż sanna się utrwali. Istotnie, jak to na Syberji, po dniach ciepłego, a nawet znojnego lata, okres jesienny trwa stosunkowo krótko, po nim następuje prawie odrazu mroźna, śnieżna zima.

I zaczęły się znowu w dalszym ciągu dni oczekiwania.

Pewnego dnia późnym wieczorem otworzyły się drzwi celi i wkroczyło do niej kilkunastu nowych więźniów, przybyłych ze świeżym etapem. W celi zrobiło się ciasno. Wśród przybyłych zwrócił uwagę naszych chłopców młodzieniec w ich wieku o nadzwyczaj miłym wyglądzie. Był to chłopiec lat może 14, blondyn o niebieskich miłych, ale smutnych oczach, wynędzniały, odziany dość lekko, tak jak chodzą nasi wiejscy chłopcy, w ubranie jakiegoś nieokreślonego koloru i buty z cholewami. Trzymał w ręku niewielki tłomoczek. Przystanął nieśmiało u drzwi i smutnie roz-

glądać się począł dokoła, szukając miejsca. Chłopcy nasi poczuli jakąś dziwną sympatię dla nowego przybysza. Stefan odezwał się pierwszy.

— Coś za jeden, chłopcze, skąd jesteś? — rzekł po rosyjsku.

— Z Polski — odpowiedział po chwili zapytany, przypatrując się Tęczyńskiemu i jego towarzyszom.

— Toś ty Polak!? — wykrzyknął Stefan już po polsku, zbliżając się i biorąc go za rękę.

— Polak! O mój Boże, a pan też Polak!? — wykrzyknął chłopiec.

— Polak! Polacy jesteście, swoi, chodź do nas! — dodał Tęczyński i pociągnął chłopca wgłąb celi.

Chłopczyna, widząc tę radość Stefka i sam ucieszony, że znalazł rodaków i do tego rówieśników, choć jakichś „studentów“, nie ociągał się zbyt. Chłopcy otoczyli go kołem i zaczęli rozpytywać.

— Jak się nazywasz? — pytał Staszek.

— Józef Królicki.

— A skąd pochodzisz?

— Z Trawnika pod Lublinem — odpowiedział Królicki.

— Z jakiego powodu tu się znalazłeś? powiadaj nam! — nalegał znów Stach.

— Czekać! — przerwał Stefan. — My go tu mordujemy pytaniami, a on po etapie, może dziś nic nie jadł, głodny, bez sił. Prawda? — rzekł — zwracając się do chłopca.

Józek nic nie odpowiedział, opuścił tylko głowę, jakby zawstydzony.

Kazik skoczył do kąta, gdzie stały resztki obiadu i zaczął się krzątać koło sporządzenia jakiej takiej przekąski dla gościa. Wkrótce postawił przed nim kubek herbaty i położył parę kawałków chleba z pieczenią.

— No, wsuwaj, a potem powiesz wszystko o sobie!

— Tak! napij się herbaty, jedz, rozmowa na potem — dodał Stefan.

Józek nie kazał się długo prosić. Bez zbytniego pośpiechu, ale z widocznym apetytem zjadł wszystko podane i popijał herbatą. Chłopcy mu się przypatrywali, ciesząc w duszy, że mogą pomóc biedakowi, że paczka ich powiększa się, zgóry bowiem uważali Królickiego za swego druha, tak się im wszystkim odrazu podobał.

Chłopiec, najadłszy się dostatecznie, podziękował. Wtedy Stefan usadowił go w środku i zapytał:

— Mój drogi! Jeżeli nie jesteś bardzo zmęczony to opowiedz wszystko, co możesz o sobie. Będziemy wiedzieli, ktoś ty i za co cię wzięli. A my ci potem opowiemy o sobie. W ten sposób poznamy się i łatwiej zaprzyjaźnimy. Zgoda?

Rozmowa toczyła się półgłosem.

— Przecie nie będziesz miał nic przeciwko temu, żeby się z nami zaprzyjaźnić? — dorzucił Kazik.

— O moi kochani! — odezwał się Józek, spoglądając po kolei na każdego, — jak ja się cieszę, że was tu spotkałem! Toćżeście też z Polski, swoi, a nie te Moskale!



— Swoi i twoi, tak! — potwierdził Staszek, opierając mu rękę na ramieniu. — Powiadajże, skądżeś się tu wziął i dokąd cię wysyłają?

— A to, widzicie, tak było, — zaczął opowiadać Józiek. — Austriacy podchodzili do nas. Myśmy we wsi wiedzieli, że najbliższe oddziały ich są to te polskie legjony, co się w Galicji utworzyły przeciw kacapom. Ja z siostrą starszą Julcią, kiedy się trochę raz uspokoiło strzelanie, wybiegliśmy za wieś na górkę, chcąc chociaż z daleka zobaczyć Austriaka, a naprawdę to zobaczyć te legjony, o których sami Moskale powiadali, że się ich boją najbardziej. I rzeczywiście zdaleka zobaczyliśmy jakiś podjazd austriacki. Nie mając żadnych złych zamiarów podrzuciłem czapkę do góry, ot tak z radości, wtem koło ucha mi coś strasznie zabrzęczało. Wiedziałem z Julką, co to znaczy. Obydwojeśmy upadli zaraz płackiem na ziemię, przestali się ruszać prawie i oddychać ze strachu. A tu jakiś oddział kozacki, który widać był gdzieś w pobliżu ukryty, zaczął ostrzeliwać ów podjazd austriacki, kilku nawet kozaków, oddzieliwszy się od reszty, popędziło na koniach za podjazdem, który na odgłos strzałów zawrócił zwolna. Większość jednak nadjechała do miejsca, gdzieśmy leżeli i zobaczywszy nas, aresztowała. Popędzili nas, bijąc nahajkami, do obozu, gdzie stawiono nas przed jakimiś oficerami. Kazali nas zrewidować, pytali, cośmy za jedni, co robiliśmy na górcie, dlaczegośmy podrzucali czapkę do góry. Odrazu zmiarkowałem, że uważają nas widać za

szpiegów. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Bez pożegnania z rodzicami, których tylko zdaleka po drodze widzieliśmy, zaprowadzono nas na kolej, wsadzono do zakratowanego wagonu i wywieziono. Co dalej będzie z nami, nie wiem.

— A siostra twoja?

Julkę widziałem, jakeśmy wychodziili dziś z wagonu, a więc i ją razem ze mną przywieźli tutaj.

— Ile lat ma twoja siostra?

— Rok odemnie starsza. Ma teraz 15 lat — odpowiedział Królicki.

— A nie wiesz, dokąd was wiozą?

— Pytałem się już parę razy naczelników etapu i więzienia, ale mi nie chciano powiedzieć; raz tylko w Samarze jeden z konwojujących powiedział, że na Sybir, do jakiegoś tam kraju...

— Narymskiego — podsunął Stefek.

— Może i Narymskiego, nie pamiętam dobrze — odrzekł Królicki. — Co tam Julka porabia? gdzie jest teraz? — westchnął smutnie. — Żeby się jej co złego czasem nie stało...

— Wiecie co? — zwrócił się Kazik do Stefka i Stasia — jego siostrę z pewnością umieścili razem z moją i Mirską!

— To i pan ma w więzieniu siostrę? — spytał zdumiony Józek.

— Mam, na nieszczęście — odrzekł Kazik, jeszcze chyba młodszą trochę od twojej, bo, widzisz, i nas taki sam los spotkał. Ale nas z miasta, z Warszawy wywieziono tu na zesłanie. My wszyscy, trzech nas tutaj, oraz moja siostra i jej jedna

koleżanka jesteśmy harcerzami i za to siedzimy teraz. A wiesz, co to są harcerze, skauci?

— Wiem, wiem! — odrzekł Królicki, ożywiając się. — I u nas we dworze trawnickim syn dziedzica, ot taki jak pan, tego lata utworzył z kilkunastu naszych chłopców cały zastęp skautowy i uczył nas wszystkiego...

— Patrzcie! — wykrzyknął uradowany Stefek, — toś ty nasz druh, harcerz, dawaj łapę! Czuwaj!

Chłopcy zaczęli ścisnąć Józka z radością, witając w nim współdruha z bractwa harcerskiego. Józiek do łez się rozczulił.

— A Julcia też jest harcerką? — zapytał Stefek.

— A jakże! — odpowiedział Józio. — Dziewczynki to znowu panienka trawnicka zgromadziła w zastęp Jaskółek.

Łatwo potoczyła się dalsza rozmowa chłopców. Wtajemniczali Józka w swoje sprawy, snuli plany. Gdy nagawędzili się dowoli, uszykowali Józkowi poślanie między sobą i poszli spać.

Tego samego dnia, w którym do chłopców przybył Królicki, Jadzia Sobieniecka i Zosia Mirska, siedząc w swej celi przy jedzeniu, usłyszały poprzez drzwi jakiś hałas na korytarzu. Po chwili zaskrzypiał klucz w kłódce od ich celi i dozorcyni otworzyła drzwi. Wkroczyło przez nie kilka kobiet z tobołkami, o znużonych, wynędzniałych twarzach. Wśród nich nasze harcerki zauważyły dziewczynkę w swoim wieku. Wepchnięta z innymi, niedługo się rozglądała. Spozstrzegłszy dziewczęta, przyglądające się jej z zaciekawieniem,



a widząc w nich rówieśnice, w jednej chwili znalazła się przy nich. Zosia i Jadzia porozumiały się szybko wzrokiem.

— Weźmiemy ją do siebie — odezwała się Zosia.

— Panienki Polki?! — krzyknęła przybyła z radością.

Mirska i Sobieniecka nie spodziewały się czegoś podobnego... W pierwszej chwili nie dowierzały swoim uszom i nie odpowiedziały na jej zapytanie. Ta cofnęła się o krok i posmutniała. Ale Zosia wnet ochłonęła ze zdziwienia i odezwała się życzliwie:

— Tak! jesteśmy Polki.

— Jak to dobrze — zawołała przybyła — myślałam, że się przesłyszałam!

Mówiąc to, Julcia Królicka, ona to bowiem była, położyła swoje zawiniątko i zaczęła rozwiązywać ciężką ciepłą chustkę, w jaką była owinięta. Dziewczynki zrobiły jej zaraz miejsce na narach i zaczęły rozpytywać, kim jest i skąd przybywa.

Julcia z wielkiem zaciekawieniem wysłuchiwała opowiadań dziewczynek o ich dotychczasowych losach i ucieszyła się, gdy ją Mirska zapewniła, że teraz jej tatuś i o nich, Królickich, nie zapomni, że teraz już razem będą dzielić dalsze losy. Długo, długo w nocy gawędziły ze sobą, ciesząc się ze spotkania.

Dzień następny przyniósł małą, choć ważną niespodziankę.

Koło południa przybyła dozorczyńni i oznajmiła Mirskiej i Sobienieckiej, że przejdą do innej celi. Zosia i Jadzia, domyślając się, że otrzymają osobną celę, bo obiecał im to wyrobić p. Mirski, z radością przyjęłyby wiadomość. Teraz jednak, gdy przybyła Julcia, a o niej nie wspomiano, bo, naturalnie, ojciec Zosi nic o niej nie wiedział jeszcze, nie mogły dziewczynki zgodzić się na zostawienie jej tu samej.

— Nie pójdziemy same — odpowiedziały dozorczyńni, — niech z nami idzie i ta dziewczynka, — tu wskazały na Królicką.

— Cóż znowu! — zawołała gniewnie dozorczyńni. — Mam tylko dwie przeprowadzić do innej celi.

Ale Zosia i Jadzia stanowczo odmówiły przeniesienia się bez Julci. Dozorczyńni, zatrzasnąwszy drzwi, poszła do naczelnika ze skargą.

Julcia zląkła się o możliwe następstwa i zaczęła namawiać, aby Zosia z Jadzią nie troszczyły się o nią. Tu zostanie sama i nic jej zresztą się nie stanie, a trudno przecież robić o to awanturę z dozorcami.

— Nie zawracaj głowy, moja kochana — odpowiedziała stanowczo Zosia. — Ciebie tu nie zostawimy. Siłą nas nie wezmą. Oni z tatusiem moim się liczą, przecież tylko na życzenie tatusia nas przenoszą, niechże teraz i to uwzględnią! Zobaczysz, nie dziś, to jutro pójdziemy wszystkie tam, albo zostaniemy tu razem. I tu można wytrzymać...

Po obiedzie ukazała się znowu we drzwiach dozorczyńni.

— Proszę za mną! — powiedziała, zwracając się do Zosi i Jadzi.

— Z rzeczami? — zapytały dziewczynki.

— Nie! nie! — tylko do kancelarji... — odpowiedziała dozorczyńni.

Dziewczynki uspokojone, zostawiwszy rzeczy pod opieką Julci, ruszyły na korytarz.

W kancelarji zastały pana Mirskiego. Przyniósł znowu dziewczynkom jedzenia, porozmawiał trochę i wymógł na naczelniku, dowiedziawszy się o Królickich, żeby ich nie rozdzielano z naszymi harcerzami i nie traktowano gorzej.

Tymczasem Julcia, zostawiona na straży przy rzeczach dziewczynek, zaczęła się już trochę niepokoić z powodu ich długiej nieobecności. Ucieszyła się też bardzo, widząc je znowu, zdumiała na widok kosza z nowymi zapasami, a nie posiadała z radości, dowiedziawszy się, że jej brat znajduje się także razem z naszymi chłopcami. Mirska przysięgała, że prosiła ojca o przysłanie dla Julci ubrania, bielizny i pościeli i powiększenie porcji nadsyłanych obiadów, tak, żeby starczyły dla nich trzech.

## VIII

### Z M I A N Y

Na drugi dzień chłopcy i dziewczęta zostali przeniesieni do osobnych cel, położonych obok siebie. Zgodnie z życzeniem pana Mirskiego, Kró-



lickich nie odłączono. Przeniesienie do tych cel miało tę dobrą stronę, że pozwalało naszym harcerzom zagospodarować się swobodniej i swobodniej o wszystkim rozmawiać. To też byli bardzo zadowoleni wszyscy z tej zmiany, tem więcej, że bliskość cel pozwalała im doskonale komunikować się za pomocą stukania, jak to praktykowali już w Samarze. Szczególniej wygoda ta ucieszyła Julcię, która w ten sposób mogła rozmawiać z bratem, nauczywszy się prędko alfabetu Morse'go. Wogóle — Króliccy trafili szczęśliwie. Chłopcy serdecznie zaopiekowali się Józiem, dziewczęta Julcią, dzieląc się wszystkim i uważając ich za swych przyjaciół.

Pewnego dnia Kazikowi przyszło do głowy zajrzeć głęboko pod nary. Biegające rankiem myszy po podłodze zwróciły jego uwagę. Chciał się przekonać, dokąd uciekają. Szukając dziur w ścianie i podłodze celem zatkania ich, żeby myszy nie plądrowały w zapasach żywności, spostrzegł, że jedna z dziur w ścianie prześwieca. Zaczął ją badać bliżej. Badanie dało nadspodziewany rezultat. Dziura przechodziła nawylot do celi dziewczynek! Drewniana ściana w tem miejscu była grubości kilku cali zaledwie, mocno nadpróchniała i zgniła.

Naturalnie, odkrycie to poruszyło wszystkich. Zaglądano po kolei pod nary dla zbadania otworu. Posiadany, wbrew przepisom więziennym, scyzorykiem, który raz doręczył Stefkowi pan Mirski, zaczęto powiększać otwór, jednocześnie

pukaniem zawiadomiono dziewczynki o wypadku. Oczywiście wiadomość taka nie była i dla nich obojętna. Również po kolei wędrowały pod nary, pragnąc przekonać się o odkryciu Kazia. Odebrały też zaraz przesunięty przez szparę pierwszy list od chłopców, napisany naprędce ołówkiem. Co za radość! Będą mogli teraz nie tylko rozmawiać za pomocą pukania, co często, zwłaszcza wieczorami, było niewygodne, bo hałaśliwe, ale mogą przysyłać sobie listy, a może nawet wzajemnie udzielać sobie różnych drobiazgów, o ile otwór da się trochę powiększyć.

Józek Królicki, wcisnąwszy się pod nary, zaczął operować scyzorykiem z całej siły. Zbutwiałe drzewo pozwalało się krajać dość łatwo. Po godzinnej pracy z przerwami zastąpił zmęczonego Józia Kazik, potem Kazika Stefek, Stefka wreszcie Staszek. Otwór rósł coraz bardziej. Nagromadzone próchno i kawałki drzewa składano w kawał papieru, zamierzając przy pierwszej sposobności wynieść ostrożnie z celi. Naturalnie w czasie pracy tej pod narami czuwano przy drzwiach, żeby dozorca przypadkowo nie zaszedł z nienacka do celi.

Otwór niezadługo urósł do takich rozmiarów, że można było ręce ucisnąć sobie wzajemnie z jednej celi do drugiej. Gdy zaś Stefkowi przyszło do głowy zsunąć jedną z desek nar na bok, oświetlając w ten sposób miejsce pod narami, dziewczynki przez otwór przy pomocy lusterka pod kątem nastawionego mogły widzieć nawet twarze chłopców i odwrotnie.

Czegoż żądać więcej? W więzieniu zamknięci, odosobnieni, trochę trafem, dzięki myszom, trochę dzięki pomysłowości i pracy mogli mieć teraz ciągłe „widzenia“. Naturalnie nie była to wygodna pozycja schylać się pod nary. Ale można za to swobodnie ze sobą rozmawiać i widzieć się nawet. Oczywiście pisanie listów było teraz zbyt ciężkie, również jak pukanie. Rozmowy zastąpiły wszystko, skracając wspaniale więźniom dni niewoli.

Co kilka dni odwiedzał ich p. Mirski. Za każdym razem z kancelarji przynoszono od niego nowe zapasy jedzenia i książki oraz nowe wieści.

Zima tymczasem zbliżała się szybkim krokiem. Z końcem października spadły już duże śniegi. Ucieszyło to jednak więźniów: czekano przecie zamarznięcia rzek, z czym wiązał się ich wyjazd do kraju Narymskiego i opuszczenie murów więziennych, które bardzo się już sprzykrzyły.

Któregoś dnia przy widzeniu się Mirski oznajmił Zosi i Stefkowi, że mimo wszelkich starań nie uzyskał od gubernatora pozwolenia na wypuszczenie ich pod dozór policyjny w Tomsku. Należy więc zacząć myśleć o przygotowaniu ucieczki. Z więzienia jest to niemożliwe, może się uda z miejsca zesłania.

Przeszło jeszcze kilkanaście dni.

5 listopada rzeka Tom stanęła ostatecznie. Mrozy sięgały już 15 stopni. W parę dni później Mirski przysłał harcerzom ciepłe ubrania i futra—zwyczajne baranie kożuchy, ciepłe czapki miej-



scowego kroju i wielkie pilśniowe buty t. zw. pimy, bez których w Syberji zimą niepodobna się ruszyć i w których ludność miejscowa chodzi większą część roku, nawet latem.

16 listopada, starego stylu, t. j. 29 nowego — nadszedł oczekiwany dzień opuszczenia ostatecznie więzienia.

Wczesnym rankiem wywołano naszych więźniów z celi. Po załatwieniu w kancelarji różnych formalności Stefek, Sobienieccy, Króliccy, Mirska i Krauze znaleźli się razem z innymi więźniami przed bramą więzienną na ulicy. Zdziwiło ich, że niema ani konwoju wojskowego, ani nawet dozorca. Znaleźli się pod opieką jednego tylko strażnika i jakiegoś po cywilnemu ubranego starszuszka, za całe uzbrojenie mającego laskę. Ustawiono ich czwórkami. Nasi harcerze trzymali się razem. Stefek i Kazik stanęli w pierwszej czwórce, mając pomiędzy sobą Zosię i Jadzię, — w drugiej czwórce byli: Staszek, Króliccy, oraz jakiś jeszcze nieznany im młodzieniec, ubrany w lekki letni paltocek. W trzeciej czwórce stał jakiś wysoki mężczyzna bez wąsów, ubrany w wielką niedźwiedzią szubę, obok niego równie rośli jakiś starszy mężczyzna, dalej znów niski Żyd jakiś z wielką siwą brodą i z tobołkiem, przerzuconym przez plecy i t. d.

Rozglądano się dokoła. Dzień był mroźny, pogodny. Ulica, zasypana grubą warstwą śniegu, bielita się na całej długości. Z jednej strony szła ona w górę i o jakieś trzysta kroków dalej łączyła się z przecznicą. Z drugiej strony w dole widać

było wielką pustą przestrzeń śnieżną—rzekę Tom, za którą na tle błękitu nieba czernił się mocno, wyraźny w mroźnem przejrzystem powietrzu, równy, jak gdyby ścięty — bór — tajga.

Dokoła panowała cisza.

Nasi harcerze wiele przeżywali w tym momencie. Czuli, że rozpoczyna się w tej chwili nowy okres ich życia. Kończą się wreszcie dni więzienia i choć nadal będą pozostawali jeszcze w zależności od policji, dozór ten nie będzie już tak uciążliwy, nie będzie się odczuwało tej ciągłej zmory, jaka przygniata pierś każdego, kto choć chwilę przebywa w więzieniu.

— Czy wiecie, co za dzień dzisiaj mamy? — zagadnął pierwszy Stefan, zwracając się do swych przyjaciół.

— A któregoż-to dzisiaj? — zapytała Zosia.

— 29 listopada! Rocznica powstania 1830 r.! — wykrzyknął Kazik.

— A prawda!...

W tejże chwili strażnik dał znak, by ruszono w drogę.

Robiąc pierwszy krok, Stefan, spojrzawszy znacząco na druhów, zanucił półgłosem:

*Oto dziś dzień krwi i chwały,  
Oby dniem wskrzeszenia był!  
W gwiazdę Polski orzeł biały  
Patrząc, lot swój w niebo wzbił.  
A nadzieją podniecany  
Woła do nas ze wszech stron:  
Powstań, Polsko skrusz kajdany,  
Dziś Twój triumf albo zgon!*

Pleśń, choć niezupełnie zastosowaną do warunków, w jakich znajdowali się w tej chwili śpiewający, podchwycili zcicha wszyscy. Idący za nimi: ów pan w niedźwiedziach, Żydzina staruszek a także ów młodzieniec w letnim palcie; usłyszawszy dźwięki pieśni, starali się dołączyć do niej i swoje głosy. Byli to, jak się później okazało: pan w niedźwiedziach — ksiądz unicki z za Lwowa, skazany na Sybir za to, że nie pozwalał prawosławnemu popowi zagarnąć swej cerkiewki, Żydzina — obywatel z Suwałk, były powstaniec z 63 r. i sybirak, ów młodzieniec wreszcie — pewien Czech, handlowiec, zaskoczony przez wojnę w Rosji i zesłany jako obcopoddany.

Pieśni nie bronił nikt śpiewać... Rozbrzmiewała też coraz głośniej.

Gromadka zesłańców zbcoczyła wkrótce w wielką ulicę i po dłuższej wędrówce doszła przed dom policji powiatowej. Tu znowu załatwiano formalności, na których zeszło kilka godzin. Wszystkich naszych chłopców i dziewczęta, z wyjątkiem Królickich, wyznaczono na pobyt do samego miasta Narymu. Julci i Józkowi przypadła wieś Parabel, położona kilkadziesiąt wiorst przed Narymem.

Króliccy zmartwili się bardzo powyższem zarządzeniem. Zasmuciło to całą gromadkę harcerzy. Pocieszano się tylko, że Mirski coś na to zaradzi. Zjawił się wreszcie Mirski. Dowiedziawszy się o nieszczęściu Królickich kazał zameldować się u naczelnika powiatu.

Po upływie pół godziny powrócił i oznajmił



młodzieży, że pojedzie razem z nią do samego Narymu, wioząc w swoich saniach wszystko, co jej będzie potrzebne i że po drodze będzie we wszystkim pomagał, na co naczelnik zezwolił. W Narymie zaś u tamtejszego komisarza załatwi sprawę Królickich.

Chłopcom i dziewczętom ta wiadomość poprawiła humor. Wkrótce zaprowadzono wszystkich na nocleg do szopy.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

## TREŚĆ CZĘŚCI PIERWSZEJ

	Str.
SŁOWO WSTĘPNE . . . . .	1
I W WIĘZIENNEJ CELI . . . . .	3
II NA WYGNANIU . . . . .	11
III ETAPEM . . . . .	18
IV U WRÓT SYBIRU . . . . .	23
V DORZECZEM OBI . . . . .	30
VI W SYBIRSKICH ATENACH . . . . .	37
VII W OCZEKIWANIU . . . . .	44
VIII ZMIANY . . . . .	52

## IX

### W DROGĘ NA ZESŁANIE

Noc, choć długa, przeminęła dość szybko. Koło dziesiątej godziny chłopców z kilkoma innymi więźniami, a między nimi byli wspomniani wyżej: ksiądz, Czech i Żyd, wezwano do kancelarji na górę i wydano po 18 rb. na odzież, przyczem pozwolono udać się ze strażnikami na miasto po zakupy.

Stefek zgromadził wokoło siebie dziewczęta i chłopców i rzekł:

— Wiecie, co mi przyszło do głowy?

— Cóż takiego?

— Chciałem wam zaproponować — ciągnął Stefan, — abyśmy pieniądze otrzymane na odzież, a które przecie wynoszą pokaźną sumę 126 rubli, ofiarowali naszym biednym towarzyszom podróży... Z pewnością wielu z nich nie starczy pieniędzy na kupno czegoś ciepłego, a patrzcie — tu pokazał nieznacznie na Czecha, — ten oto ma na sobie tylko letnie palto! Nam nic narazie nie potrzeba. Zaopatrzeni jesteśmy we wszystko, przytem



pan Mirski obiecuje nam towarzyszyć do samego miejsca pobytu!

— Druh Stefan ma rację! Pomóżmy temi pieniędzmi najbardziej tego potrzebującym. Tatuś mój będzie nawet bardzo rad z tego. Możeby się nawet gniewał, żeśmy wogóle brali te pieniądze— podchwyciła myśl Tęczyńskiego Zosia.

Po krótkiej dyskusji przyjęto projekt Stefka. Cała gromadka ruszyła z kancelarji na dół. Po chwili czwórkami w towarzystwie dwóch dozorców ruszono na miasto.

Pierwszym magazynem, do którego dozorczy wprowadzili całą gromadkę, był jakiś duży tatarski sklep z futrami i czapkami. Zaczęto oglądać kożuchy: były po 20 i 25 rubli, mniejsze i w gorszych gatunkach — nawet po 12. Zaopatrywano się, jak kto mógł. Chłopcy swoje pieniądze rozdzielili między Czecha, księdza i paru innych zesłańców, tak, że mogli oni zaopatrzyć się jeszcze i w buty, futrzane rękawice i czapki z futrzanemi nausznikami i naszyjnikami, opuszczanemi w miarę potrzeby.

Wracając z bazaru, więźniowie rozglądali się ciekawie po ulicach. Dziwne wrażenie robiło mnóstwo kręcących się bez konwoju pojedynczych i w gromadkach żołnierzy austriackich, jeńców wojennych, którzy mieli tu dość dużą swobodę, pracowali w różnych przedsiębiorstwach i mieszkali nawet prywatnie u swych chlebobawców.

Gdy wrócili przed dom naczelnika, uwagę mło-

dzieży zwróciły stojące przed domem wielkie choć lekkie sanie ze skórzanym daszkiem, zaprężone w parę dziarskich koni. Woźnica stał opodal u drzwi kancelarji. Były to sanie p. Mirskiego. On sam czekał na górze, w poczekalni.

— Jak się macie? — zawołał, witając się kolejno ze wszystkimi.

— Witamy pana! witamy! — wołali wszyscy, okrążając go.

Pan Mirski zaczął opowiadać, jak przyszykował się do drogi, co wiezie w saniach, które widziano przed domem. Dodał przytem, że za woźnicę wziął jednego z wygnańców, poleconych mu przez miejscowy Oddział Pol. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny, — młodego chłopca z okolic Janowa Lubelskiego. Chłopak ten, nazwiskiem Piotr Usidus, wysoki, silny i zdrow, zamiłowany w koniach, bo gdzieś tam służył we dworze, właśnie podczas rozmowy wszedł do poczekalni, oznajmiając panu Mirskiemu, że już „podwody” na paniczów czekają na podwórzu.

Z różnych pokojów kancelarji zaczęli wychodzić rozmaici urzędnicy, kręcić się po korytarzu, rozmawiać ze strażnikami, znowu wracać do swoich pokojów. Wreszcie zjawił się z dołu starszy strażnik i oznajmił, że czas jechać.

Dziesięć sań wkrótce ruszyło w drogę. Były to zwyczajne, niskie, rozszerzające się ku tyłowi drewniane sybirskie sanie, zaprężone każde w parę miejscowych, wytrzymałych na mrozy koni. Sanie takie, wysłane słomą, mogły pomieścić naj-



wyżej czterech ludzi. W pierwszych jechał starszy strażnik, prowadzący etap do Narymu, ze swoim pomocnikiem. Za nimi więźniowie w ogólnej liczbie dwudziestu czterech. Sanie szły w ten sposób, że na dziesięć par — tylko połowa miała woźniców i konie. Do każdego sań z woźnicą, który siedział bokiem, przywiązane były z tyłu drugie. W ten sposób sanie ciągnęły sznurem, co koń wyskoczy przez miasto. Zamykał je na ostatku znowu strażnik. Poza całym zaś orszakiem, nie należąc doń formalnie, pędził, nie chcąc zostać w tyle, pan Mirski w swoich, niemniej prostych, lecz innego kształtu krytych sankach. Pietrek, chcąc pokazać, że umie powozić, z wielką fantazją poganiał konie, trzaskając z bata. Przechodnie ulicznicy oglądali się za całym etapem, a patrząc na ostatnie konie, niewątpliwie myśleli, że pewnie sam naczelnik wybrał się do Narymu.

Sanie naszych przyjaciół były ostatnimi z więziennych. Od czasu do czasu rzucano z nich spojrzienia i uśmiechy ku panu Mirskiemu, który, choć nie tracił fantazji, widać było, że kryje w sobie jakąś troskę. A tą troską była myśl, czy dojadą szczęśliwie na miejsce, czy nie stanie się co w drodze, coby mogło go rozłączyć z tą miłą młodzieżą, a przede wszystkim z jego córką Zosią. Rozumiał, że jadąc w dziki, pusty kraj, setki kilometrów w towarzystwie tylko strażników, którym zbyt ufać nie było można, mając tylko chłopaka ze sobą, wystawiał się na poważne niebezpieczeństwo. Nie podobały mu się jakieś tajemnicze szept



pisarzy kancelaryjnych ze strażnikami przed odjazdem, co nie uszło jego uwagi.

Domyślali się przecież, że Mirski jest bardzo bogaty, że pewnie wiezie z sobą grube pieniądze, choć w istocie tak nie było, bo Mirski większą sumę przesłał z Tomska przekazem bankowym wprost do Narymu. Wiózł natomiast w saniach trochę potrzebnych na zesłaniu rzeczy, ale rozumiał, że musi się mieć na baczności. To też wziął z sobą dobrą broń, zaopatrzył i Pietrka, nauczywszy go obchodzić się z nią.

Minąwszy szybko miasto, jakimiś wertepami skierowali się ledwie widoczną wśród śniegów drogą w stronę Tomi. Wkrótce stanęli nad brzegiem i, zwolniwszy pęd, zaczęli opuszczać się ku dołowi, do skutej lodem powierzchni rzeki, biejącej, jak okiem sięgnąć ku północy, jaskrawą wstęgą w obramowaniu czarniawych borów, ciągnących się bez przerwy hen wokoło, setki mil na bezbrzeżnej równinie, którą tylko na południu zamykały fałdzisto niezbyt wysokie wyżyny.

Jazda przez Tom wpoprzek trwała kilkanaście minut. Z przeciwległego brzegu ukazał się Tomsk, wyglądający z daleka dość skromnie, ukryty częściowo w kotlinie Uszajki. Nie wydawał się już tak dużym i malowniczym, jak z wzgórz, znajdujących się wewnątrz miasta.

Droga prowadziła przez rzadki w tem miejscu las. Pierwszy to raz w życiu nasi harcerze zobaczyli zbliska, o kilka kroków od siebie, choć w przelocie coprawda, — tajgę, tę prawdziwą puszc-

czę sybirską, pełną tajemniczości i swoistego uroku, mroźną dla ludzi, co się z nią nie zżyli przez dłuższy czas, latem bagnistą i śmiercionośną skutkiem niezliczonych rojów komarów i muszek, wśród których niepodobna pojawić się na jedną choćby chwilę bez ochronnej siatki.

Drzewa były niezbyt wysokie, choć dość stare. Brzozy białawe, gdzieniegdzie olchy, lub pojedyncze sosny. Wszystko podszyte różnemi krzewami, które teraz zimą, zasypane śnieżnym puchem, zwiślały pod ciężarem, czerniąc się na tle nużącej oko bieli. Pustka i cisza była dokoła. Gdzie niegdzie jakiś ślad na śniegu wpoprzek drogi wskazywał, że przebiegł tędy szarak, czy jakieś inne stworzenie, ale było to zjawisko rzadkie. Mróz wzrastał z każdą chwilą. Wiatr, niosący z północy ostry podmuch podbiegunowych okolic, zaczynał przy oddychaniu dolegać trochę naszym młodym zesłańcom. Jechali pod wiatr, choć, siedząc tyłem, nie byli nań zbyt narażeni. Siedzieli przytuleni do siebie, owinięci w futra, nie mając żadnych rzeczy z sobą do pilnowania, bo wszystko zabrał Mirski na swoje sanie, nie mogli jednak z sobą rozmawiać. Patrzyli tylko dokoła, wchłaniając widoki, szybko zmieniające się, choć zresztą jednostajne.

Po przejechaniu kilkunastu kilometrów drogi nagle sanie zaczęły zwalniać nieco biegu. Za chwilę przebyły niewielki wąwóz, będący łożyskiem drobnej jakiejś rzeczki, jednego z licznych dopływów Tomi, i zaczęły wjeżdżać do cichej jakiejś wioski, a po chwili zatrzymały się na drodze przed do-



mami, z których wybiegli mieszkańcy, nie wyłączając maleńkich dzieci. Była to wieś Zierkalcewo.

Etap miał tu odpocząć pół godziny. Więźniom pozwolono zejść z sani dla wyprostowania nóg, a nawet zejść do chat na herbatę. Wszyscy skwapliwie z tego skorzystali. I nasi chłopcy i dziewczęta nie omieszkali uczynić tego samego, ale, o dziwo, zaledwie z wielkim trudem udało im się powstać z sanek... Ciężkie ubranie, zmęczenie z roztrzęsienia w niewygodnej pozycji, a głównie ciężar pimów, w które wszyscy byli zaopatrzeni a nikt nie był do nich przyzwyczajony, utrudniały ruchy. Przejście kilkunastu kroków do chat przedstawiało także trudność. Zgromadzono się w najbliższej chacie, gdzie i pan Mirski pospieszył, zostawiając sanie pod opieką Pietrka. W izbie oprócz naszych znajomych zebrało się jeszcze kilku innych zesańców i starszy strażnik. Na zaproszenie gościnnych gospodarzy usadowiono się przy wielkim stole. Za chwilę wniesiono olbrzymi samowar. Gospodyni wrzuciła do imbryka kilka kawałków używanej tu powszechnie t. zw. prasowanej herbaty, w tabliczkach.

Przy stole znalazła się również znana nam już trójka: ksiądz Winnycki, Czech Pospišil i ów stary Żyd, Brode. Z wielkiem zdziwieniem młodzież nasza zauważyła, że Czech, mimo że dostał od nich najwięcej pieniędzy na ubranie, po dawnemu jest tylko w swoim krótkim paltociku, jedynie nabył sobie spory i dość ciepły szal, czapkę i pimy.

— A gdzież pański kożuch?— zapytał go Kazik.



Czech trochę się zmieszał.

— Ja kożucha ne kupil...

Słyszając te słowa, wtrącił się wówczas Józek Królicki:

— A poco brał pan pieniądze na kożuch? Toż on panu najbardziej potrzebny!

— Daj spokój — rzekł szybko Staszek, trącając Królickiego, i ciszej dodał:

— To już taka „szwabska” natura... Woli marznąć, aby tylko grosz schować na później: od Niemców się tego nauczyli.

Po godzinie strażnik, uraczony przez pana Mirskiego, grzecznie przypomniał, że czas jechać dalej. Mirski chciał zapłacić gospodarstwu za gościnę, ale stanowczo i z godnością odmówili.

Pożegnawszy uprzejmym gospodarzy i podziękowawszy im za „czaj“, ruszono do sań. Minąwszy szybko wioskę, znowu wjechano w las. Wkrótce przebyto ze dwa kilometry po lodach jakiegoś większego dopływu Tomi. U stromych brzegów tej rzeki, w niewielkiej zatoczce, widać było kilka zimujących tu niewielkich statków parowych i barrek. Potem znów pędzono lasem, to znowu pustkowiem, gdzieniegdzie zarosłem krzakami. Na niebo wypłynął księżyc. Srebrzysty blask rozlał się dokoła, na śniegu kładły się fantastyczne cienie pni i gałęzi. Konie od czasu do czasu płoszyły się, gdy z przydrożnych krzewów zrywały się jakieś spore ptaki o białej barwie, które, unosząc się ciężko w powietrze, zdawały się być jakby z krainy duchów. Zaznaczyć trzeba, że w Sybirze

i wogóle krajach Północy wszystkie prawie zwierzęta zabarwiają się zimą na biało. Zmiana ta ułatwia ukrywanie się na tle śniegu, lub też podkradanie się do zdobyczy. Napotkane ptactwo było odmianą sroki (*Pica caudata*). Kilkakrotnie też płoszono później białe kuropatwy (*Sterna perdix*).

Mirski, wyjeżdżając z Zierkalcewa, za wiedzą starszego strażnika wziął do swoich sań Zosię. Dawno pragnął nacieszyć się nią, porozmawiać bez świadków. Zosia czuła się szczęśliwa, że narreszcie dotychczasowa ich rozłąka skończyła się, a za kilka dni będą niemal zupełnie wolni. Mirski rozpytywał Zosię o wszystko, informował się o jej przyjaciółkach. Szczególniej zaś zainteresował się Królickimi i obiecał zaopiekować się nimi nawet w kraju. Podobali mu się bardzo od pierwszego wejrzenia, jak zresztą i wszystkim naszym harcerzom.

Była już godzina dziewiąta wieczór, gdy sanie wjechały do nowej wioski, jeszcze skromniejszej niż Zierkalcewo. Wjeżdżając, spostrzeżono wynioślejszy jakiś budynek, stojący osobno na placyku, z wieżyczką, ozdobioną półksiężycem. Domyślano się, że musi to być meczet. Istotnie była to tatarska wieś Tigildiejewka, zamieszkała przez samych mahometan — Tatarów. Wszystkie sanie wjechały w podwórze jednego z okazalszych domów. Wyszło z niego kilku Tatarów, z którymi strażnicy pogadali, i po chwili zaczęto wypręgać konie, a więźniom polecono udać się do jednej z najbliższych chat.



Mirski, po porozumieniu się ze strażnikiem, kazał Pietrkowi zajeżdżać saniami pod dach wielkiej szopy, stojącej w pobliżu, a właściwie stajni. Stajnie bowiem w tych stronach nie są budynkami, zaopatrzonemi w ściany, są to jedynie drewniane ogrodzenia, pokryte gontem lub warstwą chróstu.

Wszyscy zebrali się w jednej izbie. Tatarzy, mieszkańcy domu, już spali. Zagotowano więc tylko wody na herbatę i wkrótce ułożono się do snu na podłodze i na narach.

Dziewczęta miały nocleg w dużej osobnej izbie. Chłopcy z innymi więźniami mieli jeszcze większy pokój, gdzie jednak prędko zrobiło się duszno, bo panuje tu zwyczaj zabijania na zimę okien na głucho.

Pan Mirski udał się do swoich sań i, wyprawivszy do mieszkania Pietrka, postanowił w nich noc spędzić. Sanie były wygodne i ciepłe, lepiej też było w nich nocować niż gdzieindziej.

Gdzież go losy przyniosły—myślał Mirski, ułożyvszy się w saniach. Niespodziewanie, on, co pół świata już zwiedził w wygodnych warunkach, nawet w komforcie, choć nieraz zresztą i z przygodami, teraz oto spoczywa w saniach, pod dachem stajni sybirskiej!...

I przyszedł mu na myśl czytane gdzieś wiadomości o tutejszych Tatarach. Że to potomkowie tych, co tworzyli niegdyś potężne tutaj państwa a wyprawami swemi zagrażali całej Europie... Dzisiaj Tatarzy obok Ostjaków, dalej na północ



mieszkających, są w Tomskiej gubernji prawdziwymi tuziemcami, jeśli się nie liczy Samojedów, którzy choć kraj Narymski również zamieszkują, ale przeważnie są jeszcze bardziej na północ osiedleni. Tatarów gubernji dzielą na potomków t. zw. Tatarów Euchtyńskich, którzy przyjęli poddaństwo rosyjskie w 1604 r., na Tatarów Gubskich, którzy przywędrowali z bardziej zachodnich miejscowości—na Tatarów Barabińskich, Czułymskich, Tomskich, Tomsko-Kuznieckich, czyli Czerniowych i t. d. Teren, gdzie mieszkają Tatarzy Euchtyńscy, do których należeli i mieszkańcy Tigildiejewki zajmuje wielką przestrzeń środkowego pasa gubernji. Większość tych Tatarów nie różni się prócz religji niczem innym od Rosjan. Na zachodzie i południu kałmuckie, kirgiskie i mongolskie, a na północy fińskie ludy mieszały się z tymi Tatarami, wprowadzając swe obyczaje i ducha, z tego też powodu spotkać można między nimi wielką różnorodność na przestrzeni już nie gubernji, lecz jednego nawet powiatu.

Noc była cicha, spokojna. Mirski, mając przy sobie nabity doskonały browning, wkrótce usnął. Budził się jednak kilka razy i nasłuchiwał, czy się kto nie skrada. Cisza pogodnej nocy usypiała go jednak z powrotem i zbudził się ostatecznie dopiero nad ranem, gdy ruch się zrobił na podwórzu.

## KU UJŚCIU TOMI

Po śniadaniu ruszono w dalszą drogę. Choć była już dziesiąta rano, z powodu ciężkich śniegowych chmur na całym niebie ponuro było na dworze. W chwili wyjazdu zaczął padać śnieg, zasłaniając dalszy horyzont, odczuwać się też dawał coraz silniejszy wiatr północny. Zanosiło się na śnieżną zawieję. Jechano we wczorajszym porządku: zastęp naszych harcerzy w ostatnich dwu parach sani, za nim Mirski, który tym razem wyprawił Pietrka na sanie dziewczynek, a sam zabrał je do siebie, mając na względzie, że będzie im wygodniej jechać w zakrytych saniach. Strażnicy nic przeciwko temu nie mieli.

Konie po wczorajszej 24-o kilometrowej podróży i nocnym odpoczynku nie były zbyt zmęczone, pędzono więc z całych sił. Droga prowadziła po zmarzniętej powierzchni jakiegoś niewielkiego dopływu Tomi, idącego prawie równolegle do niej. Obydwa brzegi zarastał bór, który ledwo było widać przez padający gęsty śnieg. Pan Mirski sam powoził, ale ponieważ konie szły za innemi, miał czas na pogawędkę z dziewczynkami, które, wtulone w głąb sanek, zabezpieczone przed śniegiem, mogły rozmawiać bez przeszkód.

— Jedziemy — mówił pan Mirski — prawie na północo-zachód, zbliżając się coraz bardziej ku rzece Ob', do której Tom' wpada.

— Tom' to chyba tak duża rzeka, jak nasza Wisła?—odezwała się Julcia, przypominając sobie widok obu rzek: Tomi pod Tomskiem i Wisły pod Warszawą.

— Tak — odpowiedział pan Janusz — prawie taka sama. Wisła ma około tysiąca z czemś kilometrów, Tom' tylko niecałe 700. Pod Tomskiem zaś szerokość jej będzie taka sama jak Wisły pod Warszawą.

— A skąd Tom' wypływa? — zapytała Zosia.

— O, gdzieś z górskich błot na zboczach szczytu, zwanego Karłygan-Taskyła, w pasmie Ała-Tau Kuznieckiem, będącem przedmurzem Altaju, prawie na samej granicy Jenisiejskiej gubernji. Wybierając się w tę drogę, studjowałem umyślnie mapę Tomskiej gubernji i pamiętam to dobrze. A trzeba wam, moje panienki, wiedzieć, że rzeka Tom', można powiedzieć, jest górską na całej prawie przestrzeni: posiada strome, wysokie, zwłaszcza prawe brzegi, prąd bystry, częste porohy. Dopiero od Tomska, odkąd się zaczyna nizina Sybirska, a więc na przestrzeni zaledwie 50 klm dolnego biegu, rzeka ta staje się nizinną, rozlewając się szerzej i płynąc wolniej. Dziś prawdopodobnie miniemy jej ujście i będziemy już jechali po królowej rzek syberyjskich, potężnej Obi.

Wkrótce dojechano do nowej wsi — Ługowej. Ponieważ burza śnieżna nie ustawała i wszyscy mocno przemarzli, postanowiono urządzić tu odpoczynek, mimo, że ujechano od Tigildiejewki zaledwie dziesięć kilometrów. Naturalnie nie obeszło



się znowu bez „czaja“. Zbawczy ten napój szybko wszystkich rozgrzał, najbardziej jednak potrzebny był oszczędnemu Czechowi, który wybrał się w drogę bez kożucha. Zmarzył biedak tak straszliwie, że prawie zsiniał zupełnie. Że całkiem nie zamarzył, zawdzięczał temu, iż kazano mu biec co jakiś czas, trzymając się pędzących sanek. Rady tej posłuchał i biegł za swojemi saniami znaczną część drogi. Ale też ledwie miał siłę wejść po tej gonitwie do izby. Gdy go w tym stanie zobaczyli nasi chłopcy i dziewczęta, żal im się go mocno zrobiło. Najbardziej nawet posmutniał Józek, co tak się wyśmiewał z jego skąpstwa. Zwrócił się też do Stefka na stronie:

— Jakby tu pomóc temu Czechowi? W co by go ubrać, żeby nie zmarzył znowu?

— I ja o tem myślę! poczekaj, pomówię z panem Mirskim — odrzekł zapytany.

Dziewczynki i pan Mirski zajęli się przyprowadzeniem Czecha do stanu normalnego. Zaczęto go poić gorącą herbatą z cytryną, dano mu się napić wina, które Mirski wyciągnął ze swej walizki. Wreszcie pan Mirski przyniósł z sań ciepłą burkę czerkieską i dał ją Czechowi.

Masz pan to okrycie! W Narymie, jak dojeździemy, kupi pan sobie co innego a tę burkę mi pan odda — rzekł Mirski do Czecha. — Dać jej nie mogę, bo pamiątkowa, zresztą wiem, że ma pan pieniądze na kożuch i powinien był go pan sobie kupić. To, panie, tutaj Sybir, nie Czechy i mrozy z ludzi nie kpią, a tembardziej nie radzę, by ludzie z mrozów kpili...

Czech bardzo dziękował za pomoc.

Tymczasem burza śnieżna zaczęła się zmniejszać. Wiatr zwolna ustawał. Śnieg padał już sporemi płatkami, nie drobnymi ziarneczkami jak dotąd, co wskazywało, że robi się cokolwiek cieplej. Raźniej też siadano znowu do sań i spoglądano na rozjaśniającą się okolicę. Droga wciąż szła po powierzchni rzeki, zamarznętej i pokrytej grubą warstwą śniegu. Obserwować można było teraz już łątwo bór, co się ciągnął bez przerwy na całej przestrzeni jak czarna ściana, stojąca w morzu śnieżnej bieli.

Po przebyciu piętnastu kilometrów, częściowo już po rzece Tomi, dojechano do wsi, zwanej Kozuliną. Zostało jeszcze drugie piętnaście klm. do ujścia Tomi. Po godzinnym wypoczynku ruszono dalej.

Ponieważ konie pędziły żwawo, u brzegów Obi etap stanął w ciągu godziny. Zbliżała się już czwarta po południu. Więźniowie ujrzeli to tylko, że ze śnieżną równiną Tomi, po której jechali, naraz połączyła się dwakroć szersza, niczem nie różniąca się równina Obi. Połączone obiedwie rzeki tworzyły teraz otwartą białą przestrzeń szerokości półtorakilometrowej. Tajga tu również nie dochodziła do samych brzegów, zdaleka tylko gdzieniegdzie ukazywała się na horyzoncie.

Zachodzące słońce przedarło się z za opony chmur i czerwonym blaskiem zakrwawiło zachodni horyzont; w tej czerwieni na lekkim wzniesieniu po lewej stronie Obi zarysowały się wkrótce



domostwa Nowej Braginy, wsi, wyznaczonej na popas. Ponieważ dzięki wypogodzeniu się, zapowiadającemu zresztą na następny dzień duży mróz, jeszcze nieprędko mógł zapaść mrok taki, żeby jechać nie było można, przytem księżyc przedierał się zwycięsko przez chmury, dowódca etapu zdecydował się jechać do następnej najbliższej stacji — wsi Jegłowskiej, odległej o 12 klm.

Ciemno już było, gdy etap przybył do Jegłowskiej. Z rozkwaterowaniem zesłańców była trudniejsza sprawa, przeznaczone bowiem na to mieszkania nie mieściły się obok siebie. Ale naszej gromadki nie rozłączano. Ulokowała się ona w domostwie jakiegoś zamożnego gospodarza, który kazał nastawić samowar, poprosił do stołu i sam zasiadłszy obok, zaczął rozmowę.

Był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, o rysach twarzy bardzo sympatycznych, nie rosyjskich. Spostrzegłszy, że wszyscy mówią po polsku między sobą, zapytał:

— Państwo, zdaje się, jesteście Polakami?

— Tak! Jesteśmy Polacy...—odpowiedział Mirski, patrząc na niego pytająco.

Gospodarz opuścił głowę z jakimś dziwnym uśmiechem, a po chwili rzekł poważnie po rosyjsku:

— Tak! mój ojciec był Polakiem!...

Wszyscy spojrzeli na niego z zaciekawieniem, a on ciągnął dalej:

— Mam prawie 50 lat. Nazwisko moje: Jan Bronisławowicz Pągowski. Ojciec był tu zesłany



za udział w powstaniu. Ale matka była już ruska...

— A dawno umarł pański ojciec? — zapytał Mirski.

— O, już dawno! Przeszło dwadzieścia lat temu. Ożeniłem się oto z córką też powstańca. Ej, starucha, pokażno się!—zawołał, zwracając się do młodej jeszcze kobiety, krzątającej się koło samowaru w kuchni—i oto dzieci mam sześcioro. A najmłodszemu na pamiątkę dziadka dałem imię Bronisław...

Wyszła z kuchni pani Pągowska. Z rysów też nie przypominała tutejszych kobiet rosyjskich. Domyślając się, o co chodzi mężowi, stanęła we drzwiach z lekkim uśmiechem i jakby pewnem zawstydzieniem.

— A czy kto z państwa mówi po polsku? — pytał po rosyjsku Stefan.

— Mówić nie mówimy, ale rozumiemy cokolwiek po polsku — odrzekł Pągowski.

— Jeżeli więc jest pan synem Polaka, to pan jest Polakiem, powinien pan nim być!—wykrzyknął z przekonaniem Kazik.

— A ja urodziłam się w Polsce — próbowała po polsku odezwać się Pągowska.

— W Polsce? A gdzie?—spytał Mirski.

— W Iłży, miasteczku gubernji Radomskiej — odpowiedziała.

— No, a jakżeście państwo znaleźli się tutaj?—pytał znów Mirski.

— Ojca tutaj zesłali, za nim przybyła moja

matka wraz ze mną, wówczas jeszcze małym dzieckiem. Ale pomarli oni dawno i od dziesiątego roku życia zostałam sama sierota, którą się obcy zaopiekowali.

— A gdzie ten wasz Bronisław, pokażcie go nam! — prosiła Zosia.

— Bronek! Bronek! — zaczęła wołać Pągowska.

Z drugiej izby ukazał się dość śmiało ładny ośmioletni chłopczyzna, patrząc rozumnymi oczami na gości, którzy też w milczeniu przyglądali mu się z zaciekawieniem. Stał u progu, nie ruszając się dalej, nie wiedząc, co z sobą robić, czy iść do matki, czy zawrócić, bo na widok obcych ludzi śmiałość go opuściła.

— Więc to najmłodszy syn? — spytał Mirski Pągowskiego.

— Tak, najmłodszy.

— Chodź do mnie, Bronciu! — zawołała Jadzia, podnosząc się z miejsca, by do niego podejść.

Ale chłopak cofnął się do ciemnej izby i dopiero matka wyciągnęła go za rękę i przyprowadziła do pana Mirskiego, głaszcząc po płowej główce, co przytuliła się do matki, pytającym wzrokiem zdając się mówić: czego oni chcą odemnie i co to są za jedni?

— Zaczny to polski naród i mądry — rzekł jakby do siebie Pągowski. — A i dobry był mój ojciec...

— A on rozumie po polsku? — spytał się Staszek pani Pągowskiej, pokazując na chłopaka.

— Rozumie. On nawet chce mówić czasami po polsku.

— Tak?! — zdumieli się wszyscy.

— Ty rozumiesz po polsku? — zapytał Stefek malca.

— Da. Razumieju troszko — odrzekł Bronek.

— A jak się nazywasz i kto jesteś? — spytał Mirski.

— Moja familja Bronisław Iwanowicz Pałowski. Ja russkij...

— A czem ty chcesz być, Bronku? — zapytała Julcia.

— Ja budu tem, czem papa, chaziainom (gospodarzem).

— A o dziadku swoim słyszałeś? — pytał się dalej Mirski już po rosyjsku, widząc, że słownik polski chłopca jest bardzo szczupły.

— Słyszałem, ale nie chcę być takim, jak on...

Pan Mirski spojrział zdumiony na starego Pałowskiego.

— A dlaczegoż to tak?

— Dieduszka był miatieżnikiem (buntownikiem).

— A któż ci to tak powiedział?

— W szkole uczyliśmy się o polskim powstaniu...

Posmutnieli harcerze, usłyszawszy te słowa. Spostrzegli, że w tym domu syna i córki wygnanców ducha polskości zamarł zupełnie.

Reszta wieczoru przeszła mniej ciekawie.



## W KRAJ OSTJAKÓW

Wyjazd z Jegłowskiej z powodu zmiany koni nastąpił dopiero koło dziesiątej. Mirski wypożyczył parę koni do najbliższego noclegu, do wsi Ambarcewa, odległej od Jegłowskiej mniej więcej 70 kilometrów. Tę przestrzeń obiecywano sobie przejechać jednego dnia. Podróż do Narymu trwa zwykle tydzień: przez pierwsze trzy dni przejeżdża się codzień coraz większe przestrzenie, przez pozostałą połowę—coraz mniejsze. Ponieważ był to już trzeci dzień podróży, wypadało więc przebyć największy dystans jednodniowy. Gdyby to była jazda w kraju, gdzie istnieją jakie takie drogi, przy dobrych koniach przestrzeń taka byłaby bagatelą. Ale na Sybirze często kilometr trudniejszy jest do przebycia niż cała mila, a może i dziesiątek mil u nas. Nic też dziwnego, że perspektywa przebycia w tym dniu z górą dziesięciu mil—wywarła żdziwienie. Jednak dzień zapowiadał się ładny, choć mroźny. Nie było na szczęście wiatru. A na Sybirze nawet 40-stopniowe mrozy łatwe są do zniesienia, gdyż zwykle towarzyszy im zupełna cisza.

Dokoła wszystko się szklilo i kapało w blaskach słońca, które już wysoko podniosło się na niebie, gdy pierwsze sanie wyruszały co koń wyskoczy z Jegłowskiej. Przy zjeżdżaniu z wysokiego brzegu, sanie chłopców, przywiązane do innych, przy raptownym zakręcie nie utrzymały równo-

wagi i, nachyliwszy się zbyttnio, tak silnie wyrzuciły wszystkich czterech chłopców, że znaleźli się raptem o sześć kroków od drogi, po uszy w śniegu, jeden na drugim.

Stało się to tak szybko, że jadący tuż w saniach ze strażnikiem Pietrek nie zdołał zatrzymać koni i o mało co też się nie wywrócił. Pierwszy zatrzymał się jednak, zeskoczył z sani i zaczął pomagać „paniczom“ wydostać się ze śniegu. Niełatwa to była wcale sprawa, bo ciężkie kożuchy, w które byli odziani, niezgrabne pimy, czapki futrzane i wogóle cały rynsztunek zimowy nie pozwalał im ruszać się prawie nietylko w śniegu, ale i na jaknajrówniejszej drodze. To też komicznie wyglądała cała czwórka, gramoląca się po szyję w śniegu. Przy pomocy strażnika i Mirskiego udało się chłopcom powrócić do normalnej pozycji i po zrzuconiu z siebie kożuchów wybrnąć na drogę do sań. Przygoda rozbawiła jej bohaterów, a śmiały się też dziewczynki, które choć nie widziały samego wypadania druhów z sań, miały jednak możliwość później obserwowania, jak wydostawali się ze śniegu. Za chwilę ruszyli wszyscy dalej i dogonili odległe już prawie o kilometr pozostałe sanie, które nawet nie spostrzegły całej przygody.

— Zmierzyliśmy jednak głębokość warstwy śnieżnej — rzekł Staszek.

— No, na ile obliczasz? — pytał Józek.

— Oblicz sam — powiedział Stefek.

Józio obliczał, ale nie mógł się doliczyć, bo Kazik twierdził z całym przekonaniem, że bynaj-



mniej na dno śniegu się nie zapadli, najwyżej do połowy. I słusznie, bo pokrywa śnieżna w tych miejscach sięga często półtora sążnia grubości (t. j. 3 m.), a w miejscach nawianych i dwakroć więcej. W niespełna dwie godziny po wypadku etap przybył do wsi Karnauchowo, gdzie postój trwał trzy kwadranse i gdzie naturalnie nieomieszkało skorzystać z gościnności miejscowych gospodarzy Rosjan, napić się herbaty i coś podjeść, bo dalej już zacząć się miał kraj Ostjaków, u których niezawsze można znaleźć „czaj“ i gdzie wogóle o gościnę trudniej, wsie zaś rosyjskie stają się coraz rzadsze.

Zesłańcy nasi coś nie coś już wiedzieli o wymierającym tym ludzie, należącym do najbliższych krewniaków kulturalnych Finlandczyków. Przypomnieli też sobie, że wogóle w kraju Narymskim obok ludności napływowej — kolonistów Rosjan i zesłańców, wśród których są reprezentowane wszystkie narodowości, państwo carów zamieszkujące, najliczniej jednak bodaj i od najdawniejszych czasów daninę krwi swojej składający Polacy, — jest tu i ludność tubylcza, odwiecznie te miejscowości zamieszkująca — właśnie owi Ostjacy, oraz Samojedzi.

Jak jeden tak drugi lud należy do szczepu fińskiego, są więc sobie bardzo bliskie. Ostjacy zamieszkują całe prawie dorzecze dolnej i środkowej Obi w Tobolskiej gubernji, w północnych częściach zastępują ich Samojedzi. Ale i w obrębie gub. Tomskiej kraj Narymski posiada obiedwie



grupy. Ostjacy zamieszkują tajgę i błota, t. zw. Wasiuganja, t. j. część lewobrzeżną Obi i jej dopływów z Wasiuganem—Samojedzi zaś t. zw. właściwy kraj Narymski, t. j. prawobrzeżną część Obi z dopływami Ketią i Tymią. Właściwie owi Samojedzi nie są prawdziwymi Samojedami, jak ci, co żyją w północnych częściach Tobolskiej gub. u brzegów Oceanu Lodowatego, lecz stanowią mieszaninę z Ostjakami, typ t. zw. Ostjako-Samojedów.

Ostjacy i Ostjako-Samojedzi oficjalnie wszyscy są uważani za prawosławnych, faktycznie jednak pozostali poganami jak dawniej.

Wszyscy prawie mówią po rosyjsku a z Samojedów  $\frac{3}{4}$  utraciło nawet zupełnie swój własny język, przyjmując ostjacki. Uważać ich można za ludy osiadłe, choć część Ostjako-Samojedów do dziś dnia jeszcze koczuje, a i sami Ostjacy latem mieszkają czasowo tam, gdzie uprawiają swoje rzemiosło, t. j. myślistwo — w lesie, zimą zaś — w t. zw. jurtach, t. j. wioskach złożonych z 2—5 chałup.

Do pierwszej z takich jurt ostjackich, mianowicie Jurt Patrakowych, przybył etap po dwu godzinach jazdy.

Ostjacy, z którymi tu po raz pierwszy spotkano się w podróży, powylegali z chat. Niemiłe robiły wrażenie niewielkie postacie o słabej piersi i długich rękach, patrzące przed siebie czarnymi, wąskimi ropiejącymi wiecznie oczami. Twarze wszystkich były brudno-szarej barwy z wystają-

cemi kośćmi policzkowemi, usta szerokie o cienkich wargach. Głowy pokryte gęstymi twardemi, czarnej barwy długimi włosami, które, nigdy nie czesane, pełne były brudu i robactwa. Twarz Ostjaków nie posiada prawie wcale zarostu. Ubrani byli w płócienne koszule i spodnie z obrobionej skóry jeleniej, na wierzch narzucili szuby również ze skór jelenich, szerścią wewnątrz, a na nogach mieli t. zw. czyże, t. j. skórzane pończochy. Odzież mężczyzn jak i kobiet mało co się różniła od siebie.

Zesłańcy wysiedli z sań i zaczęli oglądać domy Ostjaków.

U najbiedniejszych Ostjaków spotyka się tak zw. „ziemianki“, niegłębokie, pokryte darnią i ziemią, z otworem u góry dla światła i dymu. Bogatsi stawiali drewniane belkowe domki, dość niskie z dachem pochyłym, dwustronnym, lecz również przysypanym ziemią. W oknach takich domków były nawet szyby, choć w wielu wypadkach zamiast szyb wstawiana była tafla lodu.

Do Ambarcewa, gdzie przypadał tego dnia nocleg, było jeszcze około 50 klm., należało się śpieszyć, by zdążyć przed nocy. Była już druga godzina po południu. Znowu spuszczone się na Ob', ostrożniej jednak niż w Jegłowskiej i co koń wyskoczy popędzono naprzód.

Słońce zaczęło rzucać krwawe blaski na szczyty drzew tajgi, coraz gęstszej tu i rośniejszej. Z nastającym zmrokiem na pogodnym czarnym widnokręgu zaczęły błyszczeć tysiące gwiazd i mróz za-

czął się stawać coraz dotkliwszy. Szczęściem — niewiele czasu trzeba było jeszcze jechać. Ukazały się wkrótce Jurty Ambarcewy na prawym brzegu Obi. Już była noc zupełna, gdy zapukano do jednego z okazałych domków, gdzie był wyznaczony przez strażnika nocleg.

## XII

### TRAKTEM MOŁCZANOWSKIM

W Ambarcewie Mirski na drugi dzień rano nie mógł wypożyczyć koni, to też znowu kazał Pietrkowi zaprząć do sań własną parę, która, choć przebiegła poprzedniego dnia całą dziesięciomilową przestrzeń, nie była zbyt zmęczona. Od tej wsi jednak warunki dla naszej młodzieży zmieniły się cokolwiek na gorsze. Strażnik nie pozwolił już nikomu jechać w saniach Mirskiego. Tłómaczył, że wkrótce będą przejeżdżali przez Mołczanowo i inne miejscowości, gdzie są już zesłańcy, a więc i obcy strażnicy.

Przejechali na lewy brzeg Obi i zboczyli od rzeki na zaczynający się tu znany trakt Mołczanowski, skracający drogę do wsi tej nazwy i dalej, aż do Jurt Sungurowych o 50 klm. przeszło na północ, gdyż Ob', w tem miejscu tworzy wielkie kolano ku północo-wschodowi, łącząc się z jednym z największych swych dopływów, Czującymem, rzeką mającą około 2 tysięcy klm. długości, a bio-



rażą swój początek podobnie jak Tom', u stóp gór Ała-Tan.

Trakt w Narymskim kraju należy do osobliwości. W krainie, gdzie dokoła są nieprzebyte puszcze leśne, bagna, tysiące rzeczek i dużych rzek we wszystkich kierunkach, gdzie ludności nadzwyczaj mało, trudno o drogi wogóle. Latem ludność korzysta z komunikacji wodnej, nadzwyczaj rozgałęzionej i, zwłaszcza na Obi', zupełnie nawet uregulowanej, zimą—jazda saną po szlakach rzek—to jedyny możliwy sposób lokomocji. To też, tylko gdzieś, między ruchliwszemi miejscami i to dzięki szczególnie sprzyjającym warunkom zbudowano jakie takie połączenie drogowe. Trakt ten jednak to nie szosa, lecz prosta droga poprzez puszcze, dzika, opustoszała, miejscami bardzo małownicza.

Jadąc traktem przymusowi wędrowcy znowu podziwiali zbliżoną puszcze, złożoną ze wspaniałych limb (t. zw. cedrów syberyjskich), świerków i jodeł, z małą domieszką osiny, brzozy i modrzewia. To też, coraz częściej na tle bieli polanek widziało się ciemnozielone ściany leśne, nie te suche czarne szkielety drzewne, które za Tomskiem poprzez rzekę widać było na horyzoncie. Pogoda dopisywała, ale wicher północny niósł przejmującą chłód. Szczęściem, droga prowadziła przez lasy, gdzie siła wiatru znacznie była słabsza. Minęto wkrótce dużą wieś Mołczanowo, od której nazwa traktu pochodzi, a gdzie etap zatrzymał się na godzinę zaledwie.

Więźniowie przyglądali się miejscowości z ciekawością, spotykając tu po raz pierwszy zesłańców politycznych, przeważnie robotników rosyjskich, którzy otoczyli gromadnie przybyłych, zapytując o wieści ze świata. Szczególniejsze zainteresowanie wzbudzały nasze dziewczęta, a niemałe zaciekawienie wywoływała osoba Mirskiego, który cieszył się zupełną swobodą i rozmawiał ze wszystkimi bez świadków w osobie strażników. Kilku miejscowych zesłańców wręczyło Mirskiemu parę listów z prośbą o doręczenie adresatom w Kołpaszewie, Togurze i Narymie. Ten zwyczaj praktykuje się tu często, gdyż tą drogą można ominąć „czarny gabinet“ przystawa, który kontroluje treść listów.

Za Mołczanowem trakt przeciął Ob' prawie ku u ujścia t. zw. pratoki, t. j. rękawa Obi, która im dalej ku północy, tem coraz częściej płynie dwiema lub nawet kilkoma mniej więcej równoległymi korytami, nieraz kilkanaście klm. odległemi jedno od drugiego. Resztę drogi przejechał etap bez żadnych przygód wśród lasów i pustkowi, ubielonych jak wszystko o tej porze na całej Syberji, całunem śniegu kilkometrowej nawet grubości.

Wieczorem etap zatrzymał się w Jurtach Tiskinych na czwarty z rzędu nocleg po wyjeździe z Tomaska. Dzięki staraniom Mirskiego strażnik dał się skłonić, że nocleg dla naszej gromadki wypadł razem w jednym domu. Jakiś zamożny kolonista odstąpił przybyszom całą dużą izbę, udzielając sporą ilość siana na poślanie a nawet poduszek.



Naturalnie — nocleg mógł być tylko na podłodze. Nim jednak ułożono się do snu, zawiązała się gawęda.

Rozmowę zaczęła Julcia Królicka.

— Kiedyż nareszcie zajedziemy na miejsce! Już czwarty dzień minął od wyjazdu z Tomaska!

— Nie dziw się, moje dziecko — odrzekł pan Mirski, który już tak się zaprzyjaźnił ze wszystkimi harcerzami, że mówił im prawie po imieniu — jesteśmy w Sybirze, gdzie te wielkie przestrzenie, które przejeżdżamy, są jeszcze niczem. Trzeba wam wiedzieć — (tu zwrócił się do wszystkich) — że jedna gubernja Tomaska, mająca przeszło 750 tysięcy kilometrów kwadratowych, jest taka, jak nasza Polska za najlepszych czasów panowania Batoiego. Sam kraj Narymski, który jest tylko północną częścią powiatu Tomskiego, ma przestrzeń nie ustępującą Kongresówce! Nic więc dziwnego, że jedziemy i jedziemy, a prawie z miejscami się nie ruszyli. Trzeba by spojrzeć na bardzo wielką mapę, żeby dopiero pewne przesunięcie się na niej zauważyć. Tak! To Sybir, nie Polska!..

— Ten Sybir, co tylu naszych rodaków pochował w swych niezmiernych przestrzeniach, zgębił i wynarodowił od czasów listopadowego powstania, co mówię! od czasów rozbiorów Polski! — dorzucił Stefan.

— I kto by mógł pomyśleć kiedyś, że i nas tu los zapędzi!.. — z zadumą rzekła Zosia.

— Dużo świata przejechałem i pragnąłbym



jeszcze przejechać, ale, przyznam się, nie myślałem nigdy o tym kraju — rzekł Mirski.

— Swoją drogą, ta Syberja to nie taka straszna, jak ją malują — odezwał się Staszek. — Jadąc tutaj, wyobrażałem sobie wszystko w świetle o wiele gorszem, tymczasem widzę, że tu jest trochę cywilizacji... Niema co, przyznać trzeba, że jest tu trochę Europy...

— Chyba jednak nie tej prawdziwej Europy, lecz wschodniej, rosyjskiej... — odezwał się z ironją Stefan.

— No tak, naturalnie! — bronił się Staszek. — Przyznacie jednak, że nie spodziewaliście się oto, będąc o jakieś dwieście kilometrów od najbliższej kolei, w głuchej pierwotnej puszczy, gdzieś prawie w pobliżu tundr północy, kłaść się spać np. w takim jak ten pokoju, o czterech wielkich oknach z firankami, umeblowanym wcale przyzwyczajeniu, posiadającym ot takie wspaniałe tremo, nawet ten oto gramofon...

— Racja!.. Tu czuć... Europę! — dorzucił Kazik. Zaśmieli się wszyscy.

Pan Mirski po chwili odezwał się:

— Faktycznie Syberja jest o wiele kulturalniejsza od rdzennej, t. j. środkowej Rosji. Tutejsi koloniści to prawie wszyscy bogacze. Mają moc ziemi i lasów. Ziemia, choć nieurodzajna, na łąki jednak zdatna, toteż popatrzcie, ile koni i krów tutaj każdy posiada. Spytajcie się dalej, czy drogie tu drzewo? Biorą, ile chcą z lasów... Jakże więc gospodarz tutejszy nie ma zawiesić sobie w oknach

firanek, postawić lustra lub gramofonu? Stać go na to, zresztą chce sobie uprzyjemnić pobyt w tych pustkowiach. Tutaj i wódka go nie zabija w tym stopniu jak w Rosji. Odcięcie od świata, dziewicza surowa przyroda dokoła wywierają swój wpływ.

— Ale, proszę pana, powinni by tutejsi Moskale pamiętać, że są przybyszami tylko, najeźdźcami, można powiedzieć — odezwał się Stefek. — Może ludność miejscowa, ci Ostjacy, Samojedzi czy Tatarzy zechcą tu sami rządzić, co wówczas zrobią przybysze ze swemi tremami i gramofonami?

— Pewnie, że Moskale są tu przybyszami, nie wierzę jednak, by tubylcy chcieli i mogli kiedykolwiek stać się z powrotem gospodarzami tego kraju...

— Dlaczego? — zapytała Zosia.

— Bo przedewszystkiem ludów tych, zwłaszcza Ostjaków i Samojedów jest w całym Sybirze nadzwyczaj mało, najwyżej kilkadziesiąt tysięcy. Nie są oni też dotąd oświeceni, do tego napół osiadli, przytem z natury dość upośledzeni...

— Ale dlaczego ich tak mało na takich przestrzeniach olbrzymich? — zapytał Józek, przysłuchujący się do tej pory z uwagą całej rozmowie.

— Dlaczego? — powtórzył p. Mirski. — Nie dziw się, mój kochany... Wszystkie ludy pierwotne, ci Ostjacy np., jak to oddawna stwierdzone, giną stopniowo w zetknięciu z ludźmi od siebie kulturalniejszymi, a zaledwie mała część podnosi się na podobny stopień cywilizacyjny.



Dziś życie Europejczyka rozwija się w szybkim tempie, rozwój takich Ostjaków jest bardzo powolny. Ich wszystkie urządzenia, przepisy, zwyczaje ulegają zniszczeniu. Dla nich napływ nowych ludzi — to śmierć. Przecież niszczy się lasy stopniowo na budowę miast i wsi, na opał. Gdzież polować? Trzeba oddalać się, wędrować coraz dalej... Co niosą zresztą nasi kulturalni kolonizatorowie tym pierwotnym ludom? Wódkę, którą spajają myśliwych zwłaszcza i rybaków, by od nich wyłudzić, co się da: drogocenne futra, ryby, orzeszki limby. A od wódki, zresztą od różnych chorób, które tu również zawleczono, a z których leczyć się niema czem i przy pomocy kogo, musi taki lud pierwotny ginąć...

— Istotnie, czytałem nawet, że statystyka stwierdza wymieranie Ostjaków — potwierdził Staszek.

— Więc te olbrzymie przestrzenie muszą stać się własnością najeźdźców?

— Hm, trudno powiedzieć, czy obecni przybysze utrwala się tu nazawsze. To pewna, że w Syberji żywioł rosyjski stanowi olbrzymi procent w porównaniu z rozmaitymi ludami miejscowymi.

— Szkoda mi jednak Syberii dla Moskali! — rzekł Józek.

— Wolałbyś, żeby Syberja była ostjacką czy tatarską? — zapytał Mirski.

— Żeby kto inny był władcą tego niezmiernego kraju? — dorzucił Stefan.

— A pewnie! — odpowiedział Królicki. — Czemu to Moskal ma mieć tyle ziemi, a inne narody nie?



Czemuby i nam tu się choć trochę nie należało?  
Za dawne i obecne katongi i zesłania nasze...

— Pewnie, żeśmy nie gorsi od Moskali — poparła brata Julcia.

— Słusznie Józio zwrócił na to uwagę — rzekł Mirski.—Jest nas na Sybirze istotnie sporo. Czytałem gdzieś, że można nas tu liczyć na jakieś 70 tysięcy. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że ludność Sybiru wogóle wynosi 15 milionów, okaże się, że stanowimy w niej zaledwie połowę odsetki. Dość mało, ale też coś znaczy. Jeżelibyśmy przyjęli, że Syberja jest niczyja, a ten ją będzie miał, kto ją zamieszkuje, proporcjonalnie do ilości, przypadłaby na nas przestrzeń równa mniej więcej połowie Kongresówki.

— Na ziemi tej tyle krwi naszej niewinnie przełanej popłynęło, że doprawdy drogo kupiona jest ona przez nas — odezwał się Stefan poważnie.

— Nietylko krwią — potwierdził p. Mirski. — Całą kulturę swą Sybir, można powiedzieć, zawdzięcza pracy Polaków. Kto dawał podwaliny naukowych badań Syberji, jak nie Dybowski, Czekanowski, Czerski, Hryniewicz, Łaguna, Bronisław Piłsudski i tylu innych mniej znanych? Kto wprowadzał pierwszy w te dalekie kraje handel i przemysł, kto, co najważniejsza, wniósł w tę obcą atmosferę Azji ducha ideowości, jak nie polscy polityczni zesłańcy? Przecież tu sama nazwa: „polityczny“—to świadectwo moralności. To jedno słowo wzbudza zaufanie i szacunek u Moskali tutejszych.

## U UJŚĆ KETI

Wyjazd z Jurt Tiskinych odbył się nazajutrz dość wcześnie, choć etap miał tego dnia dojechać zaledwie do Toguru, wielkiej wsi nad Obiã, położonej o jakieś 50 klm. ku północo-zachodowi. Ale trzeba było śpieszyć się, ponieważ okolica ta jest dość ludna i obawiano się stracić dużo czasu na odpoczynki w ważniejszych miejscowościach po drodze. Jeszcze też było ciemnawo, kiedy zaczęto szykować się do dalszej drogi.

Po śniadaniu Mirski zdobył od gospodarza konie do sani, z czego był rad, bo mógł zaoszczędzić swoją parę na cięższe czasy.

Chłód był przejmujący, gdy opuszczano Tiskiny. Rozwidniało się bardzo powoli, niebo bowiem było zachmurzone i wiatr dął silnie z północy, przenikając do szpiku. Szczęściem śnieg jeszcze nie padał, choć ciężkie ołowiane chmury zdawały się wisieć tuż nad ziemią.

Ob' w tem miejscu silnie meandruje, t. j. płynie węzowato, często między wierzchołkami swych łuków tworząc t. zw. „pratoki“, t. j. połączenia mniej więcej równoległe lub proste. Jednym z takich ramion, skracającym drogę, jechał etap, pędząc, jak zwykle, co koń wyskoczy. Tak samo, jak wczoraj, chłopcy musieli siedzieć osobno, dziewczęta również, a Mirski z Pietrkiem osobno poza etapem. Nikt z naszych więźniów nie stracił jed-



nak humoru. Czuli się wszyscy bardzo dobrze, mimo chłodu i wiatru. Każdy miał w myśli jedno: została do Narymu już mniej niż połowa drogi! Pojutrze staną tam nareszcie, a za trzy dni — myślał Stefan — pewnie się zobaczy z Tadeuszem.

Po przejechaniu kilkunastu kilometrów gęsty, padający wielkimi płatami śnieg począł zasypywać etap. Zabielił cały horyzont. Na kilkadziesiąt kroków dokoła nic nie było widać. Ale konie etapowe przywykły już do tej drogi i pędziły, niekierowane nawet przez nikogo. Na świeżym puchu pokrywy śnieżnej nie skrzypiały nawet żelazne podkucia sań, nie słychać było tupotu końskich kopyt. Od czasu do czasu tylko rozlegały się okrzyki któregoś z powożących, otulonych w wielkie łośiowe „dochy“ — przestronne szuby z futra tego zwierzęcia, włosiem nazewnątrż, podbite wspaniałymi ciepłymi futrami miejscowych psów, których tu w każdej wsi pełno. Futro tych psów, t. zw. łajek, barwy szarej najczęściej, o bardzo długim połyskującym włosie, gęstym nadzwyczaj i ciepłym, godne jest uwagi i mogłoby uchodzić za jedno z lepszych, gdyby nie odór, jaki wydaje. Łajki te, zaopatrzone w taką odzież, wytrzymują najcięższe mrozy, nie kryjąc się pod dachy, śpiąc stale na dworze w śniegu.

Koło południa etap, minąwszy kilka wiosek, dotarł do Kołpaszewa. Wieś ta, licznie obsadzona przez zesłańców politycznych, uważana jest obok Narymu za główne centrum zesłania tutejszego. Przypatrywano się też ciekawie przejeżdżającemu



etapowi i obstępiono go gromadnie, gdy zatrzymał się przed urzędem gminnym. Pan Mirski budził największą ciekawość, bo jadąc własnymi saniami i jako wolny, cieszył się zupełną swobodą. Wręczano mu więc mnóstwo listów z prośbą o dołączenie w Togorze, Ałatajewie i Narymie. Nie odmawiał tym prośbom. Informował też ciekawych o bieżących a wiadomych mu sprawach politycznych, zwłaszcza z wojny, w tych bowiem dalekich od świata cywilizowanego miejscowościach nowiny wszelkie, choćby z przed tygodnia, były jeszcze „najswieższymi“.

Do sanek naszych chłopców przystąpił jakiś chłopiec lat około 14 i łamanym językiem zapytał, kim są i dokąd jadą.

— Jesteśmy Polacy — odrzekł Stefan i opowiedział w paru słowach dzieje swej gromadki.

Chłopiec wówczas przedstawił się, że jest uczniem gimnazjum helsingforskiego, synem senatora finlandzkiego Svenvhuda, zesłanego tu przez rząd moskiewski.

Chłopcy widząc, że młodemu Finnowi bardzo trudno mówić po rosyjsku, zapytali czy umie po niemiecku.

— A naturalnie — odrzekł. — Mogę zupełnie swobodnie rozmawiać po niemiecku.

Stefan, Kazik i Staszek umieli trochę po niemiecku, niezbyt płynnie, ale w każdym razie tyle, by rozmówić się z Svenvhudem. Gdy opowiadając w dalszym ciągu o sobie, wspomnieli, że są harcerzami, młody Finn wyprostował się „na

baczność“ i zasalutował trzema palcami z angielska.

— I ja jestem skautem! — rzekł Svenvhud. — Od roku jestem w pierwszej drużynie helsingforskiej.

Chłopcy ze zdziwieniem i radością powitali znowu po swojemu nowego druha i zawiązali tem serdeczniejszą rozmowę. Okazało się, że młody Svenvhud interesował się Polską i Polakami. Ten syn wielkiego patrioty finlandzkiego, walczącego o niepodległość swej ojczyzny, musiał dużo słyszeć i czytać o Polsce, podległej dotąd temu samemu najezdniczemu berłu, co gnębiona dotąd i jego kraina tysiąca jezior.

Rozmowa, prowadzona po niemiecku, wywołała wielką sensację wśród otaczających ludzi, a nawet zgorszenie. To też zjawił się nagle strażnik, przepędził Svenvhuda a chłopcom zagroził, że ich rozdzieli po różnych saniach, jeśli jeszcze raz coś podobnego będą robili.

Finn odszedł nieco na bok, a gdy nadszedł Mirski, znowu się zbliżył, ale rozmawiano już po rosyjsku.

Przybyłe z Mirskim druhny z wielkiem zainteresowaniem spoglądały na miłego chłopca, o którym już doszła wieść i do nich. Dowiedziawszy się, że są one towarzyszkami podróży naszych chłopców i również skautkami, oddając znowu ukłon harcerski, przedstawił się i im, przepraszając, że nie umie po polsku, ani dobrze po rosyjsku, więc nie może wyrazić swych myśli, jakby

chciał. Dziewczynki zaprosiły młodego Finna na herbatę, przygotowaną w pobliskim domu.

Czas leciał prędko. Minęło parę godzin i trzeba było ruszać w dalszą drogę. Nasi harcerze z wielkim żalem pożegnali Svenvhuda, obiecując pisać do niego, pan Mirski zaś wspomniał, że jeśli będzie przejeżdżał jeszcze przez Kołpaszewo, postara się poznać jego ojca.

Wczesnym wieczorem etap zajechał do Toguru, położonego zaledwie o kilkanaście klm. dalej, u ujścia Ketii do Obi. Wieś Togur—to jedna z największych w kraju Narymskim, przypomina spore miasteczko. Naszej gromadce wyznaczono nocleg w sporym zamożnym dworku na końcu wsi. Gospościa, której sprowadzono zesłańców na nocleg, wydawała się nawet zadowolona. Nastawiła samowar, na rozpalonem w piecu ognisku zaczęła na gwałt gotować jakąś olbrzymiej wielkości rybę, stół zaczęła zastawiać do wieczery.

Niedługo czekali na nią zgłodniaли podróżni. Kiedy się już uraczyli pyszną rybą, której chyba kilkanaście funtów ułożono na półmisku, wszedł jakiś obcy mężczyzna ze znanym nam z drogi Czechem Pospišilem.

Przybyły przedstawił się, że jest lekarzem, Czechem, jeńcem wojennym, zesłanym tu na samym początku wojny. Dowiedział się od swego ziomka, tu wskazał na Pospišila, którego akurat ulokowano u niego na nocleg, że przybyła gromadka Polaków, że zaś jest przyjacielem Polaków i umie dobrze po polsku, przyszedł tu poznać wszystkich



i trochę pogawędzić. Oczywiście Mirski i harcerze przedstawili mu się również i zaprosili wraz z Pospisilem do stołu. Pan Benesz, tak się bowiem nazywał, był rozmowny, wypytywał o wszystko, sam dużo opowiadał.

— To pan doktor dawno tu już przebywa? — pytał Stefan.

— Pół roku temu zagarnęli mnie kozacy na polu bitwy — objaśniał Czech.

— A jakże się panu tu powodzi?

— Znośnie. Już trochę się przyzwyczailem. Początkowo było gorzej. Teraz mam dość urozmaicone życie. Praktykuję nawet dużo, chodzę na polowanie często...

— To doktorowi pozwalają tu zajmować się praktyką? — zapytał Mirski. — O ile wiem, zesańcom nie wolno pełnić żadnych czynności zawodów wolnych...

— Tak, ale choć właściwie nie wolno — odpowiedział Benesz — kto w Rosji pyta, co wolno, a czego nie wolno? Proszą mię o pomoc, to udzielam. Zapłacą, wezmę. Mogę tym sposobem trochę sobie ulżyć. Tu przecie lekarzy brakuje. Jeden w Narymie, drugi w Kołpaszewie.

— A na co pan doktor poluje? — spytał Józiek.

— Różnie bywa. Chodzę na lisy, czasem na wilki, częściej na jelenie i łosie, a ot niedawno udało mi się nawet postrzelić ładnego młodego niedźwiedzia.

— To tu tak łatwo o grubą zwierzynę? — dziwiła się Zosia.

— Ależ... Jest tu tego moc wielka! Ot przyjdzie państwo do mnie, mieszkam stąd bardzo niedaleko, to wam pokażę swoje trofea: skóry, rogi, czaszki. Mam też trochę wypchanych zwierzątek pomniejszych, dostarczających futerek.

— Tatusiu! Chodźmy do pana doktora zobaczyć te zbiory! — zawołała Zosia.

— Nie będzie na to może czasu, moja kochana— odrzekł Mirski.

— Ależ państwo mogą iść do mnie choćby zaraz — zapraszał Benesz.

Zebrani łatwo dali się nakłonić.

Z pośród zbiorów doktora szczególniej podobiała się czarna jedwabista skóra młodego niedźwiadka. Obiecywano sobie na miejscu swego przeznaczenia zdobyć nie gorszą.

— A gdzież pana doktora fuzja? — zapytał Stefan.

— Fuzji w domu nie mogę trzymać— odrzekł.— Mam ją ukrytą i to wszyscy zresztą wiedzą...

Już późno, koło samej prawie północy, gromadka nasza wróciła na nocleg.

#### XIV

### KU NARYMOWI

Pod Togurem wpada do Obi pierwsze południowe ramię Keti, rzeki pod względem długości nie ustępującej naszej Wiśle. Etap, wyruszywszy

rankiem, tyle widzieć mógł tylko, że ramię tego stosunkowo długiego dopływu nie było zbyt szerokie, a to dlatego, że Ket' wpada do Obi kilkunastoma odnogami na stukilometrowej niemal przestrzeni, tworząc jakby deltę. Droga wiodła owym ramieniem Keti przeszło 20 kilometrów. Dalej zaczynał się trakt, ciągnący się aż do samego Narymu na przestrzeni przeszło 80 klm.

Okolica stawała się coraz ładniejsza. Jakkolwiek w tych stronach panuje niepodzielnie nizina na całej przestrzeni, faktycznie nad brzegami rzek, zwłaszcza większych, płynących w kierunku południowym, t. j. z północy na południe lub odwrotnie, ma się wrażenie, że się jest w okolicy pagórkowatej, wody bowiem wszędzie dość głęboko wżarły się w ziemię po jednej zwłaszcza stronie. Zauważył to Kazik i zapytał pewnego razu na postoju:

— Czemu właściwie widzimy tu prawe brzegi zawsze wyniosłe a lewe nizinne?

— A czyż zawsze tylko prawe brzegi? — zapytała Julcia z powątpiewaniem.

— Przypomnijcie sobie, jakie brzegi były pod Kołpaszewem, Iljińskiem i Togurem? — rzekła Jadzia.

— Rzeczywiście, prawe! — przyznała Julcia po namyśle. — To ciekawa rzecz, dlaczego? — wtrącił Józiek.

Pan Mirski, słuchając tej rozmowy, uśmiechnął się, ale nic nie powiedział, choć nań patrzono, jakby prosząc o wyjaśnienie.



— Przecież jest między wami przyrodnik, to niech wytłumaczy to zjawisko, istotnie trafnie zauważone — rzekł po chwili.

Wszyscy spojrzeli na Staszka Krauzego, który siedział przy herbacie zamyślony.

— Chcecie wiedzieć, dlaczego tak jest?—zapytał, zwracając się do wszystkich.

— Powiedz! Wytłumacz nam! — zawołali wszyscy.

— A więc wiedźcie, szanowni słuchacze—rzekł Staś żartobliwie poważnym tonem—dwie są przyczyny tego, że prawe brzegi rzek są strome, lewe zaś płaskie. Przedewszystkiem zaznaczę, że prawo to tyczy się rzek, płynących w kierunku południowym jedynie. Otóż wiecie chyba, że szybkość obrotu ziemi zwiększa się na powierzchni jej w miarę posuwania się od biegunów do równika. Jeżeli rzeka płynie np., jak Ob', z południa na północ, to szybkość jej biegu sumuje się niejako z szybkością obrotu powierzchni ziemi pod daną szerokością w kierunku wschodnim i, wyprzedzając ruch ziemi, tem samem uderza silniej w prawy brzeg, podkopując go coraz mocniej.

— A jeżeli rzeka płynie odwrotnie, jak np. Wołga? — zapytał Kazik, t. j. z północy na południe?

— To też prawy brzeg bywa silniej podmywany, bo w danym wypadku woda płynąc z szerokości geograficznej o mniejszej szybkości obrotu do szerokości o większej szybkości obrotowej, wstrzymuje trochę szybkość biegu i tem samem silniej uderza w zachodni brzeg, t. j. prawy dla Wołgi.

— A czy druh Staś wie, jaką ma nazwę to prawo przyrody? — zapytał Mirski.

— O ile sobie przypominam, nazywa się ono prawem Baera, uczonego, który je pierwszy wyjaśnił.

— Tak jest — przyznał Mirski.

— Czy to prawo stosuje się jednakowo do obydwu półkul? — zapytał Stefan.

— Owszem — odparł Staszek — z tą różnicą, że tam z reguły jest odwrotnie, lewe brzegi są wysokie, prawe płaskie. Przykład typowy na rzece takiej np. jak La Plata w Ameryce Południowej.

Pan Mirski, z zadowoleniem przysłuchując się tej poważnej rozmowie, na zakończenie dodał jeszcze:

— W przyrodzie każde zjawisko można nieraz wytłumaczyć bardzo prostymi przyczynami. Ja bym tu dodał tylko jeszcze, że owa niejednakowa wysokość brzegów w dużej mierze uwarunkowana jest i czysto geologicznymi przyczynami, mianowicie ogólnym wyglądem danej krainy, górzystym lub nizinnym, rodzajem skał, wśród których rzeka płynie, wielkością jej spadku i t. d.

Szósty z rzędu nocleg zesłańcy przepędzili w Jurtach Iwankinych, położonych o 50 klm. od Toguru, nad Obią, w miejscu, gdzie trakt Narymski przechodzi z prawego brzegu tej rzeki na lewy. Jutro już mieli stanąć niezawodnie w Narymie, skąd dzień jeden i będą na miejscu zesłania, pocieszali się — wszyscy razem może, bez rozłąki z Królickimi, którym przeznaczono na zesłanie



wieś Parabel. Etap zmniejszył się tu o kilkanaście osób, które miały pozostać. Do Narymu miało jechać nazajutrz już nie dziesięć, lecz sześć par załedwie.

Ponieważ zostało do stolicy Narymskiego kraju jeszcze 60 klm., etap starał się wyruszyć możliwie najraniej. Obudzono wszystkich wcześniej.

Dzień zapowiadał się bardzo pogodny, ale mroźny. Słońce weszło właśnie, rozpraszając białą mgłę, śnieg chrupał głucho pod nogami. Czuć było, że przedostatnia jazda zapowiada się ciężko. Trzeba będzie znów marznąć, bo i wicherek dość słaby jeszcze, wiał wyraźnie z północo-wschodu. W błaskach czerwono wschodzącego słońca w miarę rozpraszania się mgieł rannych, wszystko zaczynało skrzyć się purpurowo i błyskać oślepiającymi promieniami. Dymy z chat wioski wznosiły się ku górze wolno, gęste, czarniawe, łącząc się miejscami z resztką mgły rannej w jedną szarą oponę.

Konie pędziły, co tylko sił starczyło. Etap mknął ciągnącą się wśród limbowego boru drogą, zawianą śniegiem z nocy. Wicherek, rosnący stopniowo, zasypywał jadących gęsto drobniutkimi ziarenkami zlodowaciałego śniegu, kłując niemilosiernie w twarz i oczy.

Po godzinnej jeździe na mrozie, który dochodził chyba trzydziestu kilku stopni — nawet konie pokryły się warstwą lodową, a z nozdrzy ich zwieszały się półłokciowe sople lodu, para buchała jak z komina. Minięto szybko jakąś wieś z lewej strony traktu, koło którego Ob' rozlewa się w je-



zioro prawie dziesięciokilometrowej szerokości z kilkoma wysepkami pośrodku, za nią drugą i trzecią, wreszcie po południu etap zatrzymał się we wsi Ałatajewie, skąd zaledwie dziesięć kilometrów pozostało do Narymu. W Ałatajewie znowu kilka osób zostało, tak, że do Narymu ruszyło tylko pięć par sanek.

Słońce zachodziło, czerwieniąc krajobraz lesisty, nizinny bardzo, zdaleka tylko pagórkowaty zlekka, pełen błot i drobnych rzeczek, płynących tu w różnych kierunkach do Obi. Wreszcie ukazały się zdala niepozorne, rozrzucone pojedynczo domki, nie przypominające niczem, że są domami najstarszego miasta w całej Tomskiej gubernji.

Narym, założony jeszcze w 1596 r., przemianowany na miasto w sześć lat później, położony jest nad rzeczką Narymką o dwa klm. od właściwego koryta Obi, która tu zresztą rozlewa się dwoma dwukilometrowej szerokości rękawami, tworząc pośrodku znaczną wyspę. Jest to więc miejscowość nizinna, mocno bagnista. Dwoma „pratokami“ dzieli się miasto na trzy części. Naokoło rozpościerają się rozległe lasy limbowe. Na wiosnę całe miasto zalane jest wodą tak zupełnie, że komunikacja uliczna odbywa się przy pomocy łódek.

Szopa, przed którą zajechano, był to budynek wystawiony umyślnie dla noclegu zesłańców, których miano gdzieś jeszcze dalej wysłać. Zwykle jednak miejscowi polityczni zesłańcy zabierali na noclegi do siebie przywiezionych współtowarzyszów.

Naszych przyjaciół, słysząc ich polską rozmowę między sobą, wzięli naturalnie obecni tu Polacy: chłopców niejaki Bogusławski, zesańiec, w Narymie będący fryzjerem; dziewczęta dostały się do właścicieli kuchni dla polskich zesańców. Mirski zgodził się udać do Bogusławskiego, który, jak się okazało, nie miał dużego mieszkania, lecz ulokował naszych znajomych u innego z rodaków, jednego z przywódców tutejszej kolonji zesańczej — inżyniera Marczyńskiego.

Mirski natychmiast udał się w towarzystwie Bogusławskiego do komisarza, by załatwić sprawę Królickich. Niedługo trwała wizyta. Tymczasem wszyscy się już zgromadzili w domu inżyniera, bo przyszły i dziewczęta, zaproszone na kolację przez gościnnego gospodarza, który był rad, że ma inteligentne towarzystwo, o co dość trudno w Narymie. Niebawem powrócił też Mirski, którego zarzucono pytaniami:

— No i cóż z nami? Co z nami będzie? — pytali Króliccy.

— Wszystko jaknajlepiej, moi drodzy! — odrzekł Mirski. — Pan Walther zgodził się na moje „przekonywujące“ prośby i zostawił Królickich razem z wami.

Z okrzykiem radości rzucili się ku Mirskiemu Julcia i Józek.

Mirski uściskał ich czule, jak swoje dzieci, a Zosia, objąwszy ojca za szyję, dziękowała od siebie za wszystko.

— Dalej, co się tyczy waszego pobytu, wymo-

głem, że nie będzie się sprzeciwiał waszemu pozostaniu w Narymie. Jeżeli zaś zechcecie, można jechać do dowolnej miejscowości, byle dalej za Narym. Wymogłem to na nim w tej myśli, że pewnie Stefan zechce się przenieść do Kargasoku, gdzie ma brata...

— Tak, bardzobym tego pragnął, ale sam, bez nich wszystkich—tu wskazał na swych przyjaciół—na stałe tam nie pojedę!

— To jedźmy tam wszyscy, tatusiu!—zawołała Zosia.—Czyż nie wszystko jedno? Może tam ładniej i lepiej będzie niż tutaj, bo mi się tu niebardzo ten Narym podoba.

— Ano, jak chcecie, to od was zależy, dzieci—rzekł Mirski.

— Brat pisał, że w Kargasoku bardzo ładnie i dobrze — objaśniał Stefan.

— No to i po co się namyślać, jedźmy tam i basta! — rzekł Kazik.

— Tak! Jedźmy do Kargasoku! — podchwycili wszyscy.

— A pańskie zdanie, inżynierze?—zapytał Mirski zwracając się do Marczyńskiego.

— Moje zdanie?—odrzekł inżynier. Wobec tego, że jest tam brat jednego z panów i zna już stosunki miejscowe, że właściwie z mieszkaniem byłby tu dla państwa kłopot, bo w Narymie obecnie przeludnienie, a tam z pewnością jeszcze pustki, myślę, że państwo nic na tem nie straciecie, jeżeli przeniesiecie się tam. Jedno złe: to fatalna komunikacja, brak telegrafu, często opóźniona poczta,



no i większe bez porównania odludzie niż tutaj... Jeżeli to jednak nie przestrasza, jak przypuszczam, to warto tam się przenieść, bo będziecie mieli tam i większą swobodę i nie taką drożyznę...

— Chyba więc tak zrobimy — rzekł Mirski. — Trzeba będzie znów jutro pójść do Walthera i zażądać przesłania was do Kargasoku. Miałem mu i tak dać jutro odpowiedź.

Stało więc na tem, że cała gromadka pojedzie do Kargasoku. Skończą się nareszcie dni tułaczki. Osiądą i zagospodarują się, odżyją na względnej swobodzie!

Spędziwszy resztkę czasu na rozmowie niemal do północy, całe towarzystwo poszło wreszcie na spoczynek do wyznaczonych dla siebie siedzib. Po odprowadzeniu dziewcząt Mirski rozmawiał jeszcze długi czas z Marczyńskim, dopóki sen nie skleił im obu powiek w ciszy nocnej, przerywanej oddechem i chrapaniem chłopców, śpiących już dawno na prostych lecz wygodnych postaniach, sporządzonych dla nich na podłodze.

## XV

### U C E L U

Nazajutrz zaraz po śniadaniu Mirski z Marczyńskim udał się do komisarza zakomunikować mu decyzję co do przeniesienia się do Kargasoku. Pan „przystaw“ chętnie dał swoje zezwolenie i powiedział, że każe młodzież odwieść dziś jeszcze

na miejsce. Mirski, wróciwszy, oznajmił całej drużynie, by gotowała się do drogi.

Za radą miejscowych dziewczęta udały się na miasto do sklepów poczynić niezbędne zakupy gospodarskie, ponieważ w Kargasoku trudno coś dostać. A teraz dopiero druhny dowiedziały się, że z pewnością przyjdzie im pełnić rolę gospoś, bo w całym Narymskim kraju kobiety miejscowe nie potrafią porządnie gotować, umieją tylko sporządzać z ryb najrozmaitsze potrawy, a również—nastawiać samowar... Zaopatrzone się w szklanki, talerze, garnki, czajniki.

Stefan poszedł do szopy zobaczyć się ze strażnikami, aby się dowiedzieć, kiedy etap wyruszy. Nie zastał tam ani jednego z przybyłych zesłańców: wszyscy byli rozkwaterowani u miejscowych towarzyszy niedoli. Nie zastał też i strażnika, którego spotkał dopiero na ulicy w drodze powrotnej. Ten, kłaniając się, zapytał pierwszy:

— Ha! cóż pan Tenczyńskij? znalazł pan mieszkanie?

— Właśnie was szukam—odezwał się Stefan—gdyż chciałem zapytać, kiedy etap pojedzie do Kargasoku.

— A to na co panu wiedzieć?! — spytał zdziwiony strażnik.

— Pojedziemy tam wszyscy, tu nie zostaniemy — odrzekł Stefan.

— Tak? Dlaczegoż to?

— Wolimy być na wsi, tam podobno ładniej nawet niż tutaj i łatwiej o mieszkanie...

— Tak, to prawda. Kargasok to istotnie piękna miejscowość. Mam tam nawet przyjaciela swego, nadziratiela Bierozowa.

— No, a kiedyż etap ruszy?—pytał Tęczyński.

— Za trzy lub cztery godziny, nie wcześniej. Mamy tu jeszcze dużo spraw. I tak dziś jeszcze będziemy w Kargasoku.

Była dopiero dziesiąta godzina rano, czasu było dużo. Młódzież więc, nie chcąc marnować czasu, a korzystając z ładnej pogody i niewielkiego stonunkowo mrozu, wyszła rozejrzeć się trochę po mieście. Będąc w Narymie, wypadało przecie poznać tę słynną mieścinę.

Mirski został w domu z inżynierem. Przypadli sobie ogromnie do gustu. Marczyński, człowiek lat 32, kawaler, znajdował się tu już od dwóch lat. Zesłano go tu za ujawnioną przynależność do Enzeteru (Narodowego Związku Robotniczego). Choć materiałnie stał dobrze, bo miał pewną pomoc od krewnych, jakichś obywateli z Litwy, czuł się na zesłaniu bardzo źle. Mimo posiadania u siebie sporej biblioteczki, stanowiącej własność polskiej kolonji zesłańczej, a powstałej w ciągu kilkunastu lat z mozolnych „szwarców“, nudził się straszliwie i tęsknił bardzo za Polską. Nic też dziwnego, że gdy rozgadał się z Mirskim, ten spostrzegł odrazu, że inżynier radby myślał o ucieczce. To też zapytał go otwarcie:

— Niech mi pan powie szczerze, czy można stąd uciec w jaki sposób?

— Uciec?: — zapytał Marczyński, spojrzaw-



szy badawczo na Mirskiego. — Ależ naturalnie, tylko...

— Co? — przerwał Mirski.

— Potrzeba dużo pieniędzy! — dokończył inżynier. — Gdybym je miał, ani chwilibym tu nie siedział.

— A czy to trudna sprawa?

— Dosyć trudna, szczególnie teraz, gdy przystaw z zarządzenia gubernatora ogłosił przepis, że każdy z miejscowych ludzi, o ile udzieli choćby najmniejszej pomocy w ucieczce zesłańcom politycznym, podlega karze trzech miesięcy więzienia lub grzywnie w wysokości trzech tysięcy rubli. Naturalnie takie zarządzenie utrudnia sprawę nadzwyczajnie, nawet Ostjacy bowiem będą się bali przewieźć kogolwiek, a przynajmniej będą drzeć za przejazd tyle, by im się opłaciło w razie czego siedzenie w kozie...

— Więc dotychczas można było nająć kogo, by zawiózł do Tomsku lub gdzieindziej? — badał Mirski.

— Tak — odpowiedział inżynier. — Ale tylko zimą. Było to jednak wogóle kłopotliwe i drogie. Prawie nikt zresztą zimą nie uciekał. Wiosną, co innego. Gdy tylko ustaliła się komunikacja wodna, uciekano statkami i na łódkach bardzo często. Połowa takich uciekinierów w drodze zwykle się „zasypywała“. Aresztowano ich, pakowano na trzy miesiące do „katałaszk“, a jeżeli ucieczka była już drugą z kolei, to odsyłano do więzienia, najczęściej do Tomsku. Ale inni czasem szczęśliwie do-

stawali się do Tomsku, skąd przy pomocy towarzyszy partyjnych potrafili „zwiąć“ dalej. Lecz były wypadki, że nawet w Tomsku przyłapywano zbiegłych i zwracano na miejsce zesłania.

— No tak, ale jakże jechać statkiem, przecież wymagają paszportów...

— Tak jest. Ale kto uciekał statkiem, zwykle zaopatrywał się w fałszywy paszport, trochę się przebierał i charakteryzował i to się czasami udawało.

— A czy można łódką jechać?

— Najlepiej i najbezpieczniej było uciekać łodziami. Ucieczki takie były jednak zazwyczaj zbiorowe. Brano ludzi miejscowych, znających dobrze Ob' i z takimi żeglowano w górę rzeki. Jazda taka zwykle odbywała się w nocy i wieczorami. Za dnia ukrywano się w nadbrzeżnych gąszczach, chowając po zatokach lub wprost w zwieszających się tu często prosto do wody gałęziach drzew i krzewów, zarastających obficie brzegi w wielu miejscach. Taka podróż, słyszałem z opowiadań, miała nawet swój urok, gdyż można było po drodze polować, łapać ryby, odpoczywać dowoli, podziwiać piękno miejscowej przyrody...

— Niech mi pan teraz powie: uciekłby pan obecnie? zapytam niedyskretnie... — rzekł Mirski.

— Mówiłem już panu, że nicby mnie nie powstrzymało. Niestety, dziś na to trzeba conajmniej paru setek na osobę, i to ryzyko. Wogóle zaś, w tej chwili naprzykład niemożliwe zupełnie, gdyż okres Bożego Narodzenia, zbliżający się obecnie, należy do najmroźniejszych.



— Bo widzi pan — ciągnął dalej Mirski — zwierzę się panu w zaufaniu, że ani myślę pozwolić na to, żeby moi chłopcy i dziewczęta, wśród których mam przecie jedynaczkę, mieli tu marnieć... Już dawno projektuję ucieczkę i nie będę żałował, choćby nie wiem ile kosztowała. Chodzi mi o to tylko, żeby znaleźć jak najlepszy sposób. Może mi pan poradzi, jak się wziąć do tego. Znaćcie tu panowie lepiej stosunki. Niech pan nietylko poradzi, ale jedzie z nami, to najlepiej będzie...

— Ja gotów jestem każdej chwili! — zawołał Marczyński. — Ale, doprawdy, nie wiem, jak radzić... Chcecie państwo teraz zaraz uciekać? To niemożliwe w żadnym razie...

— Niekoniecznie — odrzekł Mirski. — Możemy tu przezimować, ale z wiosną bezwarunkowo tak czy inaczej musimy się stąd wynieść...

— To co innego. Ale czy państwo już cośkolwiek planowali sobie?

— Właściwie, nie mamy żadnych planów wyraźniejszych, mamy tylko cel: ucieczkę. Myślałem jednak dużo i rozmyślałem często nad wszelkimi możliwościami w tym względzie, przesiadując nieraz godzinami nad mapą tych okolic... Z rozmyślań tych nasuwają mi się trzy możebne zarysy planów ucieczki. Mianowicie: jeden — to uciec na motorówce po Obi aż do Oceanu Lodowatego, skąd możnaby dostać się do brzegów Norwegji, bądź morzem, bądź lądem przy pomocy tamtejszych Samojedów; drugi — zamiast po Obi, przedostać się częściowo pieszo, częściowo na łodziach



ku wschodowi, do dopływów Jenisieju, i tą rzeką przez kraj Turuchański dopłynąć na motorówce do Oceanu Lodowatego również, a u ujścia Jenisieju, jak panu pewnie wiadomo, bywa z początkiem lata sporo okrętów, zwłaszcza angielskich; trzeci wreszcie zarys planu: przekraść się na łódkach po Obi do Tomska, lub w przeciwnym kierunku, do Tobolska, skąd już pojedynczo możeby się dało umknąć gdzieś dalej... To znaczy, o ileby się przybyło do Tomska, więc stamtąd przez Altaj—do Chin, a później przez Japonję i Stany Zjednoczone do Europy...

— Ho! ho! — dziwił się inżynier. — Panie szanowny! toż taka podróż pochłonięłaby dziesiątki tysięcy i wymagałaby przede wszystkim świętego zdrowia wszystkich jadących, sporo czasu i dużo przytem mimo wszystko ryzyka...

— To wiem—rzekł pan Mirski—ale to wszystko głupstwo. Pieniądzy mi starczy. Czas mamy. Moi harcerze—wszystko dziarskie i zdrowe chłopcy, a i dziewczęta wytrzymają trud takich podróży. Co do ryzyka, jednakowe właściwie wszędzie... Zginąć chyba nie zginiemy w takiej gromadzie, zaopatrzwszy się w co trzeba na drogę. Najwyżej nam grozić może przyłapanie, ponowny areszt i zesłanie... Co do mnie, sporo podróżowałem w życiu i najadłem się najrozmaitszych przygód. Byłem już pod kłami tygrysa, krokodyle o mały włos mnie nie pożarły, o mały nie upiekłem się w palenisku parowca oceanicznego, topiłem się też w morzu, rojącem się od rekinów, byłem pod

gradem kul i strzał zatrutych, wszystko to przeszło jednak i żyję, i cały jestem... Wierzę zatem w swą szczęśliwą gwiazdę!

— I ja wierzę w swoją również — odrzekł inżynier, podając Mirskiemu rękę. — Zgadzam się na wszystko i służę wam pomocą w miarę swych sił i możliwości!

— A więc znakomicie! — odpowiedział Mirski, ściskając dłoń Marczyńskiego. — Będzie pan dzieśiąty. Tylko niech pan wypowie swoje zdanie co do wyboru planu...

— Pomyślę nad tem trochę — rzekł inżynier, zamyślając się, a po chwili dodał: — Pan zapewne nie wie, że moją specjalnością jest mechanika? Otóż może dzięki temu będę pomocny przy łodzi motorowej. Gdyby pan umożliwił mi, zbudowałbym taki motor, w którym można by cały świat objechać, nie potrzebując wcale paliwa...

— Jakto?!

— Mówię zupełnie poważnie — odpowiedział Marczyński.

— Ależ to niemożliwe!

— Tak się tylko wydaje. Właśnie dokonałem odkrycia, które tę niemożliwość usuwa.

— Czy to być może? W takim razie, panie inżynierze, może pan mną dysponować!... Bo takie odkrycie — to przewrót! Ale, doprawdy, jeszcze mi się nie chce wierzyć, przecież zasada perpetuum mobile, zdaje się, bezpowrotnie już i oddawna została obaloną...

— To prawda — potwierdził Marczyński. — Ale ona w tym wypadku nie gra żadnej roli.

— Rozumiem — mówił dalej spokojnie Mirski. — Nie może pan, oczywiście, zdradzać swej tajemnicy, racja! Ale w każdym razie niech się pan bierze do roboty i buduje ów motor cudowny! Jaką pan chce, kupuję zaraz łódź motorową i dam ją panu do zastosowania pańskiego wynalazku — specjalnie dla naszej ucieczki narazie...

— Otóż to właśnie — jeżeli istotnie nabędzie pan motorówkę i pozwoli mi zastosować na niej mój wynalazek, uciekniemy bezkarnie w oczach bodaj samego gubernatora, nikt nas nie dogoni...

Rozmowę tę przerwał powrót młodzieży z miasta. Ku wielkiemu zdumieniu Mirskiego wtoczył się też do pokoju młody bury niedźwiadek wielkości dużego kundla, tylko znacznie grubszy.

— Skądżeście wzięli tego misia? — zapytał chłopców, którzy dodawali niedźwiadkowi odwagi, pchając go na środek pokoju.

— Niedźwiedź ten, to własność Walthera — objaśnił Marczyński.

— Znaleźliśmy go na ulicy, spacerował sam jeden — opowiadała rozpromieniona Zosia. — Kiedyśmy się mu przypatrywali, zaczął się do nas łąsić i poszedł potem za nami aż tutaj, więc go też wprowadziliśmy do pokoju.

— Ładna bestyjka! — rzekł Mirski, wyciągając rękę, ażeby pogłaskać niedźwiedzia, lecz ten wyszczerzył groźnie zęby.

— To ty smorgoński akademiku, gryziesz?! —



Wszyscy w śmiech! Miś tymczasem, jakby stropiony, zaszedł w ką, i zwinąwszy się w kłębek, położył, jakby do spania.

— Chciałabym mieć takiego niedźwiadka — odezwała się Zosia.

— A ciebieby nie ugryzł? — zapytał Mirski.

— Nie!—odpowiedziała. — Ja go już głąaskałam, a on tylko mrucał, nie szczerząc zębów, więc wi-  
dać z zadowolenia...

— Masz w takim razie szczególniejsze u niego łaski. Widziałaś, jak mnie chciał poczęstować?...

Na te słowa wszedł Pietrek i zameldował, że już gotują sanie do dalszej drogi. Mirski kazał wobec tego zaprząć i swoje sanki, a młodzież zaczęła pakować się do drogi.

— Chodźmy na miasto!—zwrócił się Mirski do Marczyńskiego.

— Dokąd pan chce? — spytał inżynier.

— Raz jeszcze muszę być u przystawa — odrzekł Mirski.

Poszli. W drodze do władcy Narymskiego kraju i z powrotem rozmawiano w dalszym ciągu o planach ucieczki. Staęło na tem, że Mirski, który chciał odwieźć młodzież do Kargasoku, obiecał za kilka lub kilkanaście dni najdalej wrócić do Narymu dla omówienia ostatecznie z inżynierem planu ucieczki i wszelkich przygotowań do niej.

Podziękowawszy serdecznie inżynierowi za go-  
ściinę i pożegnawszy się z nim, młodociane towa-  
rzystwo ruszyło pieszo do szopy na punkt zborny. Mirski został, zamierzając za chwilę przyjechać

swojami sankami. W pół godziny może, po różnych pakowaniach pan Mirski pożegnał się z inżynierem, a następnie zbliżył się do śpiącego jeszcze w kącie niedźwiadka i ostrożnie założył mu na szyję żelazną obrozę z łańcuszkiem. Miś obudził się, podniósł, a wówczas pan Mirski pociągnął za łańcuch i wyprowadził z mieszkania. Na odchodnym rzekł inżynierowi:

— Kupiłem tego misia dla mojej Zosi. Wie pan, ile wziął przystaw za niego?

— No, ile? nie mam pojęcia! — rzekł zaciekawiony Marczyński.

— Tylko sto rubli!

— E, to z pana zdarł!

— A niech go tam!... Będą się jednak wszyscy z pewnością cieszyli z takiej niespodzianki!

Ulokowano misia z pomocą Pietrka, który okropnie śmiał się i rad był, że będzie wioził niedźwiezia dla panienki. Niedźwiedź, wślazłszy pod siedzenie w sankach, zakopał się głęboko w siano i wkrótce, widać, zasnął, bo się nie odzywał i nie poruszał. Pan Mirski zakazał Pietrkowi wspominać komukolwiek o misiu.

Wkrótce ruszono w drogę. Cztery pary sań ruszyły przez miasto, potem przez rozległe polany śródleśne, rzekę Ob' i znów wielkie przestrzenie zaśnieżone, pustynne. Ściemniać się zaczęło, gdy ukazał się na tle lasu poza rzeką Ponigadką na wzgórzach oczekiwany przez wszystkich Kargasok.

## TREŚC CZĘŚCI DRUGIEJ

Str.

IX	W DROGĘ NA ZESŁANIE . . . . .	1
X	KU UJŚCIU TOMI . . . . .	12
XI	W KRAJU OSTJAKÓW . . . . .	20
XII	TRAKTEM MOŁCZANOWSKIM . . . . .	25
XIII	U UJŚC KETI . . . . .	33
XIV	KU NARYMOWI . . . . .	39
XV	U CELU . . . . .	47



## PIERWSZA NOC NA ZESŁANIU

Sanie zwolna przekroczyły Ponigadkę, pnąc się pod górę, a następnie szybko zajechały przez jedno z domostw, gdzie tymczasem miano dać przybyłym nocleg, nim sobie nazajutrz znajdą mieszkanie.

Z uczuciem wielkiej ulgi odetchnęli wszyscy ci, co mieli tu już zostać, bo było czterech zesłańców, zesłanych jeszcze dalej: do Tymskoje. Tych czekała nazajutrz jeszcze sześćdziesięciokilometrowa podróż.

Zjawił się za chwilę miejscowy starszy strażnik, który opiekował się wszystkimi zesłańcami w Kargasoku.

Stefek zwrócił się do niego z zapytaniem:

— Gdzie tu mieszka Tadeusz Tęczyński?

— Czy go pan zna? — spytał strażnik.

— To mój brat — odrzekł Stefan.

— Wot... — wyrwało się zdziwionemu panu Bierozowowi, temu właśnie, o którym w Narymie Worowkin wspominał, a po chwili dodał uprzej-

mie: — Ot, niedaleko, proszę poczekać, to każę pana zaprowadzić.

Po kilku minutach strażnik przyprowadził jednego z miejscowych chłopców i polecił mu zaprowadzić Stefana do brata.

— Ja z tobą pójdę — odezwał się Staszek.

— Chodź, i owszem — odpowiedział Stefek.

Poszli.

Noc już była zupełna. Pogodna, cicha. Gwiazdy migotały na niebie z wspaniałą tuż prawie nad głowami Wielką Niedźwiedzicą. Mróz nie był wielki, wiatru prawie żadnego. Było też dość widno. Z drewnianych domów wszędzie podnosiły się pionowe smugi dymów ku górze, migotały światła przez okna, od czasu do czasu dolatywały czyjeś głosy zdaleka, szczekanie psów, odgłosy czyichś kroków.

Szli w milczeniu za przewodnikiem, brnąc miejscami po kolana w śniegu. Minęli mostek przez jar, prowadzący do rzeczki, wreszcie znaleźli się na rozległym, podłużnym placyku. Droga tu rozchodziła się w trzech kierunkach. Przewodnik poszedł środkową. Po upływie pięciu minut stanęli przed starym piętrowym, drewnianym domkiem, stojącym na skraju wsi. W odległości kilkuset kroków widać było na śnieżnej bieli pustkowie sylwetki zarośli, a dalej jeszcze—czarną masę gęstego boru, otaczającego cały Kargasok półkolem.

— To tu — wskazał dom ręką przewodnik.

— Znasz tego pana? — zapytał Stefan.

— Znam z widzenia—odpowiedział zapytany—nawet często go widuję...

Przyśpieszono kroku.

Przewodnik wprowadził do sieni i pokazał schody.

— „Barin“ tam wysoko, na piętrze.

Stefan z bijącym sercem pobiegł po schodach i stanął przed drzwiami.

Dolatywały przez nie zcicha dźwięki muzyki i znane Stefkowi słowa smętnej piosenki...

Stefek zapukał zlekka w drzwi. Muzyka i śpiew urwały się.

— Otwarte! — odezwał się głos z wnętrza.

Stefan pchnął drzwi i stanął w progu.

Staszek zatrzymał się dyskretnie w sieni.

Tadeusz Tęczyński siedział w głębi pokoju przy stole. Lampa rzucała słabe światło na olbrzymi, prawie pusty pokój. Stały w nim tylko trzy krzesła, drewniany tapczan pod ścianą, nieduży drugi stół pod jednym z okien i piecyk żelazny, niemal na środku pokoju, rozpalony właśnie do czerwoności. Tęczyński trzymał w ręku gitarę, na której grał przed chwilą. W półmroku, jaki panował na progu drzwi, nie poznając przybysza, zaczął się wpatrywać, nagle — „kto to?!“ — zapytał zdziwionym głosem, postępując parę kroków na-przód.

— To ja.

— Stefuś! — krzyknął Tadeusz, rzucając się ku bratu. — Skąd? Więc dziś nareszcie przyjechałeś! Co się z tobą działo? Mów! Opowiadaj! Ja tu na ciebie czekam tyle czasu!... — mówiąc to, ciągnął Stefka w głąb pokoju, ku światłu.



Staszek też wszedł do pokoju, ale naprzód się nie posuwał, nie chcąc krępować braci przy powitaniu.

Stefan jednak nie zapomniał o przyjacielu i oswobodziwszy się od uścisków Tadeusza, przedstawił bratu Stacha.

Zaczęła się szybka rozmowa i gdy Tadeusz dowiedział się, że reszta towarzyszy Stefka ma nocować gdzieś u miejscowych chłopów, powiedział:

— To na nic! Chodźmy! Nie, sam tam idę i zabieram ich wszystkich tutaj. Pomieścimy się. Zresztą patrzcie! — tu zwrócił się do obydwo, pokazując na drzwi do drugiego pokoju — tam wolny taki sam pokój. Poco się mają poniewierać po jakichś obcych kątach!

— Obiecałem nawet zaraz do nich powrócić — rzekł Stefan — ale, widzisz, pan Mirski ma własne sanki z końmi...

— No to co? Tutaj jest również stajnia. Niema co gadać. Chodźmy! Chyba żeście zmęczeni, to zostańcie, ja pójdę sam.

— Nie. Tak bardzo zmęczeni nie jesteśmy, możemy iść — odpowiedział Stefek.

Skierowali się ku drzwiom. Tadeusz narzucił na siebie futro i czapkę, chwycił z kąta okuty kij i wyszli.

— Nie zamykasz mieszkania? — pytał zdziwiony Stefan.

— Po co? Tu nikt nie zamyka — odrzekł Tadeusz

— Tak? — ale nie było czasu na pytania.

Spiesznie przebiegli drogę do miejsca postoju etapu. Po kilkunastu minutach wkroczyli do izby, zapełnionej już oprócz naszych więźniów wieloma miejscowymi zesańcami, którzy dowiedzieli się o przybyciu nowej partji, więc tłumnie pośpieszyli poznać przybyszów i usłyszeć nowości ze świata.

— Mój brat—przedstawił Stefan kolejno Tadeusza każdemu ze swej gromadki.

Wszyscy serdecznie witali Tęczyńskiego, przypatrując mu się z zaciekawieniem. On tymczasem zwrócił się do Mirskiego:

— Niech państwo pozwolą się zabrać do mnie! Będzie tam o wiele wygodniej i swobodniej.

— Tak, brat ma olbrzymie mieszkanie, możemy się odrazu do niego sprowadzić — zawołał Stefek.

— Nic przeciw temu nie mam, bo i tak dużośmy liczyli na pana — odrzekł Mirski. Ale co mam zrobić ze swojemi szkapami?

— Kiedy pan ma własne sanie, to może na nich przewieziemy wszystkich do mnie, a tam już i sanki i konie ulokuję, gdzie należy — powiedziało Tadeusz.

— W takim razie możemy się zbierać — zacydował Mirski.

Tadeusz wyszedł pierwszy, za nim wszyscy. Sam pragnął zawieźć do siebie miłych gości. Poprosił też w pierwszym rzędzie Mirskiego i dziewczynki. Pan Mirski się wzdragał, pragnąc być ostatnim, ale uległ prośbie wobec tego, że Tadeusz radził mu mieć nadzór osobisty przy wy-



pakowywaniu rzeczy z sanek. Pozostałym—chłopcóm i Piotrkowi—zlecono czekać na nich aż przyjadą. Ale zaledwie ruszono, za radą Stefka i Staszka, którzy twierdzili, że trafią, chłopcy zdecydowali się wybrać na piechotę do mieszkania Tadeusza, zabierając z sobą resztę pakunków.

Sanie Mirskiego w pięć minut zajęchały przed dom, gdzie mieszkał Tadeusz. Pośpieszył on pierwszy na górę, zapalił lampę i oświecił schody, po których z trudnością w swych ciężkich szubach wchodziły druhny na górę. Usadowiwszy je w mieszkaniu, zaczął wynosić z Mirskim z sanek różne rzeczy. Oczywiście znalazł się między temi „rzeczami” i miś, chrapiący dotąd smacznie. Z wielkim trudem zdołał go pan Mirski wyciągnąć, a Tadeusz ku wielkiemu zdumieniu dziewczynek, a zwłaszcza Zosi, wprowadził go po schodach do pokoju. Niedźwiadek, znalazłszy się w ciepłe, obudził się ze śpiączki i zaczął spacerować po pokoju, rozglądając się po kątach. Zosia pobiegła uadździękować ojcu, jeszcze znajdującemu się przy saniach, za tę, tak dla niej miłą niespodziankę.

Sanie wkrótce zostały opróżnione z bagaży, Mirski wszedł do pokoju, Tadeusz zaś miał jechać po chłopców, gdy oni właśnie rażnym krokiem wkroczyli na podwórze.

Zeszli się wszyscy razem, rozpoczynając pierwsze chwile już prawdziwego zesłania. Dotąd mieli więzienie, etap i areszt — „katałaszkę”, teraz rozpoczęły słynną „ssylkę narymską”.

Pod nadmiarem wrażeń cisza zaległa na chwilę



w pokoju. Syczał tylko ogień w piecyku od do-  
rzucanych przez Tadeusza szczap drewnianych,  
„rozmawiał”, postawiony na ogniu wielki czajnik  
z wodą na herbatę.

Na dole Pietrek z pomocą gospodarza domu  
pomagał przesunąć opróżnione sanie pod strze-  
chę na podwórze, konie zaś przeprowadzić do  
stajni.

Tadeusz tymczasem krzątał się w swoim go-  
spodarstwie, by jak najlepiej ugościć przybyłych.  
Wyciągał z kątów różne wiktuały, nakrywał do  
stołu, co widząc, zaczęła mu pierwsza pomagać  
Julcia. Za jej przykładem poszły Jadzia i Zosia.  
Wkrótce wszyscy zasiedli do kolacji. Zrobiło się  
gwarno i wesoło. Opowiadano Tadeuszowi swe  
przygody, Tadeusz dzielił się swojemi przeżycia-  
mi. Czas leciał.

Z apetytem zajadano wydobyte z tobołków  
różne przysmaki. Nie brakło nawet świeżego ma-  
sła i mleka, o które postarał się od gospodyni  
z dołu Tadeusz. Miś, poczęstowany mlekiem, po-  
żywiwszy się, wlaź pod tapczan i wkrótce zasnął.

Mieszkanie Tadeusza wszystkim się podobało.  
Skromność umeblowania nie raziała, bo rozumiano,  
że na zesłaniu inaczej przecie być nie może. Tade-  
usz po herbacie, którą wszyscy się uraczyli z przy-  
jemnością, otworzył drzwi do przyległego pokoju.

— Otóż akurat ten pokój teraz wolny—rzekł—  
jakby na was czekał.

Nie ustępował pokojowi Tadeusza, ale ciągnęło  
z niego potężne zimno .

— A czy go nam wynajmą? — zapytał Mirski.

— Bezwarunkowo — zapewnił Tadeusz.

— To się bardzo dobrze składa, bo w takim razie panienki nasze będą się mogły tam ulokować, wy zaś tu. Przypuszczam, że pan, panie Tadeuszu, udzieli im gościny u siebie, póki innego domu nie znajdą...

— Ależ, nie pozwolę szukać żadnego innego domu, co znowu? I pana nie puszczę! Choć będzie może niezbyt wygodnie, ale na to już nie poradzę. Byle razem. Tu na zesłaniu, grunt być ze swoimi i wogóle w gromadce...

— Dobrze, dobrze! nie uciekam... Ale tu ciągle nie będę siedział, bo co jakiś czas muszę jeździć do Tomska... W tej kwestji zresztą porozmawiamy ze sobą bodajby jutro nawet — powiedział Mirski.

— Rozumiem — domyślał się Tadeusz.

— A jak dziś będziemy nocować? — zapytał Stefek. — O nas nie chodzi, lecz druhny.

— Nie bój się, kochany Stefcu... Urządzimy wszystko znakomicie.

Jakoż kazał Tadeusz chłopcom zarzucić coś na siebie ciepłego i pójść do sieni. Po kilku minutach wrócili, niosąc olbrzymie pęki siana. Powtórzywszy kilkakrotnie taki spacer, nagromadzono tyle siana, że usłano z niego na podłodze wspiane łóżko.

Ale potem Tadeusz jeszcze raz wezwał chłopców ze sobą. Przyniesiono kilka desek, które umieszczono na sprowadzonych też z dołu koziołkach, obok tapczanu, co utworzyło dużą narę, na której miały nocować dziewczęta.



Ponieważ sąsiedni pokój, choć pusty, był nieogrzany, trzeba było zadowolić się noclegiem w jednym pokoju. Rozłożone futra i pościel dopełniły postania. Dla większej swobody, na przeciągniętym wpoprzek pokoju sznurku, zawieszono dwa prześcieradła i w ten sposób z jednego pokoju zrobiły się dwa, w których szybko ułożono się do snu.

## XVII

### POCZĄTKI GOSPODARKI

Pierwszy ranek na zesłaniu nie pozwolił długo spać naszym przyjaciółom. Najpierw zerwał się Tadeusz, rozpalając ogień w piecu, który przez noc zdołał zgasnąć, skutkiem czego w pokoju było już dość chłodno. W parę minut buchnął w piecu ogień i ciepło zaczęło dokoła promieniować.

Zwolna wszyscy zaczęli się podnosić i za zaimprovizowaną kotarą dały się słyszeć głosy drухen. W kilka minut wszyscy byli ubrani i umyto się kolejno w postawionej na taburecie miednicy. Po wodę biegał na podwórze do beczki Pietrek, który, śpiąc na dole u gospodarzy, jeszcze wcześniej obudził się niż Tadeusz i pierwszy zaczął mu pomagać w różnych sprawach.

— Jakże się wam, moi państwo, spało? — pytał Tadeusz.

— Bardzo dobrze—odrzekł p. Mirski: — Pierwszy raz od dłuższego czasu czułem się jak w domu.



— Znakomicie! — odezwały się dziewczynki.

Wysunął się w tej chwili z pod tapczanu zapomniany niedźwiadek, mrużąc i szperając po kątach, widać głodny. Dano mu w misce trochę mleka z rozdrobionym chlebem. Po nakarmieniu Mirski wziął Misia znowu na obrozę i wyprowadził do sieni, gdzie przymocował do belki, bojąc się go puszczać swobodnie, gdyż mógłby uciec.

— Trzeba nam się będzie teraz jakoś bardziej na stałe tutaj urządzić — zaczął Mirski. — Możeby się rozmówić z gospodarzem w sprawie tego wolnego pokoju...

— Już ja to sam zrobię. Tymczasem zjedzmy spokojnie śniadanie — odpowiedział Tadeusz. Julcia, która miała najwięcej gospodarskich zdolności, znowu zaczęła się krzątać koło herbaty. Pietrek uprzął też w kąt siano z podłogi, kotarę zdjęto i od tapczanu odjęto dostawione deski. Powoli też Mirski z Zosią rozpakowali przywiezione bagaże.

Przy śniadaniu Tadeusz zaproponował następujący „porządek dnia”, jak się wyraził:

— Najprzód wynajmiemy ten sąsiedni pokój i umeblujemy go. To będzie pokój pańienek. Potem urządzimy u siebie cokolwiek inaczej, skoro nas teraz tylu. Następnie pomyślimy o organizacji kuchni, bo trzeba państwu wiedzieć, że do tej pory byłem sam dla siebie wszystkim, więc i kucharzem.

— Ta sprawa teraz już do nas należy — odezwała się Zosia.

— My będziemy gotowały — dorzuciła Julcia

— Zgoda na to, z przyjemnością — rzekł Tadeusz. — Ale to nie wszystko. Musimy stosownie zaopatrzyć spiżarnię. A jak nam czasu starczy, pójdę sprezentować państwu wreszcie Kargasok!

— Jesteśmy wszyscy harcerzami — zauważył Stefan — nie będziemy więc próżnowali; każdy z nas winien mieć i spełniać przyjętą przez siebie czynność. Do czego kto zdatny najbardziej, zresztą można na wszystko kolejkę ustanowić.

— Powinniście się, moi kochani, ostatecznie między sobą umówić — wtrącił się Mirski — kto, co i kiedy będzie robił. Najlepiej mieć na wszystko plan i ściśle go się trzymać.

— Słusznie — potwierdził Tadeusz.

— Ułożmy plan odrazu — rzekł Stefan.

Zaczęła się ożywiona dyskusja. Stało na tem, że Jadzia miała być odpowiedzialna za przygotowywanie śniadań, Zosia — obiadów, a Julcia — wieczerzy, co nie wykluczało, że miały sobie wzajemnie we wszystkim pomagać. Po sprawunki żywnościowe miały chodzić kolejno do sklepów. W sprzątanii izb mieli wziąć udział wszyscy kolejno, ale dziewczęta — swojego pokoju, chłopcy — swojego. Przy sposobności Tadeusz poinformował, że co jakiś czas mycie podłóg należy do obowiązków gospodarzy domu, z tą więc najtrudniejszą czynnością nie będzie kłopotu. Ustanowiono zresztą, że podczas swego pobytu w Karkasoku pomagać ma w sprzątanii i Pietrek. Co się tyczy rąbania drzewa, które w kłodach leżało na podwórzu i można je było w dowolnej ilości brać



na opał, jak również przynoszenia w wiadrach do izby wody, wzięli to na siebie, naturalnie, chłopcy. Ostatnia praca należała do najprzykrzejszych. Wodę w olbrzymiej beczce codzień prawie przywoził saniami gospodarz ze studni na placyku. Przelewanie jej do wiadra na chłodzie, opryskiwanie się nią i zamoczenie rąk — nie należało do przyjemności.

Po śniadaniu wzięto się energicznie do pracy. Tadeusz z Mirskim udali się do gospodarzy domu i rozmówili się w sprawie wynajęcia pokoju. Bez trudu otrzymali pokój za cenę aż dwu rubli miesięcznie! Gospodyni przytem udzieliła do wynajętego pokoju dwa proste stoły, ławkę, kilka krzesel, nie mówiąc o deskach, które pozwoliła brać ze strychu w potrzebnej ilości.

Napalono w nowym pokoju w piecyku, wzięto się też do zatykania rozrobioną gliną wszystkich szpar między belkowaniem ścian, oblewając je pierwiej obficie naftą, żeby wytępić robactwo. Przy udziale dziesięciorga pracowników robota poszła szybko i w ciągu godziny była ukończona. Spryskano jeszcze ściany przeciwko robactwu jakąś trucizną, w którą się zaopatrzył w Tomsku Mirski, jako doświadczony podróżnik. Wytapetowano następnie cały pokój wielkimi arkuszami mocnego szarego papieru, który znalazł się w dużej ilości między rzeczami, przywiezionemi przez Mirskiego. Dopiero wtedy przystąpiono do sporządzania łóżek z desek. Z pomocą piłki i siekiery postawiono zrobione z drewnianych pieńków koziołk



i na nich oparto deski. Nie były to łóżka prawdziwe, ale coś, co mogło je zastąpić wyśmienicie. Na tapczany te położono przywiezione i wypełnione sianem sienniki i poduszki. Prawdziwe zato jaśki, prześcieradła i kołdry dopełniły posłania. Stoły pokryto obrusami. Sporządzono z deseczek, zawieszonych na sznurkach, wcale zgrabne półki na różne przedmioty.

I cały pokój zmienił swój wygląd, jakby za sprawą czarodzieja. Zdecydowano też, że pokój drухen będzie „salonem“, chłopców zaś—kuchnią, pracownią i jadalnią zarazem.

Po urządzeniu pokoju dziewcząt przekształcono izbę chłopców, co o wiele prędzej dało się uskutecznić. Pietrek z zadowoleniem stwierdził:

— Jak teraz galantol!

— Poczekaj, Piotruś! zobaczysz, jak będzie później, odezwał się Kazik, a zwracając się do wszystkich, dokończył:

— Wypadałoby teraz ściany czemś przyozdobić.

— Naturalnie! I na to się zdobędziemy — potwierdził Tadeusz. — Mnie się dotąd nie chciało o tem myśleć, choć mam tu trochę różnych takich przedmiotów, któreby można było zużytkować na ozdobę.

— Co takiego?

Tadeusz podszedł do skrzyni, stojącej pod ścianą i zaczął z niej wyjmować piękną, ciemnobronzowej barwy skórkę młodego niedźwiedzia, wypchane niewielkie zwierzątko z grupy gryzoniów, zwane tu burundukiem (*Tamias sibirica*), grono-

staja, t. zw. kałanka (*Putorius sibiricus*), jakąś kunę, kilka ładnych ptaszków z grupy dzięciołów, wreszcie czaszkę jelenia z pięknymi choć jeszcze niebardzo rozgałęzionymi rogami.

Wszyscy oglądali ciekawie te okazy, a Tadeusz objaśniał, że wszystko to albo dostał od miejscowych ludzi, albo sam nawet upolował.

— To masz fuzję? Gdzież ona jest? — pytał Stefan.

— Nie, fuzji nie mam, bo zesańcom mieć jej nie wolno. Pożyczam sobie tylko czasami niezłą dubeltówczynę od tutejszych pewnych znajomych.

— Jaka szkoda, że nie masz własnej — westchnął Stefan.

— To bagatela! — odezwał się Mirski. — Przywiozę wam wszystkim fuzję, narazie zaś, jeżeli chcecie, mogę wam zostawić swój sztucer, z którym, co prawda, z żalem się rozstaję, bo mi zbyt wiele przypomina: biłem z niego tygrysów na Sumatrze i Jawie, strzelałem tam do krokodyli i orangutanów, na oceanach zaś do rekinów...

— Tatusiu! — wykrzyknęła radośnie i z dumą Zosia.

— Ale zostawię go pod warunkiem, że dobrze schowacie, bo gdyby miał wpaść w ręce strażników...

— O to niech pan będzie zupełnie spokojny — odezwał się Tadeusz. — Biorę to na swoją odpowiedzialność. Niema zresztą takiej obawy. Jestem ze strażnikiem w „dobrych“ stosunkach...

Mówiąc to, Tadeusz, wyjmował z kufra inne



rzeczy: w wielkich arkuszach bibuły zasuszone paprocie i inne jakieś rośliny, z rzędu porostów zwłaszcza, a nawet pudełko pełno chrząszczy.

Wszystkie te okazy postanowiono odpowiednio poumieszczać na ścianach w „salonie“, gdzie tem samem miało znajdować się „muzeum“, które spodziewano się czasem powiększyć nowemi okazami. Dopełniło zdobienia ścian rozwieszenie kilkunastu barwnych pocztówek, które posiadał Mirski ze sobą.

Ponieważ zbliżało się południe, Zosia wzięła się do swych czynności gosposi. Na zwołanej specjalnie naradzie uchwalono ugotować rosół z mięsa wołowego, które Tadeusz przyniósł z sieni. Wielką połąć mięsa tego kupił był już dawno, wisiała w sionce na mrozie i odrąbywano od niej siekierą kawałki, potrzebne na obiad. Na drugie danie, a raczej jako leguminę zdecydowano ugotować ryż z rodzynkami, bo i to znajdowało się w spiżarni Tadeusza. Przy gotowaniu rosółu zmartwiła się Zosia, że niema żadnej włoszczyzny, ale i na to poradził Tadeusz, gdzieś z kąta wydobywając pudełko suszonej włoszczyzny, niegdyś nabytej w Narymie.

Przy obiedzie, który zaczęto spożywać dopiero koło godziny trzeciej w jak najlepszych humorach, bo się ku wielkiemu triumfowi Zosi wszystko udało, odezwał się Mirski:

— Chciałem z wami, moi drodzy, pomówić poważnie o pewnych sprawach, kiedy już znaleźliśmy się nareszcie na miejscu, skąd nieprędko zechcą zapewne nas ruszyć. Domyślcie się, co



mam na myśli. Otóż muszę wam powiedzieć, że do sprawy wciągnąłem i inżyniera Marczyńskiego z Narymu, który obiecał nam pomoc, a nawet ma podobno jakiś doniosły wynalazek, któryby się nam bardzo przydał. Zapewnia, że znalazł sposób, umożliwiający bez brania zapasów paliwa, np. benzyny, utrzymania czynności motoru przy łodzi. Jeżeli to fakt — w takim razie tylko brać się do roboty. Za kilka dni udam się do Narymu, pogadam z nim obszerniej, a potem przeniosę się do Tomska i tam każę budować, podług planów inżyniera, łódź motorową, na której, domyślacie się już chyba, zaraz z wiosną ruszymy w drogę.

Zapanowało chwilowe milczenie. Młodzież z niedającą się ukryć radością spojrzała na siebie, przenosząc następnie wzrok pełen wdzięczności i uwielbienia na swego szlachetnego i dzielnego opiekuna.

— A którądy? — zapytał wreszcie Tadeusz.

— Co do mnie, a i inżynier był tego zdania, najlepiej chyba uciekać nie w kierunku Tomska, lecz ku ujściu Obi, na północ, hen w okolice Oceanu Lodowatego, gdzie albo napotkamy jaki norweski lub angielski okręt, albo też spróbujemy wybrzeżami dojechać sami choćby do Norwegji.

— I stamtąd prosto do Polski! — dorzucił Józek.

— Tak! — potwierdził Mirski. — Cóż wy na to?

Pod wrażeniem tych słów nikt się nie odezwał narazie. Tadeusz zamyślił się.

— Cóż pan myśli o tem? — zapytał go po chwili Mirski.

— Plan mi się podoba, a powodzenie zależy

chyba tylko od tego, czy umiejętnie będzie wszystko przez nas przewidziane i przygotowane. Co do ucieczki po Obi, to rzeka ta — jak morze: byleby było na czym jechać i motor sprawnie działał. Cóż nam może zagrażać w ucieczce? Chyba burze, a te na Obi są czasem niebezpieczne. Co do pogoni, myślę, że możemy dać sobie z nią radę, bądź orężnie, bądź sprytem. Najgorsze widoki mielibyśmy dopiero u ujść Obi, gdzie są straszne pustkowia, o ile wiem, i t. zw. „Obska guba“ zbyt daleko wyprowadzi nas ku północnemu wschodowi.

— Tak, i ja o tem myślałem. To też końcowy etap naszej przyszłej podróży nie jest w moim planie zupełnie ustalony. Zdecydujemy to ostatecznie później. Nasuwał mi się projekt dotarcia przez bagna kraju Narymskiego na wschód, do Jenisieję i po tej rzece dojechania ku jej ujściom, gdzie na pewno znajdują się latem okręty angielskie, bo tą drogą, jak czytałem, Anglicy zaopatrują Syberję w towary od pewnego czasu. No, a czy w zasadzie zgadzacie się na ucieczkę, czy jej trudy i istotnie bardzo poważne niebezpieczeństwa nie przestraszają was?

— Jakżeż mamy się nie zgadzać! — odparł z poruszeniem Stefan. — Tam wojna z Polską, Bóg wie, co się dzieje, a my mielibyśmy tu siedzieć bezczynnie? Nawet z narażeniem swego życia musimy wracać do Polski, być tam w takiej godzinie dziejowej... A tu? Co warta tutaj jakakolwiek nasza praca? Strata czasu, nic więcej.



Wtem ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

— Otwarte! — odezwał się Tadeusz.

Z za drzwi ukazała się sylwetka strażnika Bierzowa. Stał na progu, kłaniając się grzecznie.

— Dzień dobry państwu!

— Dzień dobry! — odpowiedziano mu, nie ruszając się z miejsc.

Strażnik popatrzył przez chwilę na wszystkich, jakby liczył, czy kogo nie brak, potem odezwał się znowu:

— A więc państwo wszyscy tutaj zamieszkali.

— Tak. Wszyscy tutaj — odpowiedział Tadeusz.

— A co u pana dobrego słyhać? — zapytał Mirski.

— Nic osobliwego. Zaszedłem dowiedzieć się, czy państwo już znaleźli sobie mieszkanie. Jeżeli tak, to dobrze. Zostańcie z Bogiem.

— Do widzenia! — odpowiedziano mu chórem.

— On tu po co? — zapytała Zosia po wyjściu strażnika.

— To już ich taki strażnikowski obowiązek — objaśnił Tadeusz — dawniej zaglądał codziennie, czy nie uciekłem. Za próg jednak bez zaproszenia nie posuwa się.

## XVIII

## URMAN

W kilka dni potem, zgodnie z zapowiedzią, Mirski z Pietrkiem własnymi końmi pojechał do Narymu. Obiecał wrócić na Boże Narodzenie, które



miano spędzić razem, wspomniał też, że może mu się uda przywieźć z sobą w gościnę na kilka dni inż. Marczyńskiego. Nasza gromadka, pożegnawszy się czule ze swym dobroczyńcą, po wyjeździe jego poczuła się jakoś nieswojo i mimowoli wzrok swój i wszystkie nadzieje zwróciła na Tadeusza, który stawał się seniorem całej grupy, naturalnym jej przywódcą. Zresztą i Mirski powierzył mu opiekę nad córką. To też, gdy wrócono po odprowadzeniu za Ponigadkę Mirskiego, a było to wczesnym rankiem, zapytano Tadeusza, jaki obmyślił na ten dzień program.

— Nie myślałem nad tem jeszcze — odrzekł — ale to sprawa bardzo prosta. Jest dość ładna pogoda, niezbyt mroźna, możemy więc np. pójść do lasu na spacer, choćby na cały dzień, o ile wam nie zależy zbytnio na zjedzeniu w porę obiadu.

— Ależ naturalnie, że nie zależy! — odpowiedzieli wszyscy.

— Ja w każdym razie zostanę w domu, więc obiad na czas ugotuję — powiedziała Julcia.

— A jabym poszła do lasu, zobaczyć zbliska tajgę — rzekła Zosia.

— To już nie tajga, tylko urman — wtrącił Tadeusz.

— Urman? powiadasz — pytał Stefan. — Czemże się urman różni od tajgi? Zdaje mi się, że las naokoło Kargasoku taki sam, jak ten, przez który dotąd przejeżdżaliśmy...

— Rzeczywiście, nie widzę różnicy — wtrącił Kazik, stojąc w oknie i spoglądając na widoczną w pobliżu ścianę lasu.

Nowy wyraz, rzucony przez Tęczyńskiego, zaciekał wszystkich. Wstrzymano pytania, czekając, co powie Tadeusz.

— Chodźmy, to wam pokażę różnicę. Ale uprzedzam, że dziś zapuszczać się w głąb lasu—to rzecz nietatwa. Śnieg po uszy. Możemy zresztą spotkać gdzie pod wsią wilka, choć ich zresztą tu bardzo mało, wolą one takie półstepowe przestrzenie jak Baraba, znana wam, boście przez nią jeszcze koleją przejeżdżali.

— Ale pan weźmie fuzję do lasu?—pytał Staszek, ożywiając się na myśl, że będzie na polowaniu.

— Weźmiesz sztucer pana Mirskiego, czy ową fuzję, z którąś dotąd polował? — dorzucił pytanie Stefan.

— Cicho bądź! — rzekł Tadeusz. — Tak głośno o broni nie można tu mówić. Wszystko będzie w porządku, tylko musicie — tu zwrócił się do wszystkich: — ściśle stosować się do moich wskazówek, o ile chcecie pójść na polowanie.

— Z największą chęcią! — pierwsze odezwały się Zosia i Jadzia.

— Rozkaz! — odpowiedzieli chłopcy, prostując się na „bacność“.

— Spocznij! — zwrócił się do nich z uśmiechem Tęczyński. — Jeszcze czas na taki posłuch... Tymczasem musimy przygotować się do drogi. To nie zwykły spacer, jak po Kargasoku.

— Co mamy robić? — zapytał Stefan.

— A kto zostanie?



— Ja zostaję — powiedziała Julcia.

— To może i ja z tobą...—odezwała się Jadzia, której wycieczka na cały dzień po śniegu i mrozie zaczynała coraz mniej się podobać.

— To ja jedna tylko mam iść z chłopcami?— powiedziała Zosia.

— Zostań z nami na gospodarstwie — zachęcały Jadzia i Julcia.

— Cóż to przeszkadza, że jedna? — wtrącił Tadeusz. — Jeżeli druhna Zosia ma naprawdę chęć a czuje się na siłach, czemużby nie miała iść z nami?

— Niech idzie z nami! niech idzie!—odezwali się chłopcy z zadowoleniem.

A Kazik dodał z uśmiechem.

— Tylko jak niedźwiedzia spotkamy, to trzeba upaść na śnieg i udać, że się nie żyje...

— Wiem, wiem o tem! — odcięła się. — Bylebyście wy na drzewo nie uciekali, to ja sobie dam z nim sama radę.

— Brawo! — wykrzyknął zadowolony z dziarskiej odpowiedzi Tadeusz, a zwracając się do chłopców, dodał:

— Wiedźcie o tem, że pan Mirski oddał druhnę Zosię pod moją opiekę, więc żaden niedźwiedź krzywdy jej nie zrobi: zastrzeliłbym go natychmiast!

— A celnie pan strzela?—spytał Kazik.

— Jak czasem...

— Może, jak się zdarzy — rzekł trochę żartobliwie Stefek.



Tadeusz tymczasem wydobyl z siennika ukryty tam sztucer Mirskiego i szereg ładunków, pierwiej jednak drzwi od sieni zamknawszy na haczyk, żeby przypadkiem kto obcy nie zaszedł do mieszkania i nie zobaczył rzeczy „zakazanych“.

— Musimy na drogę wziąć coś do zjedzenia — zwrócił się do Julci.

— A cóż ja mogę dać? — zapytała — najwyżej po sporym kawałku chleba z masłem i może z mięsem, poza tem herbaty, jeżeli chcecie, trochę cukru.

— To weźmiemy i czajnik? — zapytał Józek.

— Naturalnie! — odrzekł Tadeusz. — Musimy w puszczy rozgrzewać się herbatą. Zabierzcie też z sobą kubki.

— Ależ, Tadku, jesteśmy harcerzami, wiemy, co w podróży niezbędne! Zostaw to już mnie — mówił Stefan.

— Zobaczą! — rzekł Tadeusz. — Panna Zosia niech się ubierze lekko lecz ciepło i włoży pimy, jak i my wszyscy, inaczej po śniegach się nie chodzi. Musimy też wszyscy zabrać ze sobą te otokije—tu wskazał na stojące w kącie pokoju laski, które harcerze zdążyli już sobie sporządzić—przydadzą się one bardzo.

Po kilkunastu minutach nasza szóstka była gotowa do wycieczki. Staszek, Stefek, Kazik i Józek włożyli do plecaków zabrane zapasy jedzenia i naboje, oraz jakieś zawiniątka, które dał im Tadeusz, włożyli na siebie krótkie kożuszki; Zosia prócz laski, nic więcej nie miała, wyręczyli ją chłopcy.

Tadeusz owinał sztucer w ceratkę, przerzucił przez plecy torbę myśliwską Mirskiego, wypełnioną różnemi drobiazgami, a do ręki wziął swoją łaskę stalową z ostrzem na końcu. Zwracając się do Jadzi i Julci, którym teraz było trochę żal, że miały zostać w domu, odezwał się:

Panie gospodynie niech nam na wieczór przygotują dobry obiadek. Wrócimy dopiero o zmierzchu. Gdyby tu zajął strażnik i pytał o nas, proszę mu powiedzieć, żeśmy poszli do Braginy z wizytą, niech więc o nasz powrót się nie boi. Polecam łaskawej opiece cały dom i tymczasem do widzenia! — Wy zaś — mówił Tadeusz, zwracając się do reszty — wyjdźcie z domu dopiero w dziesięć minut po mnie. Pójdziecie prosto przez wieś drogą aż do Braginy, nie śpiesząc się. Tam wkrótce znajdziecie się koło wrót „paskotiny“, to jest ogrodzenia, które w tych stronach otacza naokoło wiosek pewną przestrzeń, na której pasie się bydło. Przejdziecie przez te wrota i skróćcie drożyną na prawo. Pod lasem albo trochę na mnie poczekacie, albo mię już tam zastaniecie. Ja muszę obejść pod lasem, żeby mię ze sztucerem nikt nie zobaczył. Dalej, w urmanie, to już wszystko jedno, strażników tam niema.

— Wedle rozkazu! — odrzekł Stefan w imieniu wszystkich, spoglądając na zegarek. Dochodziła dziesiąta rano.

Tadeusz kiwnął wszystkim głową, Jadzi i Julci podał rękę na pożegnanie i za chwilę wysunął się z domu, kierując się koło płotów prosto pod las,



do którego było zaledwie ze sto kroków. Szybkim krokiem dostał się wkrótce na podlesie i znanymi sobie ścieżkami brnął przez śnieg naprzód, ściskając w dłoni wyjęty już z ceratki i gotowy do strzału sztucer.

W dziesięć minut później, zgodnie z instrukcją, nasza gromadka opuściła mieszkanie. Ponieważ codziennie urządzano sobie spacer po Kargasoku, nie zwróciło niczyjej uwagi to wyjście. Jedną miano tylko trudność. Oto miś Zosi, dotychczas zawsze bardzo spokojny i siedzący w sieni na łańcuszku, gdy wyruszano, jakimś cudem urwał się i pobiegł za harcerzami. Musiano zawrócić, zamknąć misia tymczasowo w jakiejś komórce, a wskutek tej przygody obawiano się spóźnienia. Przyspieszono nieco kroku, żeby zdążyć na czas. Ale Tadeusza jeszcze nie było w umówionym miejscu. Widocznie coś zaszło. Pierwsza Zosia Mirska wyraziła obawę.

— Ależ nie bójcie się o niego!—uspokajał Stefan. — Cóżby znowu mogło go tam spotkać pod lasem, przecież w głąb nie miał zamiaru się zapuszczać.

Zosia jednak w dalszym ciągu niepokoiła się trochę, rozglądając dokoła. Po kwadransie niepokój zaczął się udzielać i reszcie. Stefan rzucał wciąż okiem w stronę, z której powinien był nadciągnąć Tadeusz. Wreszcie po upływie pół godziny ujrzano zdala na tle lasu wysuwającą się na pole śniegowe sylwetkę ludzkiej postaci. Był to oczywiście Tadeusz. Ale na bieli śniegu widać już



było zdala, że coś ciągnie za sobą, i to utrudnia mu szybkie posuwanie się naprzód. Zdumienie jednak wszystkich ogarnęło, gdy Tęczyński po kilkunastu minutach zbliżył się i w ciągnionym przedmiocie wszyscy rozpoznali jakiegoś olbrzymiego ptasiego drapieżnika.

— Ach! co za wspaniały orzeł! — zawołała Zosia.

— Gdzieś go zabił? — pytał Stefan.

Gromadka pobiegła na spotkanie, okrążyła Tadeusza, który przystanął i z pewnem zakłopotaniem spoglądał na upolowanego ptaka.

— To chyba birkut-bielik z białym ogonem, niegdyś i w Polsce pospolity w niektórych miejscowościach—odezwał się Staś, oglądając uważnie ptaka.

— Nie wiem, co za gatunek—odrzekł Tadeusz— ale to pewne, że orzeł. Nie brak ich tu i wogóle na Sybirze. W Altaju podobno są jeszcze większe okazy.

— Niechże nam pan powie, jak pan upolował tego orła — zwróciła się Mirska.

— Przypadkowo zupełnie. Idę sobie brzegiem lasu, przedzierając się przez śniegi, nawiane z pola, a tu patrzę: leci coś od strony wsi dość nisko, prawie nad samo ziemią, w moją stronę. Stałem, naturalnie, bo zbudziła się we mnie zaraz żyłka myśliwska i czekam. Ponieważ nie spostrzegłem, widać, nadleciał tuż prawie. Nie namyślając się, huknąłem ze sztuceru. Zatrzepotał skrzydłami tylko i padł prawie przy mnie w śnieg, ale tak

głęboko, że miałem kłopot z wyciągnięciem. No i, jak widzicie, przywlokłem go na sznurku, bo tak najłżej, ale co dalej z nim robić?

— Jakoś jednak musimy go zabrać ze sobą! — odezwał się Kazik — szkodaby było tak ślicznego ptaszka.

— Ładny „ptaszek!”

Zastanawiano się przez chwilę, co robić. Wlec ze sobą do lasu? — niewygodnie. Zostawić w polu — niepodobna, bo wilki lub lisy tymczasem rozszarpią. Po namyśle też zdecydował Tadeusz zawiesić orła na drzewie w lesie. Pozostanie tym sposobem bezpiecznie do czasu powrotu z puszczy.

Tadeusz szedł pierwszy, za nim Zosia, dalej inni, bo ustawiono się gęsiego, a na ostatku — Staszek.

Kroczone w głąb martwej pozornie puszczy po opuszczonej jakiejś drodze na śniegu, dostatecznie jednak ubitej. W miarę zapuszczania się coraz dalej droga stawała się jednak coraz gorszą, wreszcie zamieniła się stopniowo w ścieżkę ledwie widoczną na śniegu. Zaczęły też teraz występować coraz większe gąszcze naokoło, tem przykrzejsze, że śnieg, wiszący na nich grubemi płatami, spadał co chwila naszym wędrownikom na głowy i szyje. Na śnieżnej bieli spotykanych niewielkich polanek dały się widzieć liczne ślady rozmaitej zwierzyny. Tu trójkątny trop lisa, tam jakichś ptaków, tu znów stary już, częściowo śniegiem zaprószony wielki ślad prawdopodobnie kopyt jelenich czy łosich. Tadeusz zatrzymał się wreszcie i, wskazując na



bok, w stronę limby, rosnącej o kilkanaście kroków od ścieżki, powiedział:

— Widzicie pułapkę?

Istotnie, parę kroków przed limbą, pośród zarosli gromadka nasza zauważyła kilka wbitych palików, nad którymi umieszczony łuk był tak przystosowany, że za najslabszem poruszeniem włosia między palikami — spuszczał raptownie i z wielką siłą umieszczoną odpowiednio deszczułkę, która przygniatała zwierzątko, usiłujące przedostać się między palikami.

— Ale tam już coś się złapało! — wykrzyknął Kazik.

Józek Królicki skoczył w bok pierwszy. Za nim poszli wszyscy, brnąc w śniegu po pas, bo po za ścieżką był wyjątkowo miękki. W pułapce był skostniały już od zimna trup wiewiórki syberyjskiej, zwanej popielicą.

Przyjrzano się też dokładnie pułapce i wiewiórcę, a następnie wrócono na ścieżkę.

Wkrótce się jednak i ta drożyna urwała.

— Teraz to już nie wiem — odezwał się Tadeusz — czy dacie sobie radę po tym śniegu, zwłaszcza druha Zosia.

— A dlaczegożbym nie miała dać rady?

— Głupstwo śnieg! — odpowiedzieli chłopcy. — Prowadź nas dalej, panie przewodniku!

Tadeusz ruszył przed siebie, wybierając miejsca niezbyt zacienione, ale i nie zanedto odległe od drzew, na polankach bowiem mogły być błota pod śniegiem. Mijając jedną z polanek, Tadeusz



nagle przystanął i zmierzwszy ze szlucera, wypalił szybko.

W odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków na śniegu, tuż przy krzakach zakręciło się coś nagle i legło w śnieg. Cała gromadka na wyszyci pobiegła zobaczyć upolowaną zwierzynę. Był to ładny okaz lisa (*Vulpes alopec*). Tęczyński strzelił do niego grubszym śrutem, to też lis był w kilku miejscach ranny. Ale podbiegając do niego, Tadeusz trzymał w pogotowiu broń w dalszym ciągu, gdyż lisy udają nieraz zabite, by z pod nóg myśliwego porwać się i zbiec, lub go nawet pokąsać. Ale lis zdradzał wszelkie oznaki śmierci. Tadeusz założył mu pętlicę na szyję i włożywszy do worka, zaczął ciągnąć po śniegu. Wyręczył go zaraz Józek, któremu sprawiało wielką przyjemność ciągnąć upolowaną zdobycz.

Gromadka nasza uszła jeszcze w ten sposób w głąb lasu kilkaset kroków, ale zwierzyny nie napotkano, choć rozmaite ślady były coraz częstsze. Ponieważ jednak już i naszym wędrownikom, jak się wyraził Kazik głośno: „kiszki zaczęły grać marsza“, zatrzymano się na odpoczynek i „obiad“.

Było to na skraju jednej z licznych tu polanek.

Ubito wspólnymi siłami śnieg na znacznej przestrzeni, złożono torby i zapasy. Józek pierwszy pobiegł do najbliższych drzew nałamać gałęzi na ognisko. Jakoż wkrótce buchnął płomień. Na trzech laskach, po harcersku umieszczono nad ogniskiem zabrany z domu czajnik, napełniony śniegiem. Kilka razy trzeba go było dopełniać. Śnieg koło

ognia topniał tymczasem bardzo szybko i ognisko zwolna zapadało się wgłąb, musiano czuwać nieustannie, by regulować czajnik nad ogniem, ale doczekano się wreszcie, że w nim zawrzało. Nalanie sobie gorącej wody do kubków, zalanie esencją—było już rzeczą chwili. Raczone się teraz ukropem, zając z wielkim apetytem zabrane zapasy.

Zosia mimo pewnego zmęczenia była w wyśmienitym humorze, zadowolona z wycieczki.

— Co też tam robi Jadzia z Julcią?—zagaadnęła.

— A cóż? Pewnie się nudzą obiedwie, żałując, że z nami nie poszły — odpowiedział Staszek.

— To nie! Będziemy za to mieli dobrą wsuwę, jak wrócimy — rzekł Kazik.

— Patrzcie go! jak się o jedzenie troszczy!

— Czemu się nie mam troszczyć? W każdym razie będzie przyjemnie, gdy wrócimy, zjeść sobie wieczerzę, jak się patrzy, w ciepłe, a nie jak tu, ścisnąć pas i dzwonić zębami z zimna.

Istotnie mróz powoli, ale coraz bardziej się wzmacniał i gdyby nie to, że gromadka nasza zagrzała się teraz gorącą herbatą, pewnie dawałby się we znaki, mimo ciepłego ubrania. Tadeusz spoglądał na niebo, odsłonięte nad polaną, niebieskie, piękne.

— Będziemy mieli silny mróz! — zawyrokował.—Wartoby już zawrócić, pewnie z miłą drogą jesteśmy od domu.

— No, to zawracajmy! Ale chyba inną drogą?— spytał Kazik.

— A orzeł? Zostawimy go pod lasem?— odezwał się Staszek.



— Prawda!

— Ależ to chyba nie przeszkadza...—odezwała się Zosia.—Pan Tadeusz zapewne i inną drogą potrafi dotrzeć do owego drzewa, na którym powiesiliście orła?...

— Spróbuję. Przyznam nawet, że nie lubię chodzić temi samemi szlakami. Ot tak teraz pójdziemy: tędy prosto przez ten urman, a potem półkolem na prawo...

— Ale, ale! miałeś nam wytłumaczyć różnicę między urmanem a tajgą — rzekł Stefan.

— Pamiętam o tem—odpowiedział Tadeusz.— Otóż widzicie — tajga to las mieszany, z występującymi w wielu miejscach t. zw. po tutejszemu „bielnikami“, t. j. zaroślami brzoźowemi i osikowemi, oraz z błotami torfiastemi; na piaszczystych miejscach trafiają się w tajdze i bory sosnowe. Urman zaś, to las tak, jak ten, gdzie widać dokoła przeważnie tylko iglaste drzewa i to głównie te wspaniałe limby, jodły, „pichty“, sosny, modrzewie, a wszystkie wielkie, potężne, rosące w chaotycznym bezładzie, tworzące gąszcz nieprzebyty, przez który, jak mówią Sybiracy: „człowiekowi nie przejechać, zwierzęciu nie przebiec, a ptakowi nie przelecieć“—potęgujący grozę swą zawikłanym splotem zwalonych spróchniałych pni, krzewów i młodych, świeżo wyrastających drzew.

Spojrzano dokoła.

Istotnie stał przed nimi potężny bór iglasty, głuchy, dziki, tem dziwszy teraz, że pod całunem śniegu jakby zamarły.



Tadeusz dużo jeszcze opowiadał o urmanie. Ale czas było już zabierać się do domu. Spakowano się szybko i ruszono naprzód. Tadeusz prowadził, torując sobie drogę przez tonie śniegu. Pochód posuwał się zwolna, choć przyśpieszano kroku, bo mróz zaczął dawać się we znaki coraz bardziej. Wreszcie ukazał się skraj puszczy. Skierowano się jej brzegiem w stronę drzewa z zawieszonym orłem.

Naraz Zosia Mirska zatrzymała się nagle, krzyząc:

— Co to? Co to?

Tadeusz, idący przed nią kilka kroków i zapatrzonej w dal przed siebie, nie spostrzegł, że spłoszył zajęcia, który tu zimą ma zupełnie białe futerko, to też Zosia nie poznała, co to za zwierzę. Ale już Tadeusz zdążył zmierzyć do kota i wypalił. Zajęczek fiknął koziołka i zaczął konwulsyjnie grzebać łapkami śnieg. Za chwilę już nie żył. A Józek, rzucając ciągnionego lisa, znowu pobiegł pod nową zdobycz, chcąc ją sobie znowu przytrzymać. Ale wyręczył go Kazik.

Odnaleziono niebawem orła, zdjęto go z drzewa. Był zmarznięty zupełnie.

Ruszono w stronę Braginy.

Pod samą wsią jednak kazał Tadeusz zatrzymać się wszystkim. Zostawiwszy sztucer w rękach Zosi poszedł do jednej z najbliższych budowli mieszkalnych. Za chwilę ujrzano go wyjeżdżającego sankami. Wszyscy wsiedli i ułożono zwierzynę. Głównie wszakże szło o to, by przez Kar-

gasok przewieźć zwierzynę, nie zwracając niczyjej uwagi. A że już słońce zaszło i szczyty drzew puszczy na zachodzie oblały się szkarłatem, popędzano konie, które zresztą wielkiej zachęty nie potrzebowały.

Po upływie kilkunastu minut same zajechały na podwórze... Jadzia i Julcia wybiegły z radością, witając przybyłych i oglądając myśliwskie trofea Tadeusza. Naturalnie, zając postanowiono zaraz oprawić, lisa — wyprawić na skórkę, orła — wypchać. Tymczasem wszystką zwierzynę zawieszono na kołku. Gosposie zakrzętnęły się koło wieczerzy dla „myśliwych“. Zabrano się milczkiem do jedzenia. Apetyt ujawniał się z taką siłą, że nie pozwalał na pogawędkę. Ale nieco później rozgadzano się, co się zowie, wypowiadano uwagi o swych spostrzeżeniach w puszczy, zaczęto nawet żartobliwie koloryzować Jadzi i Julci, jak to o mało co nie upolowano niedźwiedzia. Staszek tylko, jako przyrodnik, nie mógł wytrzymać i wydał sekret, że przecie o tej porze roku niedźwiedzie na wolności zapadają w sen i spoczywają gdzieś głęboko w jamie pod śniegiem. Zaraz też przypomniał się naszym harcerzom miś Zosi. Gdzie jest, co robił? Sprowadzono go z komórki, gdzie siedział po niedawnej ucieczce.

Po kolacji Tadeusz wziął gitarę i cała gromadka, skupiwszy się w jednym kącie, zaczęła nucić różne piosenki. Każda przypominała im Polskę, od której byli teraz tak daleko, nie wiedząc, co z nią się dzieje, to znowu myślał biegle wszyscy



za panem Mirskim, który tam już pewnie dojeżdża do Narymu i będzie z inż. Marczyńskim obmyślał sposoby ucieczki z tego bezludzia. Jadzia i Julcia opowiadały, co się działo w domu przez cały dzień. Północ prawie dochodziła, gdy rzucono się na posłania.

Mróz tymczasem za oknami trząsał coraz potężniej. Wystawiony termometr spadał coraz niżej. Przed samą północą wskazywał już—35°. Zwolna też cisza zupełna zapanowała na dworze i całą okolicę pokrył białawy tuman mgły suchej, właściwej takim chwilom mrozów.

## XIX

### BUDOWA MOTORÓWKI

Mirski wieczorem dopiero zająchał bez żadnych przygód do Narymu. Udał się natychmiast do inż. Marczyńskiego, gdzie też zatrzymał się na nocleg. Nim poszli spać, do późnej nocy prowadzili rozmowę o planach ucieczki. Zasadniczo postanowiono wykonać ją z wiosną, jak tylko żegluga na Obi się rozpocznie. Dziеляcy od tej chwili czas projektowano zużyć na wszelkie przygotowania, w pierwszym rzędzie na zbudowanie głównego narzędzia ucieczki — odpowiednio skonstruowanej motorówki z zastosowaniem wynalazku Marczyńskiego.

— Więc, inżynierze — mówił Mirski — kiedyśmy



się już zdecydowali stąd czmychać, przystąpmy do konkretnego planu działania. Sądzę, że musimy ustalić po pierwsze: jaką ma być owa nasza motorówka, po drugie: gdzie ją i jak budować, żeby nie zwróciła specjalnej uwagi.

— Co do pierwszego punktu, myślę—odpowiedział Marczyński — że najlepiejby było, ażeby łódź nasza możliwie zbliżała się do typu łodzi podwodnych, zarazem, żeby mogła mieć charakter hydroplanu...

— A czyż to możebne? Przecież podwodna łódź musi być dostatecznie ciężka, hydroplan zaś względnie lekki, żeby mógł najłatwiej wzbić się w powietrze!

— Właśnie zupełnie możliwe, przy dwóch jednak warunkach. Pierwszy warunek, to posiadanie stosownego motoru. Mój wynalazek w tym wypadku sprawę może przesądzać. Drugi warunek w rękach pańskich: to sprawa kosztów.

— Kosztów? Ależ to bagatela! — odparł Mirski.—Ileż trzeba będzie na taką łódź, zdaniem pana?

— Ze sześćdziesiąt tysięcy.

— Tylko? — zdziwił się Mirski. — Ależ, panie, ja chętnie poświęcę i dwieście tysięcy rubli, byleby plan nasz przeprowadzić z powodzeniem. Zaraz w Tomsku zwrócę się do Banku o fundusze, ale nim skomunikują się z Warszawą, czy może Petersburgiem, dokąd pewnie banki warszawskie przewieziono, upłynie trochę czasu. Tymczasem coś też robić można i nie wątpię, że zaczniemy.

— Mówi pan „zaczniemy“ — rzekł ze smutnym uśmiechem Marczyński. — Ale to pan tylko może coś zaczynać, ja tutaj nic robić nie mogę!

— Hm! Jakos musimy i na to poradzić... Czyżby przystaw nie mógł pana zwolnić na jakiś czas do Tomska, pod byle jakim pretekstem? — spytał Mirski.

— Gdybym chciał, tobym mógł, dajmy na to, pod pozorem, że muszę się leczyć... Ale...

— O, to już się załatwi! Muszę z Waltherem pogadać po swojemu — zdecydował Mirski.

— Ależ panie Mirski! — To nie taka łatwa sprawa. Trzeba bardzo ostrożnie, bo mi pan mimowoli zaszkodzi... Pomyśli, że mi pan chce ułatwić ucieczkę...

— Niech się pan nie boi. Rozumiem rzecz. Zresztą pójdźmy do niego razem. Pan niby w swoich sprawach, ja w swoich, a już na miejscu jakoś znajdziemy najwłaściwszy sposób...

Na drugi dzień Mirski z Marczyńskim złożyli wizytę komisarzowi. Pan Walther, choć początkowo wzdragał się, ostatecznie pozwolił inżynierowi dla ratowania zdrowia udać się do Tomska na dwa miesiące. Naturalnie zastrzegł, że Marczyński musi być tam również pod dozorem policji i dwa razy na tydzień ma się meldować osobiście.

Sprawa więc poszła dość gładko, a było to rzeczą najważniejszą. Inaczej trudno by myśleć o budowie maszyny, skonstruowanej tymczasem tylko na papierze. I kiedy opłacony hojnie komisarz przysłał Marczyńskiemu na ręce stosowny papier,



upoważniający do wyjazdu z Narymu, natychmiast, choć już było po południu, wyjechano co koń wyskoczy, kierując się do Tomsku tą samą drogą, którą przebyto niedawno.

Po pięciu dniach podróży Mirski z Marczyńskim znaleźli się w stolicy umysłowej Sybiru. Zajechali do hotelu i po nocnym odpoczynku udali się do miejscowego Komitetu Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, aby się poinformować co do osób, któreby im mogły dopomóc przy budowie motorowki. Na poufnej naradzie z prezesem Komitetu przedstawiono, że chodzi o próbną budowę na motorówkach aparatów, mogących w wojnie mieć szersze zastosowanie i proszono o wskazanie kogoś miejscowego, któryby się podjął w stosunku do władz występować w tej sprawie jako przedsiębiorca. Prezes podał jako kandydata inż. Kalinowskiego, Polaka, zdawna tu osiadłego i mającego dużą fabrykę wyrobów żelaznych, obecnie nawet dostarczającą armji rosyjskiej niektórych części broni.

Udano się na ulicę „Miljonową“ do biura inż. Kalinowskiego. Siedział w niewielkim gabinecie, pochylony nad papierami przy wielkiem biurku, zastawionem różnemi okazami muter, śrub, kluczy żelaznych, jakichś kół zębatach, sztabek i t. p. Mirski i Marczyński przedstawili mu się, prosząc o chwilę poufnej rozmowy.

— Czem panom mogę służyć? — zapytał.

— Udajemy się do pana—zaczął Mirski--w pewnej delikatnej sprawie, do której potrzebujemy



pańskiej pomocy. Mianowicie, inżynier Marczyński dokonał pewnego wynalazku, który może mieć olbrzymie zastosowanie, zwłaszcza, jak obecnie, w wojnie. Nim wynalazek ten udoskonalimy i opatentujemy, chcielibyśmy przeprowadzić szereg prób i w tym celu śmiemy właśnie pana inżyniera prosić o współudział w tej pracy na warunkach, które omówimy bliżej, a które, sądzimy, pana zadowolą. Na razie chodzi o to, żeby pan, jako właściciel fabryki żelaznej, zechciał nam wykonać potrzebne maszyny, pozatem, żeby pan zgodził się wobec władz, ze względu na swą firmę, a nieznaną tu naszą pozycję, reprezentować naszą spółkę, którą zakładamy. Panowie obydwaj, t. j. pan i pan Marczyński, jako inżynierowie mechanicy, włożycie swą wiedzę w tę sprawę, ja zaś, dyletant w tych sprawach, dam jedynie kapitał. Co do szczegółów, mamy czas na omówienie drobiazgowo wszystkiego...

Kalinowski zamyślił się.

— Zasadniczo nic nie mam przeciwko panów propozycji. Ale pozwolą panowie, że wyłuszczę parę swoich zastrzeżeń i obaw. Bez ich wyjaśnienia ja, człowiek pracy, nie potrafiłbym czegokolwiek rozpoczynać, tembardziej teraz, w czasie wojny.

— Ależ, naturalnie! — przerwali mu obydwaj nasi znajomi.

— Otóż — ciągnął dalej Kalinowski — przede wszystkim nie znam panów, pierwszy raz przecie widzę—nie wiem, czy mógłbym podjąć się wykonania pracy, którą panowie proponują ze wzglę-

du na rodzaj moich fabrykatów; obawiam się dalej, czy nie zaszkodziłbym sobie, podejmując się przedstawicielstwa wobec władz państwowych, wreszcie, powiem otwarcie, nie wiem, czy mi się opłaci brać do rzeczy tak niepewnej.

— To wszystko kwestja czasu i porozumienia— zaznaczył Marczyński.

— Tak — rzekł Kalinowski — to też zasadniczo nie odmawiam, tylko wymagam, rozumieją panowie, konkretnych wyjaśnień i pewności, że nie wdaję się w utopję...

Po tych słowach Mirski i Marczyński pożegnali inżyniera i umówili się na nową naradę. Przez kilka dni z rzędu trwały konferencje z Kalinowskim, dopóki nie udało się ostrożnego inżyniera skłonić do przystąpienia do spółki. Tymczasem Mirski i Marczyński wyszukali sobie prywatne mieszkanie w domu pewnego rodaka, geometry Romanowskiego, który nawet pozwolił Marczyńskiemu posługiwać się stołami i narzędziami rysowniczymi. Całemi dniami przesiadywał inżynier w domu, mozołąc się nad obliczeniami i rysunkami potrzebnych części. A w fabryce Kalinowskiego wrzała równocześnie praca. Według planów, sporządzonych przez Marczyńskiego, odlewano z żelaza, miedzi i glinu (aluminjum) stosowne części składowe łodzi i osobliwego motoru, stanowiącego wynalazek inżyniera-zesłańca. W miesiąc po przyjeździe do Tomska miało się już zacząć zestawianie tych części w całość.

Inż. Kalinowski, choć możeby zastugiwał na



zaufanie, bo był to człowiek zupełnie solidny i prawy Polak, o czym świadczyć mógł czynny jego udział we wszystkich żywotnych sprawach miejscowej kolonii polskiej, której był jakby przywódcą, a choćby i to, że dzieci swe, czterech synów, uczęszczających do szkoły realnej w Tomsku, kształcił w domu osobno po polsku, trzymając specjalnego nauczyciela—nie został całkowicie wtajemniczony w sprawę. Mirski i Marczyński obawiali się, żeby, lękając się odpowiedzialności za współudział w organizowaniu ich ucieczki, nie ustąpił ze spółki.

Pan Mirski, nie zajmując się techniczną stroną akcji, bo się na niej nie znał, studjował za to właściwości i stosunki okolic, przez które w przyszłości miano jechać, obmyślał też skrupulatnie, co trzeba i w jakim stanie zabrać ze sobą na drogę. Za pośrednictwem miejscowego oddziału Banku Państwa z Piotrogradu sprowadził z Petersburga pieniądze. Rozporządzając sumą pół miljona rubli, nie potrzebował się wielce troszczyć o jutro. To też budowa motorówki szła szybko naprzód, a i pobyt w mieście, nie należał do najprzykrzejszych.

Najwięcej kłopotu miał inżynier Marczyński ze sporządzeniem swego „wieczystego“ motoru. Niektóre jego części musiał sam w warsztatach Kalinowskiego wykonać, chcąc je mieć zrobione precyzyjnie i z zachowaniem tajemnicy.

Któregoś dnia wieczorem, zobaczywszy się z Mirskim, rzekł mu z rozradowaną miną:



— Nareszcie!

— Więc już motor gotów? Winszuję serdecznie! Ale musicie, inżynierze, powiedzieć nareszcie, na czym polega wasz wynalazek. Pod słowem—nie wydam sekretu i o patent się nie będę ubiegał—rzekł Mirski z uśmiechem.

— Wynalazek mój w istocie nie posiada w sobie nic nadzwyczajnego. Dziwię się nawet, że dotąd nikt inny nie wpadł na jego pomysł—zaczął Marczyński.

— Właśnie wszystkie, podobno, największe wynalazki są w zasadzie bardzo proste—przerwał Mirski.

— Otóż motor mój—ciągnął dalej inżynier—jest sobie zwykłym, tylko solidniej i z pewnemi zmianami urządzonym aparatem do skraplania powietrza... Może w przeciągu minuty wytwarzać ze zwykłego powietrza do dziesięciu litrów płynu, który koncentruje się w odpowiednio urządzonym cylindrze i tu zapomocą prądu elektrycznego może raptownie z powrotem zamieniać się na gaz... Pojmuje pan, tę energję wybuchu, odpowiednio ujętą i uregulowaną, zużytkowuję do poruszania śruby. Z jaką siłą?—musiałbym panu przedstawić tu szereg zawikłanych obliczeń, pomnę to jednak i powiem tylko, że naszą łódź zapomocą tego mego motoru będziemy mogli pchać po wodzie z szybkością conajmniej 60 klm. na godzinę...

— Co pan mówi!—wykrzyknął zdziwiony Mirski—ależ to pośpiech dzisiejszych wojennych parowców.

— To jeszcze nie wszystko—mówił dalej Marczyński—nasz statek, jak panu wiadomo, ma być zarazem rodzajem hydroplanu. Otóż w razie potrzeby będzie mógł po rozwinięciu składanych swych skrzydeł, unieść się w powietrze z ponad wody i lecieć z szybkością dwa razy większą. Nie potrzebuję panu przypominać, że powietrza nam nigdzie nie zbraknie, tem samem motor będzie mógł działać bez przerwy, chyba by się zepsuł, ale na taki wypadek sporządzam jednocześnie drugi motor, zapasowy...

— Ależ to genialny pomysł, inżynierze...—odezwał się znowu Mirski. — Doprawdy, nie żałuję, że tu jestem teraz... Pański wynalazek dokona w środkach lokomocyjnych przewrotu, o jakim dotąd nikomu się nie śniło. Mało mówię... Toż przecie ten rodzaj energii będzie można zastosować również we wszystkich dziedzinach! Niemile pachnąca benzyna pójdzie w ką! Fabryki, maszyny wszelkie obejdą się bez niej.

— Być może — rzekł skromnie Marczyński. — Narazie idzie mi o naszą łódź, byśmy na niej mogli się wynieść z tych zakazanych kątów. A potem... potem... wynalazek mój ofiaruję wyzwolonej już chyba po tej wojnie naszej Ojczyźnie.

Długo jeszcze tego wieczoru Mirski z Marczyńskim rozmawiali o budowie swej motorówki i różnych szczegółach ucieczki. Postanowili nazajutrz dokonać przeglądu zrobionych rzeczy i wypróbować siłę motoru. Kładli się spać z uczuciem ulgi, że połowa dzieła zrobiona, i z całą ufnością, że



wyprawa musi się udać. Pamiętali przytem, że nim wszystko będzie ukończone, trzeba jeszcze „wpaść“ na parę dni do „dzieci“, bo zbliżały się święta, na które obiecali przyjechać celem spędzenia wspólnie wigilji i podzielenia się tradycyjnym opłatkiem...

— Ciekaw jestem bardzo, jak tam sobie sami radzą — rzekł Mirski.

— Zdaje się, że może być pan o nich zupełnie spokojny — odpowiedział Marczyński. — Dużo znaczy, że są pod opieką owego Tęczyńskiego. Znam go trochę, bo wstępował do mnie w przejeździe i wydaje mi się bardzo solidnym młodzieńcem. Zresztą wszyscy są harcerzami, i to dużo znaczy...

— Bezwarunkowo! — potwierdził Mirski. — Widział pan, jak się ze sobą wszyscy żyli?

— Cóż dziwnego?... W więzieniu o to łatwo — odpowiedział Marczyński — są mniej więcej w jednym wieku, dawni znajomi...

Dalszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Ukazał się w nich gospodarz lokalu, pan Romanowski.

— Najmocniej przepraszam, że panów niepokoję — rzekł — ale zapewne o któregoś z panów dopytuje się jakiś policjant...

Mirski i Marczyński spojrzeli na siebie. Pan Romanowski nie wiedział, że Marczyński jest pod dozorem. To też inżynier odezwał się uspokajająco:

— E, to nic, chodzi o mnie z pewnością. Idę.

To mówiąc, włożył z powrotem marynarkę, bo już zaczął był rozbierać się do spania, i wyszedł rozmówić się z nieproszonym gościem.



Mirski tymczasem wytłumaczył zdziwionemu i zaniepokojonemu gospodarzowi, że Marczyński, jako zesłaniec polityczny, jest pod dozorem policyjnym i, że zapewne ów policjant został przysłany, ażeby przekonać się, czy Marczyński nie uciekł.

Za chwilę inżynier wrócił.

— No i co? — pytał Mirski.

— Ano nic. Jak przyszedł, tak poszedł. Zobaczył mnie, że jestem. A to dlatego widać, że wczoraj zapomniałem pokazać się w komisarjacie.

Na drugi dzień Mirski zajrzał do fabryki i, korzystając z nieobecności Kalinowskiego, który wyjechał na parę dni do Omska, wspólnie z Marczyńskim dokonał generalnego przeglądu wykonanych dotąd prac. Po powrocie inżyniera Kalinowskiego postanowiono zaraz wyruszyć do Kargasoku, żeby zdążyć na wigilię Bożego Narodzenia.

Zima tymczasem potężniała z każdym dniem. Przedświąteczne mrozy stopniowo wzrastały. Poranki otulały Tomsk suchą mgłą, a głucho odgłosy, idące z drewnianych przemarzłych chodników miasta pod uderzeniami stóp przechodzących ludzi, świadczyły, że zbliżył się pierwszy, t. zw. grudniowy okres mrozów 40-stopniowych.

## XX

### WIGILJA

W tym czasie, gdy Mirski z Marczyńskim opuścili już Tomsk i śpiesznie podążali do Kargasoku

na zbliżające się święta Bożego Narodzenia, które zamierzali spędzić w gronie swej młodzieży — ta ostatnia krzątała się energicznie, aby pierwsza i, daj, Boże, ostatnia wigilja na obczyźnie wypadła jaknajmilej i najwspanialej, by najbardziej mogła przypomnieć wszystkim Polskę, do której gorąco tęsknili, a skąd rzadko tylko i bardzo głucho dochodziły wieści.

Na naradzie generalnej, która się na kilka dni przed wigilją pod przewodnictwem Tadeusza odbyła, zdecydowano, że samą wigilję spędzą tylko w swoim gronie, razem z mającymi nadjechać lada dzień Mirskim i Marczyńskim, natomiast w pierwszy dzień świąt urządzą ucztę dla wszystkich Polaków, przebywających w Kargasoku.

— Tak będzie najlepiej — zdecydowała Zosia Mirska i wszyscy obecni się z tem zgodzili. — Bo i pocóż obcych na taką rodzinną uroczystość wprowadzać? — dokończyła.

I zgodnie z powyższą decyzją zaczęto przygotowywać się na dobre do obu uroczystości. Urządzano odpowiednio mieszkanie, przygotowywano sute zapasy żywności, niezbędnej do wigilji i na święta i t. d. i t. d. Postarano się też o tradycyjną choinkę. Chłopcy wybrali się do lasu i tam wyszukali stosowne drzewko, nie ścięli go jednak zaraz, postanowili to zrobić w przeddzień wigilji, aby zachowało bardziej swą świeżość. Był to piękny młodzieńcy świerk. Drogę do niego w lesie nacechowano siekierkami. Trudniejszą sprawą miała być kwestja ubrania choinki. Poproszono jednego



ze sklepikarzy Kargasoku, gdy udawał się do Narymu po zakupy, by kupić tam pierników, cukierków, orzechów i t. p. łakoci. Niespodziewano się wcale, że przewidujący Mirski nie zapomni z Tom-ska przywieźć również niemało tych rzeczy, tylko w lepszym gatunku. Dziewczynki tymczasem piekły ciasto, przygotowywały różne mięsiva i t. p. Celem zaopatrzenia spiżarni Tadeusz z chłopcami przez szereg dni urządzał wielkie wyprawy myśliwskie, których plonem był jeden młody łoś (Alces palmatus) i kilkanaście zajęcy.

— Jakżeście upolowali tego łośka? — wykrzyknęły dziewczynki, gdy nasi myśliwi już późną nocą na saniach przywieźli kiedyś tę zdobycz.

— Ano, brodzimy przez śniegi—zaczął Tadeusz— już przez parę godzin przedzierając się wśród gąszczu, wtem słyszymy jakiś silny szelest przed sobą. Zatrzymaliśmy się, czekamy. Wtem z krzaków ukazuje się naprost nas potworny łeb z wielkimi szerokimi i płaskimi rogami. Nim, zobaczywszy nas, zdążył cofnąć się, strzeliliśmy, kładąc go trupem na miejscu.

— To wszystko nic jednak w porównaniu z tem, cośmy mieli za kłopot, żeby tego łośia wciągnąć na sanie, sprowadzone ze wsi! — dorzucił Kazik.

— Czy to jednak ludzie jedzą takie stworzenia? — zapytała Julcia Królicka.

— A naturalnie! — odrzekł Tadeusz. — Przecie według jakiegoś poety, przypominam sobie, podawano dawniej:



*„...na pański stół łakocie  
Lipce stare, łosie chrapy  
I niedźwiedzie łapy”.*

— To możebyście chcieli obciąć łapy i mojemu Misiowi? — krzyknęła, udając przestrasz, Zosia. — Nie dam! Nie dam za nic!

I zaczęto oglądać te łosie chrapy, czyli pysk. Nie podobał się nikomu: na końcu szeroki, szerszy niemal od głowy, zaopatrzonej w górną wargę wystającą naprzód i bardzo ruchomą, u żywego zwieszającą się nadół i za każdym większym poruszeniem się zwierzęcia kołyszającą się na prawo i lewo.

— I takie brzydactwo mamy jeść? — spytała Jadzia.

— Nietylko chrapy uchodzą za przysmak — objaśniał Tadeusz znowu — również łosi ozór i uszy to specjały. Zresztą całe to zwierzę jest jadalne, tylko trzeba je umieć sporządzić.

— W tem właśnie cała sztuka! — rzekła Zosia.

— Chyba podobnie trzeba sporządzać jak sarny? — dorzuciła Julcia, i zaraz dodała, mówiąc:

— Jeżeli tak, to potrafię; bo pamiętam, jak kiedyś we dworze trawnickim na jakiś bal szykowano sarnę...

— Z pewnością — rzekł Stefan. — Zresztą cóż znowu! mięso to mięso, jakoś je upitrasicie i basta!

Codzień wieczorami udawano się gromadnie za Ponigadkę, na szlak, prowadzący do Narymu, aby powitać mających nadjechać gości. Wiadomo było, że przyjadą na wigilię, którego jednak dnia,

nie pisali. I kilkakrotnie napróżno przespacero-  
wano się z kilometr po śniegu, nieraz na silnej  
zamieci i mrozie. Coprawda, nie było to szkodliwe,  
przeciwnie nawet, dodawało wszystkim apetytu  
do wieczerzy, dla której przygotowania zawsze  
jedna z dziewczynek zostawała.

Nareszcie pewnego dnia, na dwa dni przed wi-  
gilją, ukazała się na szarem tle wolnej śnieżnej  
przestrzeni, tego dnia dość rozjaśnionej, bo niebo  
było bez chmur i gwiazdziste, jakaś czarna plama,  
szybko rosnąca. Stefan przez lornetkę, a Zosia go-  
łem okiem patrząc, utrzymywali stanowczo, że  
rozpoznają sanie Mirskiego. Istotnie, po kilkunastu  
minutach czarna plama na tyle się zbliżyła, że  
można już było wyraźnie poznać konie i zimową  
karocę, tak dobrze wszystkim znaną. Pietrek na  
przedzie, czując zbliżający się kres jazdy, trzasnął  
po dawnemu z bicza.

Nasza gromadka ukryła się za krzakami, a gdy  
sanie nadjechały, wyskoczyła z hałasem, krzycząc:

— Niech żyje!

Mirski i inżynier nie spodziewali się czegoś  
podobnego, bo w półotwartych okienkach drzwic-  
czek sani z obydwu stron ukazały się lufy sztu-  
cerów.

— To my, tatusiu! — głos Zosi zmienił groźną  
sytuację. Otworzyły się drzwiczki i wyskoczyli  
z nich jacyś. Nastąpiły powitania, okrzyki żdzi-  
wienia i śmiechy, zwłaszcza z Pietrka, który też  
był zaopatrzony w broń, ale jej nie zdążył wydo-  
być, tak się przeraził napadu „bandytów“.



— Gdzieby tu bandyci byli! — mówił Tadeusz. — Niema chyba nigdzie na świecie bezpieczniejszej krainy!

Naturalnie, resztę drogi Mirski z Marczyńskim odbyli piechotą, otoczeni młodzieżą, rozradowaną z przyjazdu tak długo oczekiwanych i tak drogich gości.

Przy kolacji rozpoczęła rozmowa przeciągnęła się długo w noc. Młodzież rada była dowiedzieć się, co słycać na świecie i jak stoi sprawa motorówki. Mirski i Marczyński znowu, co robiono przez czas ubiegły, jakie zaszły zmiany, jak się wszyscy czują na tem odludziu. Postanowiono też zaraz dowiedzieć się o łowieckich zdolnościach naszej gromadki i udać się nazajutrz na wielkie łowy, tem skwapliwiej, że Mirski przed gwiazdką jeszcze ofiarował na gwiazdkę wszystkim po pięknym sztucerze, tłumacząc, że przecie na przyszłą drogę uzbrojenie się przyda choćby tylko dla celów aprowizacji. Radości nie było końca, a w marnieniach o trofeach myśliwskich niktby zapewne nie przewyższył obdarzonych.

I zgodnie z postanowieniem, następnego dnia młodzi myśliwi już pod wodzą Mirskiego, ruszyli w urman. Naturalnie sztucery poukrywano starannie. Jeden Mirski niósł swój otwarcie, bo miał nań pozwolenie. Tym razem wszystkie dziewczęta zostały w domu, zajęte pracą przedświąteczną, poszedł zaś nawet Pietrek, któremu polecono ciągnąć niewielkie sanki, zabrane na wszelki wypadek. Ruszono w stronę wschodnią, zamierzając



przeprawić się na prawy brzeg Obi, skutej potężnym lodem i okrytej grubym całunem śniegu.

Pierwszy szedł Tadeusz. Znał drogę najlepiej, kroczył też śmiało przez śniegi, prócz bowiem licznych śladów zajęcy, nic na nich znać nie było. Miejscami wiatry zwiały pokrywę śnieżną i szklila się tafła lodowa, po której trzeba było stąpać z ostrożnością, bo nikomu nie zależało na guzach.

Gdy już nasi myśliwi docierali do przeciwległego brzegu rzeki dało się słyszeć z oddali dość wyraźne jakby szczekanie psów. Gromadka nasza zatrzymała się zdziwiona. Zdawało się w pierwszej chwili, że gdzieś w pobliżu ktoś poluje. Wtem w odległości może tysiąca kroków na gładką powierzchnię lodową Obi, obnażoną w tym miejscu ze śniegów, wybiegł z nadbrzeżnych gąszczów olbrzymi rosochaty łoś. Biedne zwierzę uciekało przed stadem wilków, opędzając się rogami i kopytami. Nasi myśliwi nie wiedzieli w pierwszej chwili, co robić. Bronić zwierzęcia przed napaścią żarłocznych wilczyków?—Zadaleko z miejsca, w którym się znajdowali. Łoś zresztą biegł, co tylko miał sił, a tuż przy nim zgraja napastników, ze dwadzieścia sztuk licząca. Ale Mirski krzyknął:

— Biegnijmy co sił! Mam wrażenie, że dla łośa zbliża się ostatnia chwila. O patrzcie! poślizgnie się z pewnością na lodzie i padnie, a wtedy już po nim.

Zachęty nie trzeba było naszej gromadce dwa razy potwarzać. Na wyścigi poczęli wszyscy biec

nawskos przez rzekę, zachodząc drogę biegnącą  
zwierzynie. Spostrzeżono jednak po paru chwilach,  
że istotnie łos ślizga się i zwolnił biegu, a wilki  
otoczyły go już dokoła, wyjąc i poszczekując, nie  
spozstrzegając nawet zbliżającej się dla łosia odsie-  
czy. Nagle łos przewrócił się. Powstał jednak na-  
tychmiast na przednie łapy, ale było już zapóźno.  
Wilki rzuciły się nań, rwąc żywcem ciało ofiary.  
Równocześnie na znak Mirskiego zaczęła się ka-  
nonada ogólna, która, coprawda spłoszyła napa-  
stników, a nawet kilku z nich położyła trupem,  
jednakże nie ominęła i zwierza, straszliwie poszar-  
panego przez wilki. Gdy nasza gromadka dopadła  
miejsca walki, na zaczerwienionym od krwi ło-  
dzie łos prężył się konwulsyjnie w agonji, obok  
trzy wielkie szare wilczyska z wywieszonymi ję-  
zykami i pyskami we krwi zaciekle drapały pa-  
zurami lód w ostatnich podrygach, dalej dwa inne.  
Zbliżano się do tych drapieżców powoli, trzyma-  
jąc na wszelki wypadek palce na cynglach sztu-  
cerów. Po chwili zwierzęta skończyły. Co z nimi  
dalej robić?

— Łosia trzeba będzie wpakować na sanki —  
zarządził Mirski.

Z trudem połączonemi siłami obecnych zwierzę  
ułożono na saniach. Pietrek próbował je ruszyć  
z miejsca, ale bez skutku. Do sań wprzęgli się  
przeto jeszcze Józek i Kazik.

— A te wilki tak zostawimy?—zapytał Staszek.

— Cóż znowu! — odrzekł Mirski. — Szkoda ich  
futer!



— Naturalnie! Weźmiemy się natychmiast do roboty — rzekł Tadeusz, nachylając się nad najbliższym. — Trzeba je tu zaraz obciągnąć ze skóry!

Chłopcy rzucili się pomagać, a Tadeusz z Mirskim, sporym nożem myśliwskim, przeciąwszy skórę od szyi przez brzuch do ogona, oraz na łapach, dość zręcznie, odciągali z cielska piękne wilczury.

— A trupy te tutaj tak zostaną? — zapytał Józek.

— Nie martw się! — uspokajał Stefan. — Do jutra już ich tu nie będzie! Zatrąszą się o nie jastrzębie, lisy i inne drapieżce!

Ściągniętymi skórami z wilków przykryto łosia i zawrócono ze zdobyczą do domu.

Na drugi dzień przypadała wigilja Bożego Narodzenia. Staś, Józek i Kazik poszli do lasu po świerk, upatrzone na choinkę. Dziewczynki przygotowywały jedzenie na wieczrę. W obydwu izbach od palących się przez cały dzień piecyków, było aż gorąco, choć na dworze mróz trząsał. Przyniesiono z lasu świerk osadzony w pieńku i ustawiono na środku „salonu“, a nad wieczorem ubrano w narymskie i tomskie przysmaki i fatałaszki.

Gdy zbliżyła się wyznaczona na początek wigilji godzina, zapalono świece na choince i wszyscy zasiedli do tradycyjnie zasłanego sianem stołu, zastawionego obficie różnorakiem jedzeniem, nad którego sporządzeniem od dłuższego czasu łamały sobie głowy nasze harcerki. Kiedy już wszyscy



zasiedli do stołu, a i Pietrek stanął w progu, czekając na dyspozycję, bo miał usługiwać przy jedzeniu, pierwszy powstał z miejsca Tadeusz i rzekł:

— Śmiem zwrócić się do pana Mirskiego z prośbą, ażeby jako najstarszy i najgodniejszy między nami, przytem jako nasz zacny opiekun, zechciał w tak uroczystej chwili przewodniczyć jak głowa rodziny nam, których tu wiąże ze sobą polskość i wspólna niedola...

Pan Mirski, widząc oczy wszystkich, zwrócone na siebie, powstał z miejsca i rzekł po chwili namysłu:

— Moi drodzy! bo tak was chyba mogę już nazwać. Kiedyśmy już doczekali tej chwili, budzącej w nas co rok tyle radosnych wspomnień, by nam ten moment jeszcze bardziej przypominał naszą ukochaną Polskę, od której teraz tak jesteśmy daleko, staropolskim obyczajem, podzielmy się przedewszystkiem opłatkiem, składając sobie wzajemne życzenia.

To mówiąc wyjął z ukrycia ku radosnemu zdumieniu wszystkich, owiniętą grubo w papier sporą paczkę opłatków, którą złożył na podany sobie przez Stefana talerz. Wszyscy na ten widok powstali z miejsc, a Mirski zwrócił się z opłatkiem przedewszystkiem do Tadeusza, potem do Marczyńskiego, Zosi, Stefana i wszystkich pozostałych, nie wyłączając Pietrka, dzieląc się z każdym. Wszyscy między sobą również rozpoczęli to samo. A że odwieczny ten zwyczaj w Polsce ma szczególniejszy urok, odrazu zapanował nastrój

tak serdeczny, że wszyscy poczuli się naprawdę jakby jedną rodziną. Kiedy znowu usadowiono się przy stole, zapanowała na chwilę grobowa cisza. Myśli wszystkich uniosły się tam — ku Polsce, gdzie przy stołach wigilijnych w tym samym czasie przecie dzielą się opłatkiem ich rodziny, wspominające, rzecz prosta, ich — zesłańców. Jeden Mirski myślą nie biegł nigdzie, choć miał też Polskę na myśli. Nie mając tam bliższej rodziny, a tutaj widząc swą jedynaczkę, na niej myśli skupił.

Wieczera przeciągnęła się długo, przeplatana śpiewem kolend i pieśni narodowych przy akompaniamencie gitary Tadeusza, który też opowiadał szereg epizodów ze swojego pobytu w więzieniu i na etapie. Uciechy ogólnej nie mieszał miś Zosi, skutkiem święta widać też w osobliwie dobrym nastroju będący, bo wywracał koziołki, skakał i łaścił się jak nigdy, co wreszcie przybrało takie formy, iż trzeba go było przytroczyć na łańcuszku do ściany. W jaknajmilszym nastroju przy stole, potem wokół choinki, jarzącej się dziesiątkami świeczek, spędzono czas do pierwszej godziny w nocy.

— Obyśmy przyszłą wigilję spędzili już w wolnej Polsce! — rzekł Mirski, żegnając się ze wszystkimi na dobranoc.

Nazajutrz popołudniu w mieszkaniu naszej gromadki zeszli się wszyscy Polacy, jacy byli w Kargasoku na zesłaniu. Zaprosił ich już wcześniej Tadeusz. I znowu dzielili się wszyscy opłatkiem,



śpiewano kolendy i różne pieśni, a w takiej atmosferze przy stole biesiadnym niejednemu z obecnych łyż do oczu nabiegały i zdawało mu się, że już wrócił do kraju, że minął czas zesłania i jest znowu w Polsce, wśród swoich...

## XXI

### Z WIOSNĄ

Szybko minęły pierwsze trzy miesiące nowego roku, śnieżne i mroźne. Spędzono je znanym nam już trybem. Wszystkim przyświecała jedna myśl — wrócić do Polski jak najszybciej, a wiadano, że z nastaniem wiosny mają się ich marzenia urzeczywistnić. Oczekiwano też już z końcem marca pierwszych oznak i zwiastunów wiosny — przylotu ptactwa z południa, pierwszych cieplejszych podmuchów wiatru, kiedy pod ich tchnieniem i pod coraz potężniejszym żarem promieni słońca zacznie dookoła topnieć śnieżna skorupa.

Mirski z Marczyńskim w tym czasie już zupełnie kończyli swe prace w Tomsku i czekali tylko, kiedy żegluga na rzekach, a przedewszystkiem na Obi się wznowi. Nic jednak przez długi czas nie wskazywało wyraźnie, że zbliża się wiosna, jedynie śniegi stawały się coraz pulchniejsze i powietrze było coraz łagodniejsze.

Jednostajny tryb życia zaczynał już wygnącom dokuczać. Z dnia na dzień wyglądali zmian w aurze i nie mogli się ich doczekać. Listy, ja-



kie ich dochodziły co jakiś czas z Tomska, z wieściami o motorówce, krzepiły ich nieco i urozmaicały życie. Na polowanie nie chcieli już chodzić, odwiedzanie znajomych nie należało też do rzeczy, któreby mogły wypełnić długie dni i wieczory. Wieści z gazet o Polsce, o wojnie, niezbyt dobrze nastrojały. Co będzie z Polską, gdy ją Niemcy zaczną po swojemu urządzać? Czy będzie naprawdę wolną? — Zadawano sobie takie pytania wzajemnie i długo nieraz prowadzono ożywione na ten temat dyskusje.

Wreszcie doczekano się upragnionej wiosny.

Nad Ponigadką, jeszcze pokrytą lodem, ale już nie otuloną jak poprzednio w śniegi, które jakoś zmalowały i pociemniały, ujrzano po raz pierwszy przelatujące gdzieś dalej ku północy jakieś ptactwo. W parę dni później straszliwy oddalony huk, jakby strzały ciężkich armat, obudził wcześniej naszych zesańców. Zdziwieni zaczęli nasłuchiwać.

— Czyżby już i tu Niemcy podchodzili? — odezwał się żartobliwie Stefan.

— A może?! — rzekła Julcia.

— Ha! ha! ha! — zaczęli się wszyscy śmiać!

— Nie macie się czego śmiać! — zauważyła Zosia. — Czyż nie mogliby nawet w te okolice dotrzeć na aeroplanach i ciskać bomby, aby wznieść postrach?

— To możliwe! — poparł Zosię Staszek. — Ale... nieprawdopodobne. Jeszcze na Tomsk, toby się opłacało ciskać bomby...

Kanonada nieprędko ustała, choć była coraz

słabszą. Dowiedziano się wreszcie od Tadeusza, co potwierdzili i gospodarze domu, co to było. Oto huk wywoływało pękanie lodów na Obi, pierwsza oznaka że topnieją i wkrótce ruszą. Wieść ta wprawiła wszystkich w dobry humor, a gdy się dowiedziano, że z pewnością dużo ludzi z Kargasoku umyślnie uda się nad rzekę zbliżającą się do przypatrywać się rozkuwaniu Obi z więzów lodowych, zdecydowano także pójść i dzień ten był w życiu naszej gromadki pamiętny. Od niego zaczęto liczyć dni i noce, pozostałe jeszcze od chwili ich zamierzonej ucieczki, wyznaczonej na dziesiąty dzień po ostatecznym ruszeniu Obi pod Kargasokiem.

— Dlaczego to pan Mirski pisze, że dziesiątego dopiero dnia po ruszeniu Obi „pobawimy się?”

To „pobawimy się” było umówionym wyrazem w liście, który nadszedł z Tomska ostatnią pocztą.

— Czyżby wcześniej nie można?

Na to pytanie Józia Królickiego, któremu najmniej od wszystkich śpieszyło się uciekać, odpowiedział Tadeusz:

— Nie można. Powinieneś wiedzieć, że przecie do ujścia Obi stąd jeszcze bardzo daleko, około 1.500 klm., licząc tylko do t. zw. Obskiej Guby. Licząc z tą wielką zatoką Oceanu Lodowatego, będziemy mieli o 700 klm. więcej. Otóż jeżeli tutaj Ob' już puściła, w swym dalszym biegu będzie lodem skuta jeszcze kilkanaście dni. Nie możemy przecie ruszać wcześniej, aż na całej przestrzeni



rzeka będzie wolna, bo przejazd nasz przy takim urzędzeniu, jakie nam pan Marczyński wyszykował, nie potrwa długo.

Ale gdy Ob' już zaczęła pękać, dla naszych zesańców, jak zresztą dla wszystkich mieszkańców Kargasoku, nastąpił jeden z najprzykrzejszych okresów, trwających dwa, do trzech tygodni. Skutkiem raptownie powstających w tych stronach roztopów, znikają wszelkie dotąd po śniegu prowadzące drogi, że zaś po rzekach wskutek kry też nie można żeglować, takie miejscowości, jak Kargasok, położone, jak na wyspie, wśród bagiennych nizin, odcięte są przez parę tygodni zupełnie od świata. Nikt do nich przybyć w tym czasie nie może, nikt też nie zdoła się wydostać stąd gdziekolwiek dalej.

Brak komunikacji ze światem, co za tem idzie brak listów i gazet, zastąpiły w tym czasie naszej młodzieży nowe wrażenia i spostrzeżenia.

Na pozbawionej już lodów Ponigadce zaczęły się pojawiać stada dzikich gęsi, kaczek i innych jakichś ptaków, w coraz większej ilości pędzących w stronę północną i tymczasowo obsiadających brzegi tej rzeczki i zapadających chwilowo w rozległe jej szuwały nadbrzeżne.

Dla myśliwych zaczynał się tutaj teraz raj prawdziwy.

Chłopcy nie mogli, niestety, jawnie polować. Co innego było w tajdze czy urmanie, a co innego nad rzeką, położoną wzdłuż wsi, gdzie każdy mógł widzieć polujących.



Ale i tu znalazło się wyjście.

Tadeusz, gdy już śniegi silniej stopniały, zaprowadził raz chłopców do miejscowości, gdzie można było swobodniej polować. Potrzeba było tylko „gimnastyki“. Oto wzdłuż drogi do Kargasoku-Przystani, po jednej stronie ciągnęła się tajga, przechodząca zaraz w urman, po drugiej występowały rzadkie zarośla, ciągnące się równoległe do drogi w stronę Ponigadki, płynącej w odległości paruset metrów. Zarośla te o tyle były niedostępne, że, pokrywając nizinę, znajdowały się całkowicie na bagnie, które jednak zarastało tysiące kęp rozmaitych mchów. Otóż, skacząc zgrabnie z kępy na kępę, podpierając się specjalnymi, długimi jak tyczki laskami, przytrzymując się gdzieś tam krzaków, można było w ten „zaroślak“ zapuścić się, ryzykując najwyżej kąpielą po uszy w bagnisku. Trud ten opłacał się jednak sownie. Oto w głębi zaroślaka, już tu, gdzie przekształcał się on w nadbrzeżne sitowia i szuwary Ponigadki, setki kaczek i dzikich gęsi zakładało swe gniazda.

Chłopcy kilkakrotnie chodzili w to miejsce. Plonem ich trudnej zresztą wyprawy były setki jaj, wybranych z gniazd w ten przecież sposób, że w każdym gnieździe zostawiano więcej niż połowę, — pozatem za każdym razem upolowano po kilka sztuk ptactwa, co było jednak rzeczą trudniejszą, gdyż czujne ptaki nie dawały się nigdy bliżej podejść.

Gdy śnieg stopniał, cała okolica Kargasoku za-

mieniała się w bezbrzeżne morze. Gdzieniedzie na jego powierzchni, z pod obfitych wód wyzierały kępy jakichś krzaków lub gołe pagórki, na których nieraz ukrywał się niejeden drapieжник. To postanowiono wyzyskać. Za poradą Tadeusza postarano się o łódkę i objechano szereg wysepek i krzaków. Cały dzień trwało polowanie.

Do najbliższej tego rodzaju kępy, sterczącej nad poziomem „morza“ było z kilometr drogi. Gdy do niej dopłynięto oprócz ptactwa, które chwilowo ją obsiadło, i przy zbliżaniu się łodzi odleciało, nic więcej nie spotkano. Zbadano następnie szereg innych podobnych a dalej położonych kęp i wystających z wody wierzchołków krzaków.

Nagle Józek Królicki krzyknął, wpatrując się w małe co sterczące nad wodą gałązki:

— O! patrzcie! patrzcie! Co tam siedzi?!

Łódka była może o dwa metry od zarośli. Na jednym z krzaczków istotnie zauważyć się dała jakaś wydłużona brązowa smuga, w której zdaleka poznano rzadkiego tu już a tak cenionego drapieżcę — sobola (Mustela Zibellina).

Zwierzę to, przypominające nasze łasice, tylko dużo większe, o brązowym, pięknym, połyskującym, długim futerku, powódź zagnała na krzaki. Soból starał się zostać niespostrzeżonym, przylgnął do gałęzi i za zbliżeniem się myśliwych ani drgnął.

Łódkę wstrzymano i zaczęto się naradzać, co zrobić:

— Żywcem ten soból wziąć się nie da, —

rzekł Tadeusz — pogryzłby i podrapał nas, nie więcej...

— A jednak, możebyśmy go jakoś pochwycili? — mówił Kazik, szkoda przecie strzałami dziurawić skórki...

— Jak jednak? Przecież go ręką nie weźmiemy — zauważył Stefan.

— A na pętlicę ze sznurka, nie dałby się czasem schwytać? — poradził Staś.

— Czy mamy sznurek? — zapytał Tadeusz.

— Jest! — rzekł Królicki, podając zwój, który zwykle ze sobą nosił.

Tadeusz popatrzył na podany sznur, wypróbował jego moc, wreszcie sporządziwszy coś w rodzaju lassa, z uśmiechem zwrócił się do Staszka.

— Podejmiesz się wystąpić w roli gauczosa?

— A czy on kiedy był w Argentynie? — zaśmiał się Kazik.

— Ale będę! — odciął się Staszek. — Więc i lassem władać potrafię! Dajcie!

Tadeusz podał mu sznur, ale zauważył:

— Jeżeli spudłujesz, to soból się utopi, a szkoda by go było...

— Co się ma utopić! Przytroczę go do gałęzi, że ani się ruszy.

I stanąwszy w łódce kilkakrotnie okręcił sznur nad głową i zarzucił zręcznie na gałąź, gdzie zwierzę siedziało bez ruchu. Sznurek oplótł gałązkę i przytroczył zwierzątko, które zaczęło się szarpać i piszczeć.

— A co?! — wykrzyknął pierwszy radośnie Józek.



— Tak! Ale co dalej będzie? — zauważył Tadeusz. — Przecie i teraz nie można się jeszcze zbliżyć. Kto wie, czy się ten zwierzak nie wyrwie i nie skoczy nam do oczu, gdy się zbliżymy?

Ale mimo to z wolna zaczęto się przysuwać na łódce. Soból szarpał się i gryzł sznur, ale nim zdołał się wyswobodzić, jeszcze raz go opleciono na gałęzi sznurami tak, że zupełnie już ruszać się nie mógł, tylko szczyrzył zęby i błyskał ślepiami, drapiąc pazurami gałęzie. Łódka zbliżyła się zupełnie i nasi myśliwi zarzucili zwierzęciu na łeb i kark płachtę, owinęli nią zupełnie i raz jeszcze związali jak bagaż, poczem ułożyli na dnie łodzi.

— No to nam się opłaciło jechać! — rzekł Stefan.

— Pewnie — odpowiedział Tadeusz, — skórka z tego drapieznika warta ze 40 rb.

— Żeby tak jednak więcej było tych skórek — westchnął Kazik.

— No to jedźmy dalej, może się znów coś trafi.

Łódź, ominąwszy zarośla, popłynęła dalej. Znowu przejrzano szereg kęp i krzaków, ale na próżno. Już teraz nietylko Józek, ale wszyscy wytężali wzrok, by ujrzeć nową zwierzynę. Ale na daremnie. Po wielogodzinnem błędzeniu po zatopionej puszczy, wobec dającego się już odczuwać głodu, zawrócono do domu.

Powrót trwał około trzech godzin.

Sobola postanowiono umieścić w klatce. Stefan pobiegł na wieś do znajomych sąsiadów po żelazną klatkę, poczem z wielką ostrożnością

i trudem rozpełtano sobola i umieszczono w klatce. Z głodu i przyduszenia zwierzę to stało się bardzo potulne, ale wkrótce 'przyszło do siebie, gdy je otrzeźwiono wodą i dano mu żywego kurczaka na pokarm. Początkowo nie tknął ptaka, po pewnym jednak czasie, gdy spostrzegł, że się nań uwagi nie zwraca, rzucił się łapczywie na kurczątko i zaczął wysysać z niego krew z całą właściwą sobie żarłocznością.

Polowania takiego powtórzyć już nie było można. Po kilku dniach wody opadły. Zalane dotąd niziny szybko obeschły i wkrótce pokryły się zielenią. Użyźniona zalewem i osadem wód cała przestrzeń olbrzymich łąk w oczach zaczęła porastać świeżą roślinnością. Godzinami z okien swego mieszkania przypatrywała się nowemu widokowi cała nasza gromadka, ciesząc się, że już:

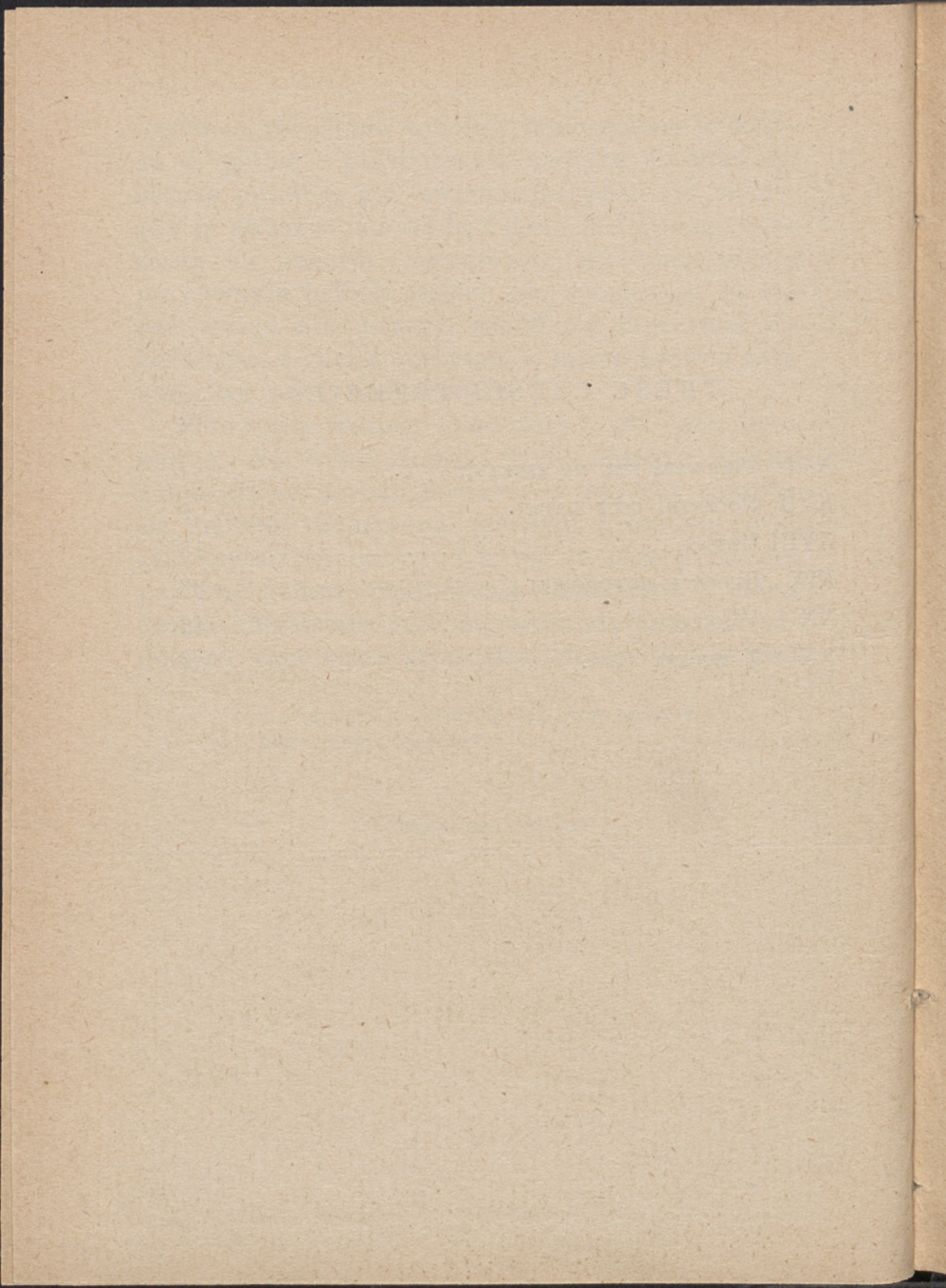
*„... przyszła nareszcie tak nam radosna  
Oczekiwana wiosna!”*

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ

## TREŚĆ CZĘŚCI TRZECIEJ

	Str.
XVI PIERWSZA NOC NA ZESŁANIU . . . . .	1
XVII POCZĄTKI GOSPODARKI. . . . .	9
XVIII URMAN . . . . .	18
XIX BUDOWA MOTORÓWKI . . . . .	33
XX WIGILJA . . . . .	43
XXI Z WIOSNĄ . . . . .	54





## UCIECZKA

W myśl instrukcyj, otrzymanych jeszcze za ostatniej bytności Mirskiego i Marczyńskiego, — młodzież z chwilą nastania już naprawdę wiosny, zaczęła na dobre przygotowywać się do mającej wkrótce nastąpić ucieczki. Zwolna zaczęto pakować drobiazgi, które trzeba było zabrać ze sobą w drogę, większość rzeczy mając zamiar zostawić w ostatniej chwili najbardziej zasługującym na to rodakom w Kargasoku. Długą naradę trzeba było nad tem przeprowadzić, czy miś Zosi ma również „uciekać“, czy nie. Głosy się podzieliły i właściwie nie powzięto żadnej decyzji, powziął ją natomiast sam miś, któregoś dnia, wymknąwszy się z pod opieki i udawszy się do lasu, gdzie przepadł bez wieści, mimo gorliwego szukania go przez długi czas. Tadeusz pocieszał Zosię, że w drodze złapie się jeszcze niejednego niedźwiedzia, a z pewnością nawet — białego, ale to nic pomóc nie mogło i Zosia bardzo się była zmartwiła stratą swego ulubieńca. Kiedy minęło dziesięć dni od ruszenia



łodów na Obi pod Kargasokiem, — i to zmartwienie poszło w niepamięć, natomiast myśl wszystkich skierowała się ku temu, czy w umówionym miejscu rzeki Obi zjawi się nareszcie oczekiwana przez nich wszystkich zbawcza łódź motorowa.

Codzień też któryś z chłopców, wyznaczony przez Tadeusza, szedł już o świcie na wybrzeże Obi w odludne miejsce, gdzie motorówka miała zatrzymać się przy przeciwnym brzegu.

Było to 25 maja starego stylu — według nowego więc w dzień św. Stanisława.

Tego dnia wybrali się na ów dyżur Kazik z Józkiem. Ledwie zaczęli chorągiewką dawać umówiony sygnał, z oddali dał się słyszeć dość głośny świstek.

Początkowo chłopcy myśleli, że może zbliża się jakiś parowiec, bo już od kilku dni codzień prawie przyjeżdżały, zwożąc nowych zesańców lub kupców, zapuszczających się w głąb tajgi i urmanu po orzeszki limby i futerka zwierząt, nagromadzone w ciągu zimy przez mieszkańców tutejszych odludzi. Tymczasem z przeciwnego brzegu rzeki zaczął zbliżać się wprost ku pagórkowi, na którym stali chłopcy, jakiś ledwie widoczny stateczek, mało co z wody wystający, bez żadnego komina, natomiast posiadający po bokach jakieś jakby belki metalowe, ułożone obok siebie wzdłuż ścian statku. Z niewielkiego podniesienia na przodzie, jak płaska kajutka sterczącego nad pokładem, spostrzeżono za chwilę znaki, dawane chorągiewką.



Kazik, który zdaleka obserwował tę łódź przez lornetkę, krzyknął radośnie:

— To nasza motorówka!

Za chwilę Józek i Kazik biegli już z pagórka, ostrożnie zsuwając się po stromem urwisku nad sam brzeg Obi. Za pięć minut stali też już na pokładzie osobliwego stateczku, witając się z Mirskim i Marczyńskim.

— Gotowi wszyscy? — pytał Mirski.

— Ależ naturalnie! — odpowiedzieli chłopcy. — Od tygodnia codziennie tu biegamy!

— Więc nie trzeba czasu tracić. Jedziemy jak najprędzej. Dajcie znać reszcie o naszym przyjeździe.

— Już mnie niema! — zawołał Józek biegnąc ku wąskiej aluminiowej kładce, przystawionej z motorówki do brzegu.

— Czekamy was po drugiej stronie. Jak tylko się tu zjawicie, podjedziemy i w drogę. Kto wie, czy nas już nie gonią...

Józek pośpiesznie piął się na brzeg i za chwilę zniknął w zaroślach lasu. Motorówka zaś odbiła od brzegu i ruszyła tak szybko odrazu, że zdumiony Kazik nie mógł przyjść do słowa, patrząc, jak jest niesiony na środek olbrzymiej Obi i opryskiwany falą, przecinaną wpoprzek stalowym szpi-cem łodzi.

— Chodź tu za mną! — rzekł po chwili Mirski, początkowo umyślnie nie przerywając zdumienia chłopca.

I poprowadził go z budki, w której stali dotąd, w głąb pokładu, a raczej kajuty.

Za chwilę łódź dobiła do przeciwnego brzegu rzeki i zatrzymała się opodal stromego wybrzeża, ukrywszy się niemal całkowicie wśród gąszczów zarośli, usianych mnóstwem wonnego kwiecica.

Gdy Józek wpadł do domu zdyszany, nikt go o nic nie pytał. Wszyscy zrozumieli, że stanowcza chwila nadeszła.

Momentalnie spakowano resztę rzeczy. Tadeusz zostawił kilka listów do znajomych, gospodarzom zaś domu, w którym mieszkało, powiedział, że wybierają się na dwa albo trzy dni do urmanu na polowanie, i prosił, żeby pilnowano mieszkania, a gdyby strażnik zachodził i pytał się o nich, żeby go jakoś umiejętnie zbyto.

Zachowując pozornie jak największy spokój, zaopatrzeni w plecaki jedynie, bo część rzeczy ukryto jeszcze parę dni temu w umyślnie wykonanym dole niedaleko brzegu rzeki, w pobliżu pagórka sygnałowego, ruszono naprzód, żegnając spojrzeniem ostatni raz te strony... Z nadmiaru wzruszenia nie mówiono nic do siebie.

Tadeusz szedł ostatni, niosąc gitarę, co zdziwiło trochę gospodarzy domu, bo nigdy jeszcze tak nie było. Wy tłumaczył im jednak, że idą właściwie na „majówkę“, muzyka więc może się przydać...

W pół godziny po opuszczeniu swej siedziby w Kargasoku nasza gromadka stała już na wybrzeżu i z radością spoglądała, jak od przeciwnego brzegu sunął ku niej maleńki stateczek, od którego sprawności los ich cały zawisł w tej chwili.

— Witamy was, witamy na „Białym Orle“, —



mówił Mirski, ściskając się kolejno ze wszystkimi, gdy wchodzili nieśmiało w głąb kajuty.

— Oto macie — ciągnął dalej — twór naszego kochanego inżyniera.

Pan Marczyński właśnie wszedł do kajuty z jakiejś przylegającej do niej skrytki i zaczął się witać ze wszystkimi. Wkońcu zapytał.

— Gotowe?

— Za chwilę! — odrzekł Mirski, pytając się Tadeusza o coś. Gdy ten po chwili, rozejrzawszy się w przyniesionych rzeczach, przekonał się, że nic już na brzegu nie zostało, Mirski zwrócił się do wszystkich, mówiąc:

— A więc w Imię Boże ruszamy w drogę do Ojczyzny! Obyśmy szczęśliwie i jak najszybciej dojechali do Niej i zastali Ją niepodległą!

Zapanowała uroczysta cisza. Powstali wszyscy z jakimś dziwnem uczuciem, nie dającym się określić, — radości, połączonej z obawą. Wszystkim uprzytomniło się teraz dopiero, że robią krok, którym na szalę rzucają wszystko.

— Niech żyje Polska niepodległa! — zawołał po chwili Marczyński.

Okrzyk ten podchwycili wszyscy. Inżynier zajrzał znów do owej skrytki, jak się okazało — kajuty maszynowej, i puścił w ruch motor swego wynalazku.

„Orzeł Biały“ drgnął i ruszył, skręcając wprost na środek rzeki. Długo trwało milczenie. Wszyscy byli przejęci. Statek pruć nurty rzeki, a za uciekającymi grzywami piany biegły spojrzenia więźniów.



Kargasok-Przystań — znikł już na skrawie Obi. Pędzono z szybkością wojennych statków morskich.

Mirski zaczął młodzież wtajemniczać w arkana budowy stateczku.

— Ta kajuta — mówił — to nasza kuchnia, jadalnia, bawialnia i sypialnia zarazem. Jak już wiecie, tutaj — tu wskazał na drzwiczki szklane, przez które było widać Marczyńskiego siedzącego przed skomplikowaną jakąś maszyną, a trzymającego w rękach kółko sternicze i patrzącego w spore płaskie okienko na przodzie statku umieszczone na podwyższeniu — jest to dział maszynowy, salon i gabinet inżyniera. A tu oto nasza spiżarnia — rzekł, otwierając drzwiczki na podłodze, prowadzące do płytkiej jakby piwniczki. Z tyłu zaś mamy jeszcze jedną maleńką ubikację: umywalnię. Z pokładu nie zawsze możemy korzystać.

— A dlaczego tatusiu? — zapytała Zosia.

— Bo przy szybkim biegu, wobec stosunkowo głębokiego zanurzenia statku, pokład ten jest silnie opryskiwany, zresztą jest niewielki i służy raczej do wchodzenia tylko, bo np. w czasie jazdy powietrznej nie można by się na nim utrzymać, mimo poręczy...

— Więc nasz stateczek może się również wzbiąć w powietrze? — ze zdumieniem spytała Zosia.

— Przecież wam wszystkim mówiliśmy, że nasza motorówka będzie rodzajem hydroplanu zarazem.

— Nie rozumiem jednak — wtrącił się Tadeusz,

dotąd w milczeniu przyglądający się uważnie wszystkiemu — jakim sposobem ta łódź, tak silnie zagłębiająca się w wodę, że raczej przypomina statki podwodne, może się jednak i unosić w powietrze... Zdaje mi się, że na to potrzeba nietylko nadzwyczajnej mocy motoru i śmig, lecz jeszcze i drugiego równie ważnego — urządzenia skrzydeł, których nie widzę jednak.

Mirski uśmiechnął się i, skinąwszy na Tęczyńskiego, wszedł na schodki, wiodące na platformę. Przez tubę zarazem powiedział coś inżynierowi.

„Orzeł Biały“ zwolnił biegu. Mirski, Tęczyński, Zosia i Jadzia, wysunęli się na pokładzik, opasany niską lekką barjerką siatkową. Pozostali z braku miejsca zaglądali na pokład ze schodków.

— Widzicie te dwie belki stalowe po obydwu bokach motorówki? — mówił Mirski — są to właśnie ramy płatów. W razie potrzeby nastawia się je pod odpowiednim kątem do kadłuba statku. Rozstawiając się za pomocą specjalnych misternie skonstruowanych wiązań poprzecznych łączą się one sztywnie ze sobą po każdej stronie, nieco wypukło, następnie zapomocą stosownego już urządzenia pokrywa się je osobliwą, mocną, nieprzemakalną materją jedwabną, która również na bokach statku jest umieszczona w postaci tej oto zwiniętej rolki. W pięć minut można w ten sposób dodać statkowi skrzydła. Co się tyczy śruby, trzeba wam wiedzieć — w naszej motorówce śruba jest na przodzie, nie ztyłu, w razie potrzeby więc zamienia się ją tylko śmigą nieco większą a lżejszą, je-

dną z dwu, które oto umocowane są też na bokach stateczku od przodu w tych oto szparach—tu pokazał z jednej strony podłużny otwór, szczelnie zewnątrz zamykany specjalnemi zasuwami.

— A ster? — zapytał Stefan.

— Ster zostanie ten sam, co w wodzie, tylko przybywają mu przez odśrubowanie bocznych kłapek, płaszczyzny poziome, umożliwiające statkowi wznoszenie się ku górze i opadanie.

— Mimo to wszystko, nie rozumiem — ciągnął dalej Tadeusz — jak może unosić się tak ciężka maszyna w górę. Chyba najwyżej ślizga się po wodzie?

— Bynajmniej — odparł Mirski. — Początkowo tak, po kilku minutach jednak unosi się już zwolna w powietrze i może wzbic się dowolnie wysoko.

— Więc chyba jest jakiś balast: usunięcie go umożliwia wzniesienie, ale w takim razie tylko jeden raz...

— Owszem — odpowiedział Mirski — balast wyrzuca się naturalnie, ale jest nim woda. Po powrocie z jazdy powietrznej oczywiście napuszczenie nowej wody do zbiornika, to już rzecz łatwa.

— Czemuż więc, tatusiu, jeżeli to możliwe, nie lecimy powietrzem? Przecież byłoby to prędzej chyba i wygodniej — mówiła Zosia.

— Niestety, moje dziecko, lot w powietrzu wymaga dużo większej energii i naraża bądź co bądź na dużo większe niebezpieczeństwo. Nie



chcemy psuć motoru, więc zrywać się w powietrzu będziemy tylko w ostateczności, gdy nam jakie przeszkody staną na drodze, albo niebezpieczeństwo będzie nam zagrażało...

— Jabyam chciała jednak lecieć w powietrzu i to jak najprędzej — rzekła Zosia.

— Alboż nie jest przyjemnie tak sunąć po tej toni bezmiernej? Patrz! Jakie ładne widoki mamy dokoła!

Po chwili wrócono do kajuty z pokładziku. Wyszedł nań jedynie na chwilę inżynier rozpatrzyć się w okolicy, wkrótce bowiem miano mijać wsie: Andżaginy i Tymskoje, gdzie można napotkać łodzie i statki parowe, których trzeba było unikać. Chociaż nasi podróżnicy zaopatrzeni byli w najlepsze mapy tych stron, nie były one jednak na tyle dokładne, by można było według nich należyście się orjentować. Cały teren, przez który przejeżdżano, co rok, zresztą od wylewów Obi, zmieniał się bardzo. I teraz rzeka w wielu miejscach rozlewała się poza swe zwykłe łożysko, w niektórych zaś miejscach na tyle się rozszerzała, że brzegów jej niemal nie było widać. Marczyński starał się naturalnie trzymać zawsze głównego koryta rzeki, jako miejsca najgłębszego, często bardzo było jednak niewiadomo, gdzie jest koryto, bo Ob' rozdwajała się na dwa lub więcej zupełnie prawie jednakowej wielkości nurty. Kierując się więc częściowo według map, częściowo według własnych obserwacyj wybrzeży, inżynier spostrzegł dotąd zawsze w porę nadbrzeżne

osady i mijał je, prowadząc statek bądź bliżej przeciwnego brzegu rzeki, bądź środkiem jej i ze zwiększoną szybkością. Choćby skądkolwiek i spostrzeżono tę niezwykle szybko płynącą motorówkę, pomyślanoby, że może to jakaś rządowa łódź. Zresztą, dogonić byłoby trudno. I nie pogoni obawiali się nasi podróżni. Zachodziła tylko obawa, czy władze w Tomsku i Kargasoku, spostrzegłszy ucieczkę, nie zaalarmowały telegraficznie Tobolska nad Irtyszem i innych miast nad brzegami środkowej i dolnej Obi, jak Surgut, Berezów i Obdorsk, skąd flotylla statków i motorówek może zastąpić drogę naszej wyprawie. I na taki głównie wypadek miano zastosować wzbicie się w powietrze celem przelecenia nad nieprzyjacielem.

Tymczasem mijano wieś Tymskoje, ostatnią, najbardziej na północy położoną w kraju Narymskim, z ludnością rosyjską i zesłańcami politycznymi.

Na niewielkiem wzniesieniu nad rzeką, po prawej stronie, widać było zdala około trzydziestu domów drewnianych, beładnie rozrzuconych na wybrzeżu — z drewnianą cerkiewką; za nimi półkolem widniał las sosnowo-limbowy. U brzegów stało kilka wielkich parowców, rojno było nad samą rzeką i we wsi, bo właśnie odbywał się jarmark na futra, orzeszki limb i ryby.

## PUSZCZA ZATOPIONA

„Orzeł Biały“, zbliżający się do sioła, zwolnił nieco biegu, i prawie wszyscy nasi wyjrżeli na pokład zobaczyć to odludzie, obecnie z powodu targów tak rojne.

Na brzegu i na statkach widać było poruszenie i zaciekawienie, co to za nowy statek, ale „Orzeł Biały“, zatoczywszy przed przystanią półkole, minął wieś i ruszył szybko naprzód.

— Czy jednak za nami nie pogonią? — spytała Mirskiego Julcia.

— Wątpię. Przedewszystkiem o nas nic jeszcze wiedzieć tutaj nie mogą, bo telegraf zwykły tu nie dochodzi, a tembardziej niema tu stacji iskrowej. Mogą tylko pomyśleć, żeśmy jakąś komisją rządową, jadącą do Surgutu. A choćby i pognano za nami, przypuszczam, że z łatwością nie damy się dogonić...

Cztery mile za Tymskoje, Ob' w zwykłym czasie rozlewająca się trzema wielkimi korytami, usianemi mnóstwem sporych nawet wysepek, mających po półtora i więcej kilometrów szerokości, obecnie przedstawiała istne morze. Wezbrane jej wody zalały całkowicie na olbrzymich przestrzeniach nisko położone puszcze okoliczne i, jak okiem było sięgnąć, wszędzie obszar okolicznego urmanu tonął w wodzie.

„Orzeł Biały“ wpływał w tę puszcę zatopioną



i bezdrożną, jak labirynt. Nie wiadomo było, po czem się jedzie, po rzece, czy zatopionym łądzie. Marczyński po naradzie z Mirskim zwolnił biegu i skierował łódź ku najbliższym gąszczom, wyzierającym z wody po lewej stronie. Za kilka chwil podróżni nasi stanęli tuż pod stromą ścianą gęstych zarośli czeremchy, wznoszących się prostopadle nad wodą, kwitnących obecnie i roznoszących aromat daleko dokoła.

Stateczek się zatrzymał, przymocowawszy do gałęzi i zwieszających się ljanowatych odrośli.

— Poco właściwie zatrzymujemy się tutaj? — pytał Kazik Marczyńskiego, który, zamknawszy maszynę, wyszedł z kajutki swej i przyłączył się do grona wszystkich, otaczających Mirskiego i z nim przeważnie dotąd rozmawiających.

— Cóż wy chcecie, chłopcy, żebym się zamordował, bez przerwy prowadząc naszą motorówkę? — odrzekł inżynier. — Muszę przecie też trochę odpocząć...

— Ależ, naturalnie! — wtrącił się Mirski, a zwracając się do wszystkich mówił:

— Właśnie miałem wam, chłopcy, zaproponować, abyście się w interesie ogólnym zaprzęgli do roboty i to nie byle jakiej...

— Jak najchętniej! — krzyknęli wszyscy, zaciekawieni, co będzie dalej.

— Bo niepodobna, żebyśmy obydwaj tylko, t. j. inżynier i ja, czuwali naprzemian przy maszynie i sterze... Musimy wyznaczyć sobie wszyscy teraz dyżur i kolejno pełnić odpowiednie czynności.

— Zupełnie słusznie, — potwierdził inżynier, tembardziej, że rzecz to będzie zupełnie łatwa dla każdego.

Otóż musicie pamiętać, że przecie na każdym okręcie winien być jaknajściślejszy porządek we wszystkim i jednolite kierownictwo. Jestem tu dla was wszystkich kapitanem wspólnie z inżynierem Marczyńskim, wy zaś — załogą.

— Niech żyją kapitanowie! — wykrzyknął Stefan.

— Niech nam żyją! — powtórzyli wszyscy.

— To też każdemu z was wyznaczam, ciągnął dalej Mirski — specjalne zajęcia. Dziewczęta naturalnie zajmą się gospodarczą stroną życia naszego statku. Wam jednak, chłopcy, nie takimi przecie rzeczami się zajmować! Każdy z was naprzemian będzie kolejno maszynistą „Orła Białego“ i jego sternikiem. Oczywiście pod naszym naczelnem zwierzchnictwem. Inżynier was wtajemniczy w niezbędne arkana... I pamiętajcie, na was spada odpowiedzialność w dużej mierze za udanie się naszej wyprawy.

— Może więc odrazu wyznaczymy dziś dyżury? — odezwał się Marczyński.

— Naturalnie, że dziś — odparł Mirski. Ponieważ jest was czterech...

— Pięciu, proszę pana — poprawił Tadeusz, — chyba mnie pan też zalicza do załogi?

— Do sztabu — rzekł Marczyński, uśmiechając się.

— No to pięciu, — poprawił się Mirski, — na każdego zatem przypadnie blisko dziesięć godzin



pracy na dobę. A musicie pracować jednocześnie po dwóch.

— To ja ze Stasiem — odezwał się pierwszy Królicki.

— Dobrze — potwierdził Mirski — Józio będzie w takim razie na początek sternikiem, Staś — maszynistą. A na drugą zmianę Kazik ze Stefanem, na trzecią zaś pan Tadeusz ze mną lub z inżynierem.

— Więc pierwsza para za mną — zakomenderował Marczyński i poprowadził Krauzego i Królickiego na pokładzik.

Chłopcy częściowo z posłuchu właściwego harcerzom, bardziej jednak dla humoru, ruszyli wojuskowym krokiem i stanęli na bacność przed inżynierem, gdy się zatrzymał.

— Macie tu kółko sternicze — mówił. — Nie potrzebuję wam chyba mówić szczegółowo, jak niem się operuje. Oto kręcicie niem w prawo lub lewo, stosownie do potrzeby, a statek skręca w tym samym kierunku. Za pomocą tej tuby — sternik porozumiewa się z maszynistą w kajucie. Ale z pokładu steruje się tylko w czasie możliwej pogody. Jeżeli deszcz, sternik nie musi być tu koniecznie. W kajucie maszynowej jest dla niego pomieszczenie na podwyższeniu, skąd przez te oto okienka u spodu widać dokoła horyzont i tam ta oś ze sterem posiada drugie takie samo kółko, jak zaraz zobaczymy.

I Marczyński skierował się z powrotem do kajuty, skąd zaraz wszedł do oddziału maszynowego



Była to mała kajuta, w której dwie osoby ledwie mogły się zmieścić. W głębi, na przodzie, miała kilka schodków, prowadzących na owo podwyższenie, w którym mieścił się ster dolny. Zaszedł tam Józek i spojrzał przez okienka. Położone tuż nad podłogą pokładu, pozwalały jednak zupełnie dobrze rozejrzeć się dokoła.

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegli, że część kajuty pod sterem, zrobiona jest ze szklanych płyt.

— Czyżby i ta podłoga była oknem? — zapytał Staś inżyniera.

— Naturalnie — odpowiedział Marczyński. — Ponieważ statek nasz może wznieść się w powietrze, ten sam sternik wtedy nim również steruje, choć nieco inaczej i musi naturalnie nie tylko widzieć horyzont po bokach, ale i od spodu. Te szybki są dość grube, ale zupełnie przejrzyste, tylko teraz, rzecz jasna, w wodzie nic zobaczyć nie można.

Chłopcy dalej oglądali urządzenie. Zobaczyli w ścianach jakby szafy po bokach ścian kajuty, szereg kurków i śrubek, manometry do mierzenia ciśnienia gazów i szereg innych instrumentów.

— Narazie całym zadaniem maszynisty jest regulować tylko prędkość statku — zaczął Marczyński, — według wskazówek sternika. W tym celu trzeba tę oto rączkę na tej tarczy — tu pokazał — przesuwać wolno w kierunku na prawo, aby zwiększyć szybkość, i na lewo, aby zmniejszyć. Ta podziałka wskazuje szybkość w metrach na

sekundę. Jak widzicie — waha się od 1 do 20. Przy jeździe powietrznej te same cyfry wskazują podwójną szybkość tj. od 2 do 40 metrów na sekundę. Tyle mam wam narazie do powiedzenia. Ponieważ zaś ani ja, ani pan Mirski nigdy nie będziemy się zbytnio przecie rozstawać z wami na tym statku, a zresztą sami będziemy czuwali w czasie jazdy, zawsze dostaniecie stosowne wskazówki i nowe potrzebne objaśnienia. Gdy będziemy ruszali stąd, spróbujecie swych czynności pod mojem okiem. Ob' teraz zwłaszcza, jest tak szeroka i głęboka, że jedzie się jak po morzu, bez obawy utknięcia, chyba gdzieś w zaroślach przybrzeżnych lub na kępach, porwanych powodzią i unoszonych często bardzo daleko...

Po tych objaśnieniach wrócili wszyscy do dużej kajuty. Tu jeszcze trwała ogólna ożywiona rozmowa. Opowiadano Mirskiemu swe przeżycia ostatnich tygodni w Kargasoku, nawzajem też Mirski musiał opowiedzieć, jak w Tomsku spędzano ostatnie czasy i jak udało się wyjechać z miasta.

— Nasz — mówił Mirski — „Orzeł Biały“, który, rzecz prosta, nie miał tej nazwy w Tomsku, był gotów już od jakiegoś czasu. Czekaliśmy, aż lody ruszą, by, zmyliwszy czujność, ruszyć na nim. Panu Marczyńskiemu urlop przedłużono jeszcze na trzy miesiące. Trzeba wam wiedzieć, że dano nam z ramienia władz, bardzo interesujących się naszym statkiem z racji wynalazku inżyniera, eskortę do pilnowania: dwóch żołnierzy, zmie-



niających się cztery razy na dobę. W ostatnich dniach odbywaliśmy szereg prób, jeżdżąc po Tomi. Towarzyszyli nam zwykle w tych przejazdach różni dygnitarze tomscy, pewnego dnia nawet sam gubernator z dowódcą wojsk tomskiego okręgu. Skorzystaliśmy też z okazji tych prób. Wczesnym rankiem dnia 24 maja, t. j. wczoraj jeszcze, wyjechaliśmy tylko początkowo wolno, później całą siłą motoru. Byliśmy znacznie wcześniej, już po 7 godzinach tj. koło 2-ej po południu pod Kargasokiem, ale zajechaliśmy dopiero koło 6-ej, gdyż pod Togurem i Narymem umyślnieśmy trochę biegu zwalniali. Dziś już tam w Tomsku oczywiście wszyscy wiedzą, że umknęliśmy... Wyobrażam sobie, co opowiadają!

— A czy nikomu pan nie mówił pierwej, że panowie uciekniecie? — zapytał Tadeusz.

— Owszem, mówiliśmy jedynie państwu Romanowskiemu. Żalowali bardzo, że ich wcześniej nie wtajemniczyliśmy, byliby zlikwidowali swoje sprawy i też z nami pojechali, bo pragną na stałe przenieść się do Polski. Szczególniej ich dziesięcioletniemu synkowi, Zygmuśowi, który zdradza szczególniejsze zainteresowanie do nauk przyrodniczych, podobała się myśl jazdy naszą motorówką...

— Jakto? Więc tatuś nie bał się przy takim małym chłopcu mówić o naszej wyprawie? — spytała Zosia.

— Nie bałem się, Zosiu, — odrzekł Mirski. — Ów malec jest bardzo rozsądny i tak wychowany, że poza dom nie wyniesie niczego, co się tam



mówi, szczególnie na Moskali... Zresztą państwa Romanowskich nawet prosiłem, żeby tajemnicy nie robili z naszej ucieczki, a na swoje wytłómaczenie mieli odemnie list, zostawiony niby przez nas. Jestem przekonany, że ucieczka musi nam się udać, więc wieść taka nie zaszkodzi, a podniesie ducha w tamtejszej polskiej kolonji. Niech nas Moskale gonią!

— Więc się nawet spieszyć zbytnio nie potrzebujemy? — rzekł pytając Kazik.

— To ci się nie spieszy do Polski i domu? — postrofowała go siostra.

— Spiesz, ale to tak ładnie i przyjemnie jechać...

— Ale, ale, gdzie to Pietrek się podział? — przypomniała sobie Julcia. — Czemu go pan nie zabrał?

— Moje dziecko! — odrzekł Mirski. — I tak jest tu ciasno. Ciekaw jestem, jak sobie sami damy radę z noclegiem... Więcejby nam on przeszkadzał, niż pomagał. Zostawiłem go na opiece państwa Romanowskich.

— Czy długo tu będziemy jeszcze stali? — zapytał Mirskiego Stefan, uważając go bądźco bądź za głównego kapitana.

— Chyba nie. To pierwszy nasz dłuższy odpoczynek, nie licząc wczorajszego noclegu pod Kargasokiem, kiedyśmy na was czekali. Zużytkować go chcieliśmy w celu poznania was z maszyną i sterem, pozatem zjemy tu pierwszy wspólny obiad.

— Ale on nie gotów, nie wiemy nawet, jak się tu i z czym zabrać do jego sporządzenia... — powiedziała Zosia.

— Zapasy jedzenia macie w tej oto spiżarni pod podłogą. Jest tam nawet zapasik zamrożonego mięsa, masła i mleka. A co do kuchni, — mówił Mirski, — macie ją w tym miejscu.

Tu otworzył w jednej ze ścian przy wejściu do kajutki maszynowej rodzaj szafki. Było tam niewielkie wgłębienie z trzema palnikami (fajerkami). Wisiało tam kilka naczyń kuchennych, duży czajnik do gotowania wody i t. p.

Zosia, Jadzia i Julcia na wrywki zaglądały do tej osobliwej kuchni.

— Ale gdzież się w niej pali?! — zapytała ostatnia.

— W niej wcale nie potrzeba palić. Jest ona elektryczna. Użycie jej jednak możliwe jest tylko wtedy, gdy statek nasz jest w ruchu. Energia śruby wtedy zapomocą specjalnych transmisji przenosi się do aparatu, w którym zamienia się na dość silny prąd elektryczny. Skręćacie ten oto guzik i prąd wtedy dochodzi do palników. Stawiacie na nich naczynia i za kilka minut tak się ogrzeją, jak potrzeba. To kółko z podziałką nokoło guziczka służy do regulowania siły prądu, a więc i stopnia nagrzewania palników.

— Ależ to wspaniałe urządzenie! — zawołała Zosia. — Nie będziemy się brudzić przy gotowaniu obiadu, jak to było w Kargasoku!

— To weźmy się zaraz do obiadu... — zarządziła energiczna zawsze Królicka.

— Kiedy nasz statek stoi jeszcze — przypomniała Jadzia.

Mirski zajął się jakąś rozmową z Marczyńskim na stronie. Część chłopców wyszła na pokład, część siedziała w kajucie. Po chwili Zosia Mirska zwróciła się do ojca.

— Chcemy się wziąć do sporządzenia obiadu, a tu nie można, bo niema prądu... Może tatuś zarządzi jazdę?

— Jeszcze nie! Dopiero za chwilę... Mamy coś ważniejszego do zrobienia. Chodźmy na pokład — rzekł Mirski.

Kiedy zgromadzono się z trudem na małym pomostku, a trzech chłopców nawet przeskoczyło barjerkę i stanęło na nieogrodzonej części motorówki, wystąpił inżynier, mając pod pachą jakieś owinięte w papier długie tablice i spore zawiniątko. Mirski, stanąwszy pośrodku, zwrócił się do obecnych w te słowa:

— Zanim ruszymy w dalszą drogę, musimy dokonać ważnego obrzędu. Łódź nasza ma nazwę, nigdzie jednak na niej tej nazwy nie widać. Oto w tej chwili publicznie ochrzcimy ją wybranem mianem! Inżynierze, dajcie tablice!

Marczyński rozwinął przyniesione paczki. Były to dwie jednakowe tablice barwy białej z wypisaną na nich wielkimi czerwonymi zgłoskami nazwą: „Orzeł Biały“. Mirski podał jedną z nich Stefanowi z Józkiem, a drugą Kazikowi ze Staszkiem, mówiąc:

— Zasuńcie je na bokach przodu! Są tam specjalne wgłębienia z zasuwkami.



Chłopcy natychmiast wykonali rozkaz.

— A teraz rozwińmy nasz sztandar! — rzekł znowu Mirski.

Marczyński podał mu długie zawiniątko. Była w niem piękna czerwona chorągiew z wyszytym na niej białym orłem. Mirski wszedł na pokład nieogrodzony i poszedł do tyłu, gdzie sterowała metalowa tyczka. Umocowawszy na niej chorągiew na sznurkach, nie podciągając do góry, wrócił ze sznurkiem w dłoni, stając przy kółku sterniczem i sznurek oddając Zosi.

— A teraz w drogę! do Polski! — rzekł.

Marczyński ze Stasiem już zeszedli byli do maszyn. Na dany znak Zosia pociągnęła sznurek i chorągiew zawisła na maszynie. Mirski jednocześnie dał znak przez tubę i ruszył kołem sterniczem. Tadeusz ściągnął kotwicę.

„Orzeł Biały“ drgnął silnie i ruszył.

Wszyscy wydali okrzyk: „Niech żyje Polska!“

Echo okrzyku, powstałe zapewne z odbicia o ścianę roślinną zatopionej puszczy, poniosło wdal te dźwięki, tak drogie dla każdego Polaka. A nasi podróżni z sercem przepojonem radością, w skupieniu, w zupełnej ciszy przez długi czas spoglądali przed siebie, jakby oczekując odpowiedzi.

#### XXIV

### W ZIEMI SURGUCKIEJ

Ażebv możliwie nie nadrabiać drogi po licznych i krętych odnogach rozlanej na dziesiątki kilometrów Obi, postanowiono trzymać się strony za-

chodniej, bardziej w tem miejscu wyżynnej i częściej ujawniającej większe wysepki. To też Mirski, a potem Józek Królicki, który go zastąpił przy sterze, nie skierowali „Orła Białego“ na środek koryta, a jechali o kilkanaście zaledwie metrów od żywej ściany zieleni, zwisającej ku wodzie z stromych tu dość brzegów, zalanych jednak całkowicie przez rzekę.

Odchodząc od steru, Mirski rzekł do wszystkich:

— Od chwili ruszenia jesteśmy teraz prawnie już jakby w Polsce i polskimi obywatelami, pod własną flagą płynącymi. Inna rzecz, czy państwo, po którego terenie jedziemy, za takich nas uznaje. Faktem jest, żeśmy z tą chwilą wyparli się rosyjskiego poddaństwa, co za tem idzie, popełniliśmy zdradę wobec cara. Spaliliśmy więc mosty za sobą i musimy być konsekwentni: jeżeli nas złapią, oczekujemy najsurowszych kar... Nie na to jednak rozpoczynaliśmy ucieczkę. Powiedzmy sobie, że musimy być w Polsce, a będziemy! Wobec środków, jakiemi rozporządzamy, nic nam nie powinno stanąć na przeszkodzie, od nikogo nie potrzebujemy teraz być uzależnieni... Czujecie to, chłopcy?

— A do nas to tatuś tego pytania nie kieruje? — zapytała Zosia.

— Wy? Wy też już teraz winniście się uważać za obywatelki polskie, a że Polki znane są z gościnności, oczekujemy od was dziś przede wszystkim obiadu, przy którym dokończymy politycznej gawędy...

Mówiąc to, Mirski zszedł do kajuty.

Na pokładzie pozostał tylko Józek przy sterze. Stał prawie nieruchomo, patrząc przed siebie w bezbrzeżną dal wód i lasów. Motorówka, zgodnie z instrukcją inżyniera, daną Staszкови, szła z szybkością zaledwie 10 m na sekundę, t. j. 36 km. na godzinę. Marczyński bał się pozwolić na szybszą jazdę tak niedoświadczonemu jeszcze sternikowi i maszyniście. Józek nawet przy tym biegu ledwie mógł się orjentować. Zdawało mu się co chwila, że zjeżdża z koryta, bo gąszcze miejscami się rwały i widać było wielkie przestrzenie wodne z nową ścianą roślinności za niemi.

Tymczasem w kajucie trzy gosposie wzięły się do sporządzenia obiadu. Gotowanie na piecyku elektrycznym bardzo je bawiło. Stwierdziły, że jest to niezmiernie wygodne i czyste, co najważniejsza — szybkie. Nie upłynęło pół godziny, gdy już zaczęły nakrywać do stołu.

Mirski z Marczyńskim i Tadeuszem naradzali się co do drogi, siedząc nad sporemi, choć niezbyt dokładnymi mapami tych stron. Naradom ich przysłuchiwał się z uwagą Stefan i Kazik.

Była już druga po południu, gdy zasiedli wszyscy do rozsuwanego stołu, stojącego pośrodku kajuty.

Motorówka szła równiutko, bez żadnych wstrząśnień, zaledwie drgając lekko od ruchu śruby.

Przy obiedzie, podczas którego brakowało tylko Stasia i Józia, gdyż nie wstrzymywano biegu



motorówki, prowadzono ożywioną rozmowę. Gosposie wywiązały się świetnie ze swego zadania. Z apetytem, spotęgowanym szeregiem niedawnych silnych wrażeń, spożywano podane potrawy.

— Wcale mi się nie zdaje — mówiła Zosia, — że jesteśmy na bezludziu i na takim małym staceczku... Mam raczej wrażenie, że jadę motorówką gdzieś na wybrzeżu morskiem, jak to kiedyś, pamięta tatuś? na wybrzeżach włoskich, po Adrjatyku.

— Oj, że bezludzie, to bezludzie tutaj istotnie, — odrzekł Mirski. — Wiedźcie o tem, że wjeżdżamy, a raczej już od Tymskoje jedziemy po kraju Surguckim. Czy macie pojęcie, że kraj ten, należący już do gub. Tobolskiej, ma nie więcej, tylko zgórą 240 tys. km. kwadratowych, t. j. taką prawie przestrzeń, jak cała Polska etnograficzna, a na tym wielkim obszarze mieszka zaledwie jakieś 8 tys. mieszkańców i w tem  $\frac{3}{4}$  Ostjaków.

— To znaczy, że przypada tu jeden mieszkaniec na 30 km kw.! — obliczył Stefan, — czyli gęstość zaludnienia tych stron jest jakieś 2 tysiące razy mniejsza niż Polski...

— Tak — ciągnął dalej Mirski. — Ale wiecie, co mi przypomina teraz ta ziemia?

— Skąd możemy wiedzieć? Pan tyle świata zwiedził! — odrzekł Kazik.

— Przypomina mi dorzecze Amazonki w Ameryce Południowej! Tam też rzeka tak wylewa i zatapia całą okolicę na setki kilometrów wszierz.

Indianie nazywają stan okolicy w czasie takich zalewów mianem „gapo“.

— Słyszysz, Stefek, „gapo“? — zwrócił się Kazik.

— Słyszę, gapo! — odrzekł Stefan.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Jedziemy więc po „gapie“, czy na „gapie“? pytał inżynier.

— A może na „gapę“?

— Tak, na „gapę“, — rzekł Mirski, — bo nic nie płacicie, ale ja z was za podróż ściągnę, jak przyjedziemy do siebie...

— Do Zosinka, prawda, tatusiu? — pytała Zosia.

— Ależ naturalnie! — odpowiedział Mirski. — Musicie wszyscy, jak tu jesteście, przedewszystkiem zawitać do naszego mająteczku i w nim odpocząć po podróży, jeżeli ją szczęśliwie ukończymy...

— Ja pierwszy się za tem jak najchętniej oświadczam — odezwał się inżynier Marczyński.

— A pan Tadeusz? — zapytała Zosia.

— Ja jeszcze chętniej... — odpowiedział.

Rozmawiano jeszcze jakiś czas o tem i o owem, aż przypomniano sobie, że przecie Staszek i Józiek głodni, bo obiadu nie jedli. Coprawda, Julcia im tam doręczyła przed obiadem coś niecoś do przekąszenia, ale to się nie liczyło... to też zameldowawszy chęć swą Mirskiemu i inżynierowi, Stefan i Kazik pobiegli zastąpić, Stefan — Józka przy sterze, Kazik — Staszka przy motorze.

Mirski i Marczyński, tłumacząc się nieprzespaną ostatnią nocą, urządzili sobie małą poobiednią drzemkę na wysuniętych ze ścian bocznych spe-

cialnych ramach, zaopatrzonych w płótna, na które położono tylko lekkie małe poduszki.

„Orzeł Biały“ sunął równomiernie wciąż naprzód, kierowany teraz ręką Stefana i Kazika. Mijano wciąż rwące się co kawałek bujne ściany zarośli przybrzeżnych, niekiedy całe wyspy pływające z porwanych przez wodę drzew i krzaków. Poprzez otwarte z kajuty okienko na pokład, obydwaj chłopcy prowadzili z sobą rozmowę, dumni, że teraz w ich rękach spoczywa kierownictwo statku, jakiego cały świat nie posiada. Słońce tymczasem coraz bardziej chyliło się ku zachodowi. Nim zaszło za widnokrąg, zasłonięty smugą lasów w oddali, na pokład wyjrzał Mirski z inżynierem.

— No i cóż? — zapytał pierwszy Stefana. — Mijaliśmy jakie wioski po drodze?

— Nie spostrzegłem, — odpowiedział zapytany. — Jedyne ujścia kilku jakichś większych rzeczek.

— To dziwne, — rzekł Marczyński, zwracając się do Mirskiego. — Tu, zdaje się, powinniśmy mijać stosunkowo dużo i to obok siebie położonych wiosek, przecież jesteśmy już daleko za Tymią.

— Rozumie się, ale zapominacie inżynierze, że nasi sternicy mieli poleczone trzymać się wciąż lewych brzegów, jedziemy więc obecnie nie głównem korytem, ale lewą „pratoką“ — odpowiedział Mirski, zaglądając do trzymanej w rękę mapy.



— Czy i nocą będziemy jechali? — zapytał Stefek.

— O ile nie będzie bardzo ciemno, to tak. Chmur niema i księżyc już widać na niebie prawie w pełni. Przypuszczam, że za jakieś dwie lub trzy godziny powinniśmy być u ujść Wacha.

— Zapewne — powiedział inżynier, rozglądając się na mapie. — Jedziemy, coprawda, powoli, ale powinno się zajechać. Zrobimy tym sposobem dzisiaj jakieś 300 km. conajmniej i miniemy to „gapo“, bo dalej będzie już t. zw. ład Agański.

— Cóż to takiego ten ład? — zapytał Stefan.

— Nic osobliwego. Obszerne wyniesienie, zarosłe urmanem, o powierzchni jakichś 10 tysięcy km. kw., otoczone od północy błotnistą tundrą.

— Za parę godzin was zmienimy — rzekł Mirski, odchodząc do kajuty z inżynierem.

Stefan znów sam pozostał na pokładziku, pilnie wpatrując się przed siebie w coraz bardziej szarzejącą przestrzeń, bo już słońce zaszło, a księżyc jeszcze niezbyt oświetlał horyzont. Woda gdzieś niedługo zaczynała się już szklić od blasków miesiąca. Szare, zamulone, silne jej nurty przybierały coraz bardziej mdły jakiś kolor, a ciemna ściana lasów na wybrzeżach stopniowo zmieniała się w jednostajną czerń.

W kajutach zabłysło światło. To inżynier po zejściu z pokładu odkręcił połączenie z motorem i prąd elektryczny rozżarzał w paru miejscach zawieszony żarówkami. Przy stole zaczęła się znów rozmowa, a gosposie zaczęły krzątać się koło wieczerzy.

Wtem drzwi od kajuty maszynowej otwarły się i wyrzał z nich Kazik, wołając:

— Proszę panów, jakieś światła widać na rzece z oddali.

Wieżę tę podał mu przez tubę Stefan, który, wpatrując się przed siebie, spostrzegł naraz kilka dość silnych światełek, zwolna zbliżających się ku motorówce, ale jeszcze odległych conajmniej na dwa kilometry.

Usłyszawszy tę wiadomość, Mirski szybko powstał od stołu i, śpiesząc na pokład, rzekł do Staszka, stojącego w pobliżu okna:

— Zasuńcie żaluzjami jak najszczelniej wszystkie okienka kajut, żeby nas nikt zzewnątrz nie widział!

Staś, Józek, dziewcząta rzucili się do spełnienia rozkazu, inżynier zaś poszedł z Mirskim na pokład. Za nimi po chwili zaczęli wysuwać się i pozostali w kajucie.

— Pewnie jakiś parowiec zdąży z Surgutu do Narymu — rzekł inżynier.

— Z pewnością — potwierdził Mirski. — Jeszcze daleko, ciekaw jestem jednak czy nas zauważono. Chyba nie... bo świateł od przodu nie widać. Zresztą, cóż to nam szkodzi! Miniemy się z nim za dwie minuty.

Do uszu obecnych na pokładzie dolatywał już turkot maszyn zbliżającego się statku. Oświetlony elektrycznością, sunął naprzeciw szybko, trzymając się tego samego brzegu, co „Orzeł Biały“, choć nieco dalej od zarośli. Motorówka naszych pod-

różnych w porównaniu do tego kolosa rzecznego była sobie skromną łódeczką.

— Zwolnij bieg do 5 metrów! — polecił Mirski przez tubę Kazikowi i zbliżył się do Stefana, chcąc mu odebrać ster, ale Marczyński uprzedził, mówiąc:

— Pozwólcie, panie Stefanie, sam teraz kawalek pokieruję koło tego statku — i ujął za ster.

Istotnie, trzeba było wprawniejszej ręki w tej chwili. Statek płynął całą parą i nie widział zapewne dotąd naszej motorówki, bo jechała zresztą w cieniu, mógł przecie skierować się tak, że natknąłby się na nią. To też inżynier, chcąc z ciekawości przypatrzeć się nieznanemu statkowi, skierował „Orła Białego“ bardziej na środek, prowadząc niemal wprost na nadjeżdżającego przybysza. Odezwwał się z niego krótki ryk syreny. Śruba zacichła nagle. Spozrzeżono widać naszą łódź. I gdy się „Orzeł Biały“ już prawie ocierał o boki „Rassii“ („Rosji“), takie bowiem miano wyczytano na przodzie parostatku — dał się słyszeć głos przez tubę z pomostu kapitańskiego, pytający po rosyjsku:

— Kto jedzie i dokąd?

Mirski w odpowiedzi chwycił również ręczną tubę, przymocowaną do barjerki pomostu, i odkrzyknął po rosyjsku:

— „Orzeł Biały“ z Tomska do Warszawy!

Zaraz też dał znak Marczyńskiemu, by odsunąć się od statku, a Kazikowi przez tubę polecenie:

— Bierz 15 metrów na sekundę!

Motorówka na ten rozkaz drgnęła silniej i za-



częła pruć fale potrojonym pędem. Z oddali doleciał jeszcze głos zdumionych widać Moskali.

— Co to! Co to znaczy?!

Głos ten pozostał jednak bez odpowiedzi. Akurat też w tej chwili chmury zakryły chwilowo księżyc zupełnie i ciemności ogarnęły rzekę tak, że „Orła Białego“, mknącego teraz już szybko, nie było można z oddali zapewne zobaczyć. Dla „Rassii“ — zjawił się i znikł jak meteor, budząc w niespodziewających się niczego Moskalach niekłamane zdziwienie, a może nawet zabobonny przestрах.

— Parowiec ten krąży między Surgutem a Tomskiem. Za pięć dni, gdy stanie w Tomsku, będzie miał tajemnicę tego spotkania wyjaśnioną...

— A my tymczasem będziemy już chyba gdzieś pod Berezowem, albo nawet dalej — zaznaczył Marczyński.

— To zależy. Może się gdzie dla polowania zatrzymamy. A teraz, wicie, inżynierze — mówił Mirski — ponieważ nam się nie spieszy, nie jedźmy dzisiaj dalej. Ze spotkania tej „Rassii“ wnoszę, że jesteśmy obecnie prawie przy ujściu Wacha, gdzie Ob' ma jedno tylko koryto znowu i dlatego w nim spotkaliśmy się z owym parowcem. Drugiego dziś już napewno nie napotkamy tutaj. Podjedźcie gdzieś bliżej brzegów i zaszyjcie „Orła“ pod zarośla. Tak najbezpieczniej. Prześpimy się i jutro za dnia ruszymy dalej.

Marczyński skręcił ku brzegom. Za chwilę podjechało pod obfite gąszcze i łódź zatrzymała się parę metrów od brzegu. Zarzucono kotwicę i po

wieczery, zamknawszy drzwi od pokładu, położyło się spać, pierwszy raz w podróży motorówką.

Nazajutrz rano „Biały Orzeł“ pomknął w dalszą drogę. Sterował sam inżynier, przy maszynie siedział Stefan ze Staszkiem. Mijano po prawej stronie wspomniany łąd Agański, a co kilkanaście kilometrów jakieś wioski, przeważnie ostjackie, zbudowane najczęściej na wyspach mieliznowych w środku koryta rzeki. W paru z nich zatrzymywano się, biorąc zapasy żywności w postaci wybornych ryb. Ostjacy nie zdawali sobie sprawy, kto jedzie. Obaw żadnych być nie mogło.

Przy obiedzie Mirski rzekł do zebranych:

— Wiecie jaki mam zamiar? Dziś wieczorem powinniśmy być już pod Surgutem. Otóż mińmy to miasteczko dziś w nocy, a jutro rano wrócimy doń jawnie. Mam tam chęć wysiąść i pohandlować trochę z miejscowymi ludźmi... Może uda się tanio kupić trochę futerek. Zresztą, warto zobaczyć to centrum handlu futrami i stolicę zatopionej puszczy.

— Czy pan nie byłby łaskaw i mnie zabrać ze sobą? — rzekł Tadeusz.

— Ależ owszem! Miałem zamiar nietylko pana jednego wziąć... Możeby mi wszyscy chłopcy towarzyszyli? Pan Marczyński również...

— Ja tam już wolę nie leżeć dobrowolnie w ręce Moskali! Przysiągłem sobie, że z tej motorówki nie zejdem, pokąd nie opuszczę tych zesańczych miejscowości.

— No, to trudno! A może lepiej, bo będzie miał kto czuwać nad „Białym Orłem“...

— A mnie to tatuś nie weźmie ze sobą? — zapytała po chwili Zosia.

— Moja Zosiu, z tobą byłby może tylko kłopot... Trochę ryzykujemy, pojawiając się w mieście. Mogą nas tam chcieć aresztować... Pewnie tam już wiedzą o naszej ucieczce. Z Tomska mogli telegrafować przez Tobolsk...

— Co ci po tem?! Zostań! — odezwała się Królicka — znajdziemy sobie tutaj robotę.

— Zostaniemy wszystkie — zachęcała Jadzia.

— No to zostanę, zdaleka przypatrzę się temu Surgutowi.

Stańto więc na tem, że nazajutrz rano „Biały Orzeł“ zawróci do miasta, zatrzymując się w przystani, naturalnie, chowając swą flagę i napisy, a Mirski z Tadeuszem i chłopcami pójdzie na miasto szukać futerek sobolich i, może, przygód.

## XXV

### U UJŚĆ IRTYSZA

Miasto Surgut podróżnicy nasi minęli jeszcze przed północą i zatrzymali się znowu pod jakimś urwistym, wyniosłym brzegiem. Byliby tu już może wcześniej, ale zwalniano kilkakroć biegu, celem uważniejszego omijania coraz liczniejszych tu ławic piaszczystych i strzelania na nich do czajek (Larus



cachinatus i *L. affinis*), które w kilku gatunkach unosiły się obficie, pokrzykując donośnie i łapiąc ryby w wodzie z nadzwyczajną zręcznością, czemu z ciekawością przyglądano się z motorówki. Rano zawrócono i zajęchano pod miasto.

Mocno się wszyscy rozczarowali widokiem stolicy surguckiej. Nędzna ta miejscina, położona na urwistym prawym brzegu Obi, rozlewającej się tu na jakieś 5 czy 6 km. szerokości, otoczona z trzech stron lasami, przypominała zupełnie wszystkie dotąd po drodze widziane. miasta Kilkanaście rozrzuconych beładnie domów drewnianych, dwie cerkiewki, dwa budynki szkolne — oto wszystko, co stanowiło słynny Surgut.

— Ależ to dziura nad dziury! — dziwił się Marczyński. — I ja miałbym tu wychodzić?!

Stefan, przeglądający jakąś książkę o Sybirze, odezwał się:

— A jednak Surgut ten liczy przeszło tysiąc mieszkańców!

— Czy to być może? — wyraziła wątpliwość Jadzia.

— Tak tu piszą — odrzekł Stefan, pokazując na książkę. — I trzeba wam wiedzieć, że niegdyś w tem miejscu była ostjackska forteca. Roku 1596 książę Fedor Bariatyński pobił tu księcia ostjackiego Pardaka i na ruinach zburzonej fortecy założył właśnie Surgut, który w r. 1782 już był miastem.

— A skądże wzięła się nazwa Surgut? — spytała Zosia.

— Nazwa pochodzi od nazwy jednej z tutejszych „pratok“.

„Biały Orzeł„ zatrzymał się nieco zboku od stojących tutaj kilkunastu sporych łodzi rybackich, niewielkiego opustoszałego parowca, oraz dużej dość motorówki, należącej prawdopodobnie do władz tutejszych.

Miasteczko było jak zamarte. Żadnego nie znać w niem było ruchu. Nikt się nie zainteresował nowym stateczkiem. Kilkoro dzieci jedynie bawiło się nad brzegiem.

Wychodząc z chłopcami na brzeg, Mirski poprosił Marczyńskiego, aby ciągle maszynę trzymał w pogotowiu. Naturalnie wszyscy zabrali ze sobą strzelby na wszelki wypadek.

Dokąd się udać? Mirski sam nie wiedział. Trzeba było u kogokolwiek zasięgnąć języka. Zobaczywszy napis na jednym z większych domów, głoszący, że tu jest szkoła, zaczęto dobijać się do krzewiciela oświaty w nadziei, że można będzie czegoś o Surgucie się dowiedzieć.

Gdy po kilkakrotnem pukaniu do drzwi, nikt się nie odezwał, Tadeusz otworzył drzwi i wszedł do sporej sieni, skąd troje drzwi wiodło gdzieś w głąb. Tadeusz, Mirski i Staszek ruszyli dalej i minawszy kilka pokoi, dotarli do kuchni. Tu dopiero napotkali niemłodą niewiastę, która, zdziwiona przybyciem gości, patrzyła na nich z przestraszeniem. Dopiero odezwanie się Tadeusza po rosyjsku: — Gdzież pan nauczyciel? — otrzęzło ją nieco.

— Niema go w domu, poszedł na ryby...

Cóż było robić? Trzeba się było udać gdzie-

indziej. W pobliżu była cerkiewka, obok niej budynek, w którym prawdopodobnie zamieszkiwał proboszcz miejscowy. Lecz i tu powtórzyła się podobna historia. Przespacerowano się przez całe mieszkanie popa, żeby wkońcu dowiedzieć się od zaspanej jego małżonki, że „batuszka“ poszedł też na ryby.

— Ano, chodźmy na chybił trafił, może gdzie kogo zastaniemy — rzekł wkońcu Mirski.

I wstąpiono do pierwszego z brzegu domostwa. Tu napotkano dwóch jakichś brodaczy, raczących się herbatą.

— Dzień dobry panom! — rzekł Tadeusz — jesteście tu przejazdem z Tobolska, nie znamy nikogo, czybyście nie mogli nam wskazać, do kogo zwrócić się po zakup skórek.

Obydwaj surgucianie przestali pić herbatę i spojrzeli ciekawie na przybyłych.

— Dzień dobry! — odrzekli, wstając od stołów.

Zaczęła się rozmowa. Okazało się, że oni sami handlują z Ostjakami i że gotowi są dostarczyć skórek.

— A gdzież mamy je wam dostarczyć? — pytali pod koniec targu.

— Nasza motorówka stoi w przystani. Tam będą panów oczekiwał — odpowiedział Mirski — i po przyniesieniu skórek zapłacę należność gotówką, prócz tego oblejemy jeszcze transakcję.

— No, dobrze — rzekli obydwaj surgucianie i wyciągnęli rękę na ubicie ugody.

— Więc wy z Tobolska? — zapytał po chwili je-



den z nich.—A to wasi synowie?—ciągnął, wskazując na towarzyszących młodzieńców.

— Z Tobolska — odpowiedział Mirski — a ci młodzi to moi praktykanci handlowi, nie synowie.

— Tak — ciągnął brodacz. — A my tu oczekujemy wizyty z Tomska.

— Czyjej? — zapytał Tadeusz.

— Jacyś podobno zesańcy uciekli gromadnie z Narymu. Pristaw tutejszy otrzymał telegraficzne polecenie zatrzymania tymczasowo wszelkich przybyszów, jacy się pojawią w Surgucie, do czasu przyjazdu komisji śledczej, wysłanej za zbiegami z Tomska i Tobolska.

— Tak? — odrzekł Mirski, nie tracąc fantazji. — Nic o tem nie wiedzieliśmy. Ale przecież nas nie zatrzymają, możemy wracać chyba do Tobolska.

— O ile macie, panowie, paszporty, to pewnie, że nie zatrzymają.

Mirski już nie zwlekał. Pożegnano się grzecznie i skierowano w stronę brzegu. Nim dotarto jednak do przystani, którą zresztą było zdaleka widać, z urzędu przystani wysunęła się jakaś gromadka ludzi, kierując się nad brzeg Obi, gdzie w odległości kilkunastu metrów od bulwaru stał na kotwicy „Biały Orzeł“, obecnie motorówka bez nazwy, gdyż tablice z nazwami zasłonięto. Ludzie owi, między którymi było aż trzech strażników, uzbrojonych w karabiny, przecinali już drogę naszym podróżnym.

— Tylko nie traćmy min! — rzekł Tadeusz do całej gromadki.

Jeszcze kilkanaście kroków — i nasi podróżni zetknęli się wreszcie z ową gromadką Moskali. Parę chwil wzajemnego przypatrywania się sobie i moment ciszy. Mirski, sunąc naprzód, przedarł się przez całe towarzystwo, które zrobiło mu drogę, a za nim chłopcy, gdy wtem ostatniego Tadeusza zaczepił starszy ze strażników :

— Przepraszam panów... Mam polecenie zbadać panów dokumenty osobiste.

— Co takiego? — zapytał Tadeusz po rosyjsku, nie zatrzymując się.

Mirski tymczasem przyspieszył kroku i stanął nad brzegiem, ku któremu w tej chwili przysunął się też stateczek. Za chwilę z Kazikiem i Stefką był już na pomoście „Białego Orła“. Tadeusza jednak z pozostałymi chłopcami zatrzymano nad brzegiem.

— Nie mam przy sobie dokumentów — mówił — proszę z nami na motorówkę, tam się wszyscy wylegitymujemy...

— Chodźmy! — rzekł starszy strażnik.

Chłopcy i Tadeusz, a za nimi wszyscy trzej strażnicy weszli na pomost. Mirski zeszedł do kajuty i polecił chłopcom w sekundę po ruszeniu motorówki wyrzeć na pomost, celując do strażników ze sztucerów... Do Marczyńskiego zaś szepnął:

— Z miejsca przynajmniej 15 m. na sekundę, jak tylko powiem przez tubę: już!

I wyszedł na pokład, trzymając wziętą ze stołu jakąś książkę, w której niósł niby żądane papiery.



Strażnicy, zobaczywszy go, zaczęli się zbliżać, Tadeusz pozostał wtyle i nieznacznie nogą odczepił zasuwkę, która utrzymywała kłódkę, łączącą pokład z brzegiem. W tej chwili Mirski szepnął do tuby „już“ i chwycił za kółko sternicze. „Orzeł Biały“ szarpnął się tak gwałtownie, że wszyscy trzech strażnicy zachwiali się na nogach. Otworzyły się w tejże chwili drzwiczki od kajuty i cztery sztuczery skierowały się wprost na zgłupiałych policjantów. Za nimi stał Tadeusz, trzymając browning, wycelowany w starszego strażnika. Nim przerażeni mogli słowo przemówić lub zrobić użytek z posiadanej przez siebie broni, Mirski, nie odrywając się od steru, odezwał się po rosyjsku:

— Proszę w tej chwili oddać broń! Aresztuję was w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej!

„Orzeł Biały“ w ciągu tych kilkunastu sekund, jakie przeszły od chwili ruszenia z przed przystani, gdzie pozostali oniemiałi ze zdumienia, bezbronni świadkowie sceny porwania strażników, ujechał już blisko kilometr drogi. Surgut szybko małał. Stateczek pędził na środek rzeki.

Strażnicy, widząc beznadziejność swego położenia wskutek wycelowanych luf do siebie, nie mogąc też myśleć o ucieczce wpiaw przez rzekę, za przykładem swego starszego odczepili browningi i szable i rzucili na pokład obok karabinów.

— Poddajemy się, tylko nie zabijajcie! — wykrztusił wreszcie jeden z nich, kłaniając się w pas Mirskiemu.



Stefan, Staś, Kazik, i Józiek, widząc złożoną broń, wysunęli się na pokład ze sztucercami, otaczając aresztowanych. Za nimi z wnętrza zaczęły wyglądać przelękłe dziewczynki, nie zdając sobie jeszcze sprawy z całego zajścia.

— Zastąpże który pana Mirskiego — rzekł Tadeusz do chłopców. Stojący najbliżej Stefan podskoczył do steru. Mirski kazał strażnikom przemieścić się z pomostu na nieogrodzoną część pokładu i siedzieć tam spokojnie. Pojmani wykonali rozkaz posłusznie.

— Nie wolno wam ruszać się z miejsca — rzekł do jeńców. Inaczej kula w łeb!

Kazik i Józek stanęli na straży.

Staś zabrał złożoną broń strażników i zaniósł do kajuty.

Stefan pozostał przy sterze. Mirski polecił mu nie oddalać się od brzegów i za parę minut nawet skierować ku prawemu brzegowi Obi, zwalniając stopniowo bieg motorówki, poczem zeszedł do kajuty.

— To już i po całym kramie! — rzekł do dziewczynek. — Stasiu! zastąp pana inżyniera przy maszynie.

— Co tatuś z nimi myśli zrobić? — pytała Zosia z przestraczem.

— A to się panu udało! — rzekł Marczyński, wychodząc ze swej kajutki i będąc już o wszystkim przez Stasia poinformowany.

— Cóż? Mieliśmy się dać tym stupajkom aresztować? — odrzekł Mirski.

— Ale co właściwie z nimi zrobimy? — pytał Tadeusz.

— Cóż mamy robić! wysadzi się ich zaraz tutaj, niech się przelecą na piechotę do Surgutu. Jeszcze nie tak daleko. Bez broni nie będzie zresztą im tak ciężko.

Jakoż „Orzeł Biały“, zgodnie z instrukcją Mirskiego, zbliżył się do brzegu i na dany znak stanął. Mirski kazał jeńcom wyjść na ląd i rzekł na pożegnanie:

— Wracajcie do domu i na drugi raz nie próbujcie nawet pytać Polaków, kim są i dokąd jada, wszyscy będą się uważali za obywateli zmartwychwstałej Rzeczypospolitej Polskiej i wszyscy będą jechać do swej wolnej Ojczyzny!

Jeńcy, skłoniwszy się trwożnie, ruszyli brzegiem Obi w stronę Surgutu, odległego może o milę.

„Orzeł Biały“, przyspieszywszy biegu, pomknął jak strzała naprzód, pod wieczór stając nawprost ujścia wielkiego Irtysza.

## XXVI

### W CZELUŚCIACH PUSZCZY

Choć nurty Obi nie groziły obecnie mieliznami i ciasnotą, gdyż zwłaszcza od zlania się z Irtyszem osiągały chyba z 10 km. szerokości, nasi podróżnicy, mając dość czasu, a nie obawiając się zbytnio pogoni, na noc zatrzymywali się gdzieś w pust-

kowiu, zdala od wsi przybrzeżnych, zwykle przy urwistych, niedostępnych brzegach, na kotwicy o kilkanaście metrów od brzegu.

Postanowiono obecnie nie tylko posuwać się wciąż dalej ku morzu, lecz w miarę możliwości po drodze coś niecoś zwiedzać, słusznie przypuszczając, że drugi raz w życiu nikomu pewnie nie trafi się okazja być znowu w tych stronach. To też dotarwszy do ujścia Irtysza „Orzeł Biały“ zaszył się znowu w cień nadbrzeżnych zarośli. Nazajutrz rano spostrzeżono pośrodku szeroko rozlanej rzeki sporą wysepkę, mającą, jak się okazało z mapy, ze 100 km. długości przy 5 — 10 km. szerokości. Zdala widniała wieś Troickoje, zamieszkała przez Ostjaków mocno już zruszczonych, jak wogóle wszyscy Ostjacy w tej okolicy. Tadeusz, studjujący ciągle opisy mijanych stron, zwrócił uwagę Mirskiemu, że gdzieś w pobliżu tej wsi, pośrodku niedostępnego prawie urmanu, znajduje się godne zwiedzenia miejsce ze słynnym bałwanem, czczonym przez Ostjaków i Samojedów z całej prawie Syberji.

— Przyjeżdżają nieraz do niego celem modłów i złożenia ofiar Samojedzi, aż gdzieś z pod Turuchańska nad Jenisiejem, t. j. zamieszkali stąd o parę tysięcy km. — mówił Tadeusz.

— Możebyśmy odwiedzili tego słynnego bożka — wtrącił Stefan.

— Tak, ale jak go odnaleźć? — spytał Mirski. Tadeusz, przeczytawszy dalej opis, na który się powoływał, wyjaśnił zaraz, że trafić będzie



można, bo książka podaje dokładnie położenie miejsca, gdzie bożek ma się znajdować.

— W takim razie możemy się tam udać, tylko jak: motorówką, czy na piechotę?

— Nie wszyscy chyba pójda, bo widzi mi się, że trzeba będzie parę mil przedzierać się przez urman. Statek nas tylko podwiezie kawałek drogi, a musi na nim przecie ktoś zostać... — rzekł Tadeusz.

I skierowano „Orła“ zaraz ku północnemu wybrzeżu rzeki, w tem miejscu, jak się okazało — dość stromem i zarostem ponurym, nietkniętym przez ludzi urmanem.

Posuwając się brzegiem ku północy, po pewnym czasie natrafiono na ujście jakiejś niezbyt wielkiej rzeki, którą, według wskazówek książkowych, należało pojechać w górę około 30 km. skąd dopiero prowadzić miała ścieżka ku wzgórzu wśród puszczy, na którem wznosi się w specjalnej gontynie ów posąg, a obok niego jurta jego opiekuna, starego szamana.

Jazda w górę owej rzeczki, bardzo zasobnej w wodę, nie przedstawiała żadnej trudności. Po upływie niespełna godziny motorówka była już we wskazanem miejscu, gdzie należało wysiąść. Brzeg rzeki był w tym punkcie zlekka pagórkowaty i nieco piaszczysty. O kilkadziesiąt kroków od rzeki, na jednym z wyższych pagórków sterczał spory słupek z nawieszonemi poprzecznie u góry pręcikami. Od słupka w głąb urmanu szła ledwie widoczna ścieżyna: pewnie droga do gontyny.

— Więc któż wybierze się ze mną włąb urmanu? — zapytał Mirski.

— Ja tam się stąd nie ruszę! — odrzekł inżynier.

— Ja pójdę! ja pójdę! — zaczęli wołać wszyscy pozostali.

— O, tak być przecie nie może — odezwał się Mirski. — Tylu nas pσ pierwsze iść nie może, po drugie nie zaszłoby z pewnością... Nie może, bo musi przecie ktoś, prócz pana Marczyńskiego, zostać na „Białym Orle“. Nie zaszłaby napewno Zosia i wogóle panienki.

— Dojdziemy napewno, tatusiu! — zawołała Mirska.

— Z pewnością dojdziemy — dodały Jadzia i Julcia.

— Nie! — wziąć was nie mogę — odparł Mirski. — Nawet co do chłopców mam pewne obawy... Musi i z was ktoś pozostać... — rzekł, zwracając się do chłopców — i pomagać panu inżynierowi. Zresztą, pytam, kto zgodzi się dobrowolnie pozostać?

— Wielkiej chęci zostania nie mam — odezwał się Kazik — ale, jeżeli koniecznie ktoś z nas ma zostać, to ostatecznie mogę. Nie chce mi się łązić po tych wertepach, żeby zobaczyć jakiegoś bałwana... Mało to bałwanów widziałem już i jeszcze z pewnością zobaczę?...

Roześmieli się wszyscy.

— W takim razie idziemy, a pan inżynier, mając do pomocy Kazika i dziewczęta, nie będzie się chyba zamęczał, ani zbyt nudził na statku...



— Ależ naturalnie! — potwierdził inżynier — tylko wracajcie jaknajszybciej, bo jak mi nie wrócicie w ciągu 24 godzin, to pojadę do Polski bez was!..

— Tak źle nie będzie — powiedział Mirski — żegnając się z pozostającymi na „Białym Orle“.

Zaopatrzeni w broń i nieco żywności w plecakach, Mirski, obaj Tęczyńscy, Staś i Józek opuścili motorówkę i ruszyli w głąb urmanu ścieżyną.

— Wrócimy w to samo miejsce dziś jeszcze! — rzekł Tadeusz na odchodnym.

— Szczęśliwej podróży! — krzyczano z pokładu.

I gdy gromadka pięciu znikła wśród gąszczów, „Orzeł Biały“ odsunął się z wolna od brzegu i stanął na środku rzeki, gdzie nie groziło z niczyjej strony podejscie.

Ścieżyna wydeptana w urmanie, przez którą kroczyli jeden za drugim nasi znajomi, nie była widać zbyt uczęszczana, bo wciąż się rwała, ginąc dla oka naszych podróżnych. Idący naprzód Tadeusz odnajdywał jednak szybko dalszy jej ciąg i prowadził gromadkę szybkim krokiem naprzód. Według danych książkowych, od brzegu, gdzie wylądowano, do świątyni owego bożka miało być nie więcej jak mila drogi. Gromadce naszej przestrożeń ta wydawała się jednak wielokrotnie dłuższą. Miejscami trzeba było przechodzić przez moczary, to znów przedzierać się przez kolące gąszcze, przedostawać przez nadgniłe powalone poprzecznie pnie drzewne, nieraz olbrzymich rozmiarów. Że wszędzie jednak spostrzegano ślady ścieżyny,



nie zrażano się przeciwnościami i posuwano się bez przerwy.

Po dwugodzinnej podróży spostrzeżono, że grunt pod nogami robi się coraz suchszy, a wreszcie znaleziono się przed jakimś częstokołem, do którego wiodły niewielkie, przymknięte wrota. W milczeniu zatrzymano się przed tem wejściem do tajemniczego zagrodzenia.

— Pewnie otwarte, wejdźmy — rzekł po chwili Mirski.

Tadeusz pchnął drzwi nogą i istotnie otworzyły się, ukazując niezbyt obszerne podwórze, pośrodku mające dwa budynki koło siebie. Były to czworoboczne szalasy o płaskich dachach, zbudowane z nieciosanych, grubych kołów. Gdy gromadka nasza zbliżyła się na tyle, by mogła zajrzeć przez otwarte drzwi, przekonała się, że jeden z budynków jest widać izbą mieszkalną, pustą jednak w tej chwili — gdy drugi — jakimś składem rozmaitych futerek, porozwieszanych w niej na kółkach.

— Ależ to cały skład futer! — wykrzyknął zdumiony Stefan.

— I to przeważnie skórki sobolowe, jakie piękne nawet! — dorzucił Staś. Józek, ciekaw co więcej znajduje się w tym składzie, wszedł do środka i za chwilę zawołał:

— Chodźcie tu! Chodźcie! Coś ciekawego!

Mirski i Tadeusz, którzy dotąd jeszcze rozglądali się po opustoszałej izbie mieszkalnej, zwabieni okrzykiem Królickiego, weszli do owego składu.

Pośrodku izby na podwyższeniu z belek stał naturalnej wielkości metalowy posąg gęsi. Mnóstwo futerek sobolich, lisich, borsuczyczych i innych wisiało przy nim i leżało obok na podstawie.

— Otóż-to właśnie ów słynny posąg brązowy gąsiora, jednego z najgłówniejszych bożków ostjaccich!.. A te futerka — to ofiary, złożone mu przez pobożnych pielgrzymów, którzy tu tak zdaleka nieraz zaglądną — mówił Tadeusz.

— Bo trzeba wam wiedzieć, chłopcy — odezwał się Mirski — że Ostjacy prócz głównego swego boga Toryma, który jest duchem, uznają istnienie bogów drugorzędnych, którym należy składać ofiary za pośrednictwem szamana. Tego ostatniego jednak nie widzimy tu jakoś. Czyżby był tak obojętny, jak Torym, który nie wpływa bynajmniej na bieg ludzkich wypadków?

— Może uciekł, zobaczywszy nas zdaleka? — wyraził przypuszczenie Stefan.

— To możliwe, — rzekł Tadeusz — bo Ostjacy ze swym kultem pogańskim, przejawiającym się w czczeniu posągów takich, jak ten i wogóle w uznawaniu istnienia t. zw. przez nich kulli, t. j. duchów, którym się trzeba opłacać, nie są bardzo otwarci. Bojąc się prześladowań ze strony prawosławnych Moskali, ukrywają swoje świątynie i wstydzą się ich, ponieważ wszyscy są oficjalnie chrześcijanami i nie wypada im jednocześnie jawnie być wyznawcami pogaństwa.

— Jeżeli uciekł — wtrącił Mirski — to chyba niezbyt daleko i może nas skądś obserwuje. Nic



nam to nie przeszkadza, ale szkoda, bo moglibyśmy z nim trochę pogadać.

— A czy dałoby się z nim rozmówić?— spytał Józek.

— Naturalnie — odrzekł Tadeusz — wszyscy prawie Ostjacy są już dziś zruszczeni o tyle, że rozumieją po rosyjsku. Przypuszczam, że i ten szaman także. Ale, jeżeli on udał się gdzieś o pomoc, to kto wie, czy nie będziemy mieli tu wkrótce wizyty większej ilości Ostjaków.

— Obawiać się ich w każdym razie nie potrzebujemy — odezwał się Mirski.

— Lud to spokojny naogół, uczciwy i gościnny. O ile wiem, łatwo jednak dający się rozdrażnić i wtedy staje się okrutnym. Ale chyba wizytą jeszcześmy ich nie skrzywdzili.

— Kto wie jednak? Ten gąsior brązowy ucho-  
dzi podobno za nadzwyczajną świętość... Przekroczyliśmy bez pytania próg jego przybytku, może to w ich oczach być wielkiem przestępstwem...

— Cóż mogą nam zrobić? — zapytał Józek.

— Może nas zjedzą? — zażartował Staszek.

— To, to nie! — ciągnął dalej Tadeusz, ale  
mogą nas zamordować, o ile pomyślą, żeśmy przyszli zagrabić te ofiary, które tu są kullom ich złożone...

— Niech Bóg broni, byśmy mieli co stąd zabierać — rzekł Mirski.

— I ja tak sądzę — powiedział Tadeusz — ale to w ich głowach może nie powstać, bo z pe-



wnością przyzwyczajeni, że im takie ofiary zawsze Moskale zabierają. Wie pan — tu zwrócił się do Mirskiego — Moskale tego rodzaju miejsca, gdzie Ostjacy składają bożkom ofiary, nazywają „szajtanami“ i ograbić szajtan to największe marzenie już nie tylko włóczęgi, ale i najsolidniejszego sybiraka... Ostjacy naturalnie wierzą, że za takie świętokradztwo spotka winowajcę straszna kara od kullów.

— Nas chyba to nie czeka — rzekł Stefan.

— Tak samo u Ostjaków — mówił dalej Tadeusz — świętymi są cmentarze. Za okradzenie nieboszczyka też nie minie świętokradzcy straszliwa kara...

— A jak tu chowają umarłych? — zapytał Staszek.

— Nasamprzód, gdy Ostjak umrze — objaśniał Tadeusz — u drzwi jurty, w której mieszkał, wystawiają noże i topory ostrzami nazewnątrz. Robią to, żeby na nie natknęła się śmierć w razie, gdyby chciała raz jeszcze wrócić do jurty. Ciało zmarłego kładą do zbitej z desek trumny, do której kładą też różne drobne przedmioty, stanowiące własność zmarłego. Większe rzeczy, jak łuk ze strzałami, sieci, topór, nóż, róg z tytoniem u mężczyzn, a u kobiet różne narzędzia gospodarskie, kładą zwykle na trumnie pod prostym daszkiem z desek, który stawiają bezpośrednio nad trumną, postawioną wprost na ziemi. Ciekawą jest rzeczą, że wszystkie składane przedmioty Ostjacy nadłamują lub w jakiś inny sposób psują. Tłumaczy

się to tem, że według wierzeń ostjackich i martwe przedmioty mają swoją duszę, więc trzeba ją też zmusić do udania się w inny świat za nieboszczykiem. Nad grobem zmarłego zwykle odbywa się uczta, podczas której pierwszy kęs jedzenia i pierwsza czarka wódki ofiarowywane są nieboszczykowi. Kiedy już nad trumną zbiją ów daszek, zaczynają pytać nieboszczyka, co było przyczyną jego śmierci, czy zmarł z własnej woli, czy nie, czy z winy popełnionych grzechów, lub może z uroku, rzuconego przez jakiego szamana. Po każdym takim pytaniu jeden z obecnych nad mogiłą próbuje podnieść trochę trumnę za przywiązany do górnego daszku grobu pręt. Jeżeli to się udaje, to znaczy, że odpowiedź na pytanie jest twierdząca.

— A jakie mają Ostjacy pojęcia o życiu pozagrobowym? — spytał pan Mirski.

— Ostjacy sądzą, że po śmierci człowiek jeszcze raz będzie żył na tamtym świecie akurat w takich samych warunkach i zaczynając nowe życie w stanie dziecinnym, wymagającym opieki. Opiekę tę właśnie starają się zastąpić zmarłemu troską o lalkę, która ma go wyobrażać. Co też włożono do grobu i trumny, ile zabito zwierząt przy pogrzebie i później na cześć zmarłego, tyle jego majątku na tamtym świecie. Rozumieją, że biedny człowiek po śmierci zostanie biednym, zły, nieuczciwy, pijak—takim samym. Przeżywszy drugie swe życie, według jednych mniemań ostjackich, człowiek znika zupełnie, według drugich zaś



wciela się w chrabąszcza, i dopiero po przeżyciu tego wcielenia niknie doszczętnie.

Tadeusz chciał jeszcze opowiadać o Ostjakach, ale Mirski, obejrzawszy z chłopcami całe to ustroenie kullów, rzekł:

— No. obejrzelśmy tu wszystko, co się dało, a teraz wracajmy. Do tej chwili nic nam się nie stało, mam nadzieję, że wrócimy na „Białego Orła“ również szczęśliwie. Pożegnajmy więc to miejsce i marsz!

Chłopcy rzucili jeszcze raz okiem na liczne sobolowe skórki, porozwieszane koło bożka, ale zgodnie z poleceniem Mirskiego nie ruszyli żadnej. Zaczęto wracać znowu „gęsiego“ tą samą drogą, tylko teraz w innym nieco porządku. Pierwszymi szli chłopcy ze Stefanem na czele, z tyłu szedł Tadeusz, wreszcie Mirski. Że było kawałek drogi do motorówki, szli wszyscy śpiesznie, stąpając w milczeniu po tej samej ścieżce. Żywej duszy nie było widać, ani słyszać po drodze.

Gdy oddalono się już od siedziby bożka o jakiś kilometr, zdaleka dało się słyszeć jakby warczenie bębna.

— Co to być może? — spytał Stefan. — Słyszycie?

Wstrzymano pochód i zaczęto nadśluchiwać. Istotnie słabo, lecz wyraźnie dochodził z oddali głos bębna i to od strony gontyny kullów.

— Nie wiem napewno, co to być może — rzekł po chwili Tadeusz — ale zdaje mi się, że Ostjacy po naszym odejściu wrócili, i spostrzegli



naszą wizytę. Obecnie biją na trwogę, zresztą może to szaman ich wzywa w ten sposób.

Warczenie bębna cichło, to rozległo się chwilami donośniej. Tadeusz wsłuchiwał się bacznie, a po chwili znów zaczął mówić:

— W razie jakiegoś nieszczęścia lub choroby Ostjacy wzywają zwykle szamana i przy dźwiękach bębna rozpoczynają wzywanie duchów. Szaman zaczyna wydawać dźwięki początkowo delikatne i ciche, później stopniowo coraz głośniejsze, nierówne i przerywane, przechodzące w ryk, który przygłusza jedynie warczenie bębna i okrzyk obecnych, przypominający dźwięk: k-oo! Po tym wstępie szaman zaczyna w swoisty sposób płasnąć. Konwulsyjne te ruchy i skoki, piana ciekąca mu z ust, pot, wyszczerzanie zębów, wzrok wlepiony w przestrzeń, wszystko to, kończące się utratą przez niego przytomności, porusza do głębi i przestrasza obecnych, nic dziwnego, że wierzą ci ludzie, iż szaman przez ten czas obcował z duchami i może potem udzielać od nich wiadomości.

— Szkoda, żeśmy gdzie dotąd nie napotkali takiego szamana — odezwał się Staś.

— Gdybyśmy mogli byli zostać, z pewnością wróciliby na wieczór, bo wątpię, czyby chciał nocować wśród tutejszych niedźwiedzi — zauważył Stefan.

— Mówi się: trudno, moi kochani — rzekł Mirski. — Dobrze, żeśmy widzieli to, cośmy widzieli, bo i to się nie każdemu zdarza. A trzeba było przecie zaraz wracać. Zatrzymanie się tam dłużej mogłoby nam sprawić, może, jakie niespodzianki...

— Tymczasem śpieszmy jednak do „Białego Orła” — odezwał się Tadeusz. — Już bębna nie słyszeć... Mamy jeszcze kawał drogi.

I ruszono dalej. Mijano moczary, przedzierano się przez gąszcze. Droga wydawała się jednak wszystkim o wiele dłuższą niż być powinna.

— Czyżbyśmy zblądzili? — spytał Mirski.

— I to możliwe w tem bezludziu — odrzekł Tadeusz — zdaje mi się jednak, że idziemy we właściwym kierunku, tak przynajmniej mój kompas wskazuje...

Ale przeszła jeszcze godzina i druga, a rzeki jak nie było, tak nie było widać. Posuwając się teraz i ze zmęczenia i dla odnalezienia drogi wolniej, zauważono, że właściwie idą już nie po ścieżce. Urman, w tem miejscu rozrzedzony, ujawniał w różnych kierunkach niby ścieżki, prawdopodobnie jednak tylko utarte tropy, któremi grubsza zwierzyna podąża do wodopojów.

## XXVII

### NOCNA PRZYGODA

I noc zapadła wreszcie, a nasi podróżni, zbląkani w sybirskiej puszczy, nie doszli do rzeki.

— Chyba nas oczarowano na odległość! — zażartował Stefan.

— Nie żartuj! — odpowiedział Tadeusz — wiedz o tem, że to możliwe...

— Jakto? przez ostjackiego szamana?



— Tak. Ci ludzie, trzeba ci wiedzieć, istotnie mają pewne zdolności „czarnoksiężskie”. Naukowo można je wytłumaczyć zjawiskami jasnowidzenia, telepatji, t. j. przenoszenia myśli na odległość i sugestji, czyli poddawania swoich myśli innym.

— Pomówimy może o tem później jeszcze — przerwał Mirski — myślę jednak, że teraz pilniejszą sprawą jest naradzenie się nad tem, co z sobą zrobimy. Niepodobna w nocy iść dalej, bo jeszcze bardziej pobłądzimy, trzeba zresztą odpocząć i posilić się.

Po krótkiej naradzie zdecydowano wyszukać pagórek, rozpalić na nim ognisko i zbudować jaki taki szałas na noc.

— Za dnia może łatwiej będzie odszukać rzekę i miejsce, gdzie została motorówka.

Znalezienie suchego pagórka nie było rzeczą zbyt trudną. Rozpalono na nim przedewszystkiem spore ognisko, a później nałamano gałęzi na szałas.

— Nie będziemy dziś mieli wygodnego noclegu — rzekł Mirski, przypatrując się, jak pod wodzą Stefana pozostali chłopcy budują szałas.

Po upływie godziny był gotów. Wystany mchem, przedstawiał się jak bartóg, w każdym razie lepszy do spania niż, murawa pod gołym niebem.

Ognisko, rozłożone u wejścia do namiotu, trzaśkało iskrami dokoła, paląc się wielkim płomieniem.

Wszyscy usadowili się przy niem, grzejąc się, choć noc nie była zbyt chłodna. Rozmowa się nie kleiła. Zapasy żywności, jakie zabrano z sobą, już dawno były zjedzone. Okazało się, że zostało



tylko kilka pudełek konserw. Nawet herbaty nie można się było napić, bo nie było naczynia na wodę. To też wszyscy byli w złym humorze z głodu i z racji oczekiwanych niewygód noclegu.

— Marny los z nami! — mruknął Staś.

— Głupstwo! Mamy jedną więcej przygodę — odpowiedział Stefan.

Mirski, widząc skwaszone miny chłopców, odezwał się po chwili:

— Moi kochani! Nie traćcie przede wszystkim humoru. Przypuszczam, że kiedyśmy zabłądzili, musi do nas motorówka trafić... Spodziewam się, że inżynier domyśli się i będzie nas szukać.

Nikt na te słowa nie odpowiedział, co widząc, Mirski za chwilę znowu dorzucił:

— A teraz, zamiast czas tracić, chodźmy spać!

— Trzeba chyba ustanowić dyżury przy ognisku, żeby nie wygasło, poza tem, żeby nas kto nocą nie podszedł — odezwał się Tadeusz.

— Zapewne — rzekł Mirski. — Do rana mamy jakieś 6 godzin. Jest nas pięciu, możemy więc kolejno posiedzieć po pięć kwadransów, tylko ustalmy porządek kolejny dyżurujących.

Zdecydowano, że pierwszy dyżur przypadnie na Józka, drugi na Stefana, trzeci na Mirskiego, czwarty na Tadeusza i piąty na Stasia. Zwolna też wszyscy wsunęli się do szałas, żeby na mchu odpocząć po trudach dnia. Przed szałasem, w ciszy nocnej, przerywanej tylko trzaskaniem ogniska, pozostał Józek ze sztucerem w ręku. Oczy mu się kleiły niezgorzej, żeby więc nie zasnąć podczas

warty, zaczął się przechadzać w tę i drugą stronę, okrążając ognisko i szałas.

Ognisko, początkowo żarzące się jasno i potężnie, w miarę spalania się lepszych gałęzi zaczęło słabnąć. Józek, co mógł, dorzucał i czas mu na tem szybko schodził, powziął więc bohaterские postanowienie przeciągnięcia sobie dyżuru do rana bodaj, by nie budzić towarzyszy podróży.

Póki był jeszcze duży ogień, chodził dokoła ogniska, to weń się wpatrując, to znów rzucając ciekawe spojrzenia wgłąb czarnych czeluści puszczy, jakby chciał przeniknąć jej wszystkie tajemnice. Ale gdy ognisko zaczęło przygasać z braku nowych gałęzi do podsycania, już nie mając się na co patrzeć, zresztą i ze znużenia, oparł się z ręką na sztucerze o jedno z drzew i w pozycji stojącej zasnął.

Jak długo trwała ta drzemka, nie umiałby tego powiedzieć. Wiedział tylko tyle, że obudziło go jakieś mruczenie w pobliżu. Józek szybko oprzytomniał i spojrzał przed siebie. O dziesięć może kroków przed nim wśród gąszczów stał olbrzymi niedźwiedź tuż koło szałasu, w którym spali nasi znajomi. Dość mu było wyciągnąć łapę, by trafić na którego ze śpiących. Widać z oddali poczuł łup. Węszył po ziemi, podchodząc do samego otworu.

Królicki, spostrzegłszy zwierzę, chciał w pierwszej chwili strzelić, ale zmiarkował na szczęście, że kula mogłaby w razie chybienia wpaść do szałasu i zabić kogoś ze śpiących. Oderwał raptownie sztucer od oczu. Jak błyskawica przemknęła mu



myśl, że trzeba przedewszystkiem zwierzę odciągnąć od namiotu, bo nuż się ktoś obudzi, a nie wiedząc o niczem — wyjrzy — śmierć, albo przynajmniej kalectwo, ze strony potężnego niedźwiedzia nie minie.

— Co robić? — myślał.

Nie pozostało nic innego, jak dać się spostrzec i na siebie obruszyć napastnika.

W zmroku nocnym niedźwiedź nie spostrzegł dotąd Józka, bo ten stał pod drzewem i po przebudzeniu się kroku nie zrobił z przestrachu. To też, gdy teraz Królicki, przełamawszy w sobie pierwszy strach, posunął się dwa kroki naprzód, umyślnie szeleszcząc gałęziami, koło ogniska rozrzuconemi, miś przystanął, a spostrzegłszy przeciwnika zaryczał i ruszył wprost ku niemu.

Józek pragnął odciągnąć jak najdalej niedźwiedzia, odskoczył w tył kilka kroków, nie odrywając sztucera i starając się mierzyć prosto w głowę zwierzęcia. Rozległ się strzał, którego echo puszcza rozniosła daleko na wszystkie strony. Z pośpiechu jednak i z braku zimnej krwi strzał był chybiony. Zwierz ryknął powtórnie wściekle, widąc zraniony był, i rzucił się na Józka, tuż przed nim stając na tylne łapy i chcąc go objąć, by zmiażdżyć kłami i pazurami. Królicki struchlał, nie stracił jednak przytomności, choć nie spodziewał się, że niedźwiedź tak szybko go dogoni i stanie na łapy. W ostatniej chwili jeszcze cofnąć się zdążył o krok i zbliśka wycelował w ślepie. Tym razem strzał był śmiertelny. Niedźwiedź runął z jękiem u stóp Józka.



Stało się to wszystko tak prędko, że gdy od pierwszego ryku i strzału w szałasie obudził się Mirski i wyskoczył ze sztucerem do otworu, poznał bowiem jako wytrawny myśliwy, że grozi niebezpieczeństwo od niedźwiedzia, nie zdążył zorientować się, gdzie i co się dzieje, gdy już napastnik leżał zabity, a Józek pośpiesznie nabijał powtórnie sztucer, obawiając się jeszcze powstania niedźwiedzia. Za Mirskim zerwali się wszyscy pozostali, chwytając za broń, na szczęście złożoną w szałasie, było to już jednak zbyt późno.

— Co to? Co takiego?! — krzyknął Mirski, wysuwając się z szałasu i trzymając gotowy do strzału sztucer.

Słyszając głos Mirskiego i widząc, że miś drga w agonji, Królicki oprzytomniał i, obiegając powalone zwierzę, zbliżył się do Mirskiego, mówiąc:

— Nic już! nic! Niedźwiedź nas napadł...

— Gdzie jest?! — krzyknął Mirski przytłumionym głosem, przysuwając się bliżej.

— Niedźwiedź? — zaczęli pytać wszyscy pozostali.

— Tu leży właśnie! — odpowiedział Józek, pokazując leżące o kilkanaście kroków cielsko.

W ciemnościach nocy nie od razu spostrzeżono bure cielsko napastnika. Stefan dorzucił szybko gałęzi na przygaste ognisko i za chwilę w blaskach czerwonych płomieni ujrzano zabite zwierzę.

— Powinszować! Powinszować! — mówił Mirski, zwracając się do Józka.

— Toś ty zabił niedźwiedzia? — pytali chłopcy z zazdrością.

— Jakże to było, że niedźwiedź mógł się tak zbliżyć do szałasu? — rzekł Mirski. — O ile wiem, niedźwiedzie nigdy pierwsze człowieka nie napa-  
stują.

Biedny Józek musiał się przyznać, że przez nie-  
karność, a dobre serce zdrzemnął się i omal nie  
spowodował katastrofy. Gdyby był podtrzymywał  
ogień w ognisku, z pewnością miś nie śmiały się  
zbliżyć.

— Jaka jednak bestja chuda! — zauważył Ta-  
deusz, przyglądając się bliżej niedźwiedziowi.

— Nic dziwnego — odpowiedział Mirski. — Wio-  
sna. Niedawno może wyszedł z gawry.

— Z czego? — zapytał Stefan.

— Z gawry, to jest swego zimowego legowiska.  
Wiecie przecie, że niedźwiedzie na zimę kryją się  
w wykopane przez siebie nory i w nich przesy-  
piają okres mrozów — objaśnił Tadeusz.

— Musiał być dobrze głodny — dorzucił Mir-  
ski — kiedy nie bał się podejść tak blisko. Swąd  
dymu kiedyindziej spłoszyły go zapewne.

— Cóż teraz zrobimy z tym jegomościem? —  
zapytał Staś.

— Pomyśl o tem, byśmy sami się stąd wydo-  
stali jak najprędzej — rzekł Stefan.

— Skórę wartoby zabrać ze sobą... — zauwa-  
żył Tadeusz.

— Zabierzemy — potwierdził Mirski — ale ju-  
tro dopiero, bo mimo tej przygody chyba bę-



dziemy nadal spać... Na kogo to teraz przypada dyżur?

— Na mnie — odpowiedział Stefan.

Mirski chciał zwolnić Stefana, mówiąc, że jego czas dyżuru przesiedział właściwie Królicki, Stefan jednak nie chciał ustąpić kolejki samemu Mirskiemu i postawił na swoim, ciesząc się, że może i jemu szczęście dopisze i upoluje, podobnie jak Józek, znów jakiego niedźwiedzia.

— Tylko nie zaśnij, jak Józek! — mówił mu Tadeusz.

— Niech cię tam teraz drugi niedźwiedź czasem nie napadnie — ostrzegał Staszek.

— Niech Stefan zaraz mnie obudzi w razie czegokolwiek podejrzanego — mówił Mirski.

Jeden Józek, jakkolwiek bardzo zadowolony z siebie, nie odzywał się nic, bo teraz dopiero poczuł na dobre znużenie i pragnął jak najprędzej ułożyć się do snu, aby się nieco pokrzepić na siłach.

Stefan, objąwszy posterunek, zaczął zwolna krążyć przed szałasem i dokoła ogniska, trzymając sztucer w ręku, a drugi mając przed wejściem do szałas, również nabity. O spaniu mu się nie śniło już, zbyt bowiem był poruszony całym zajściem. Krążąc tak, myślał, jaka szkoda, że to nie jego napadło niedźwiedzisko. Jakby mu było mile kiedyś pochwalić się, że zabił takiego grubego zwierza...

W duszy też żałował, że nie na niego przypadł pierwszy dyżur i, by mieć okazję do podobnego



wypadku, zastanawiał się, czyby nie warto było powtórzyć za Józkiem próby przedłużenia sobie warty.

W nocnej ciszy, przerywanej trzaskaniem palących się gałęzi, nic nie wskazywało, by jakikolwiek twór żywy znowu miał się przybliżyć. Wskutek jednostajności zaczęła go wkrótce ogarniać senność, ale jej się nie poddawał. Po godzinnem wartowaniu do uszu jego nagle doszło coś, czego w pierwszej chwili nie mógł zupełnie określić, czy jest faktem, czy złudzeniem. Gdzieś z oddali słychać było coraz wyraźniej charakterystyczny szum, jaki wydają samoloty.

Coby to mogło znaczyć — pomyślał. — Skądby tu aeroplan mógł się wziąć! Setki mil od najbliższego kulturalnego środowiska...

A jednak ów dźwięk jednostajny coraz bardziej zdawał się rozlegać, jakby się zbliżał.

Stefan nadstawił uszu i zaczął patrzeć do góry, nic jednak w pierwszej chwili nie zauważył. Na czarnem tle nieba bezksiężycowej, chmurnej i ponurej nocy trudno było cośkolwiek spostrzec. Ale po pewnym czasie, gdy już wyraźnie dolatywał do uszu turkot motoru, gdzieś zbliżającego, Stefan z wielkiem zdziwieniem zauważył na niebie kilka jasnych punktów, przesuających się szybko, a po chwili jaskrawą smugę światła, rozrzerzającą się ku dołowi i zmieniającą szybko kierunek. Światelka owe i snop ognisty wychodziły z punktu, który szybko posuwał się na wysokości może 300 metrów zaledwie.

— To z pewnością nasz „Biały Orzeł” wzblił

się w powietrze i szuka nas — pomyślał Stefan.—  
Nic innego być nie może! Tak, to jego motor tak  
potężnie turkocze.

— Budzić — nie budzić Mirskiego — zaczął się  
zastanawiać. Lepiej zbudzić. Zbliżył się tedy do  
otworu szałas i z cicha zaczął ciągnąć Mirskiego.

— Proszę pana! proszę pana!

— Cóż tam znowu? — odezwał się Mirski.

— Niechże pan wyjdzie koniecznie, mówił Ste-  
fan. Coś ważnego!..

Mirski nie kazał się prosić. Ledwo się wysu-  
nął, odrazu usłyszał motor i spostrzegł ogień.

— To inżynier nas szuka! — zawołał. Dalejże!  
podsycić trzeba ognisko czempredzej! I rzucił się  
na ziemię, zagarniając na stos gałęzie. Zaczął mu  
w tem energicznie pomagać i Stefan. Za chwilę  
buchnął olbrzymi ogień, rzucając wspaniały czer-  
wony odblask na całą polanę, gdzie się znaj-  
dowali.

— Muszą nas teraz stamtąd zobaczyć—wyrzekł  
Mirski po chwili.

— Z pewnością zobaczą! — przytaknął Stefan  
z zadowoleniem, przyglądając się w dalszym ciągu  
wędrowce „Białego Orła“ po powietrzu.

Spostrzeżono widać wkrótce ognisko, bo statek  
powietrzny zaczął zakręcać i zbliżać się ku miej-  
scu, gdzie znajdowali się zbłąkani. Gdy już był  
blisko i stosunkowo nisko, snop światła z refle-  
ktora padł wprost na polanę z ogniskiem. Zro-  
biło się na chwilę widno. Mirski i Stefan zaczęli  
machać rękami i krzyczeć, budząc naturalnie



śpiących dotąd w szalasię, którzy się oczywiście pozrywali i wybiegli z przestrachu, nie wiedząc, co się dzieje. Jasność tem więcej wszystkich przerażała. Samolot na chwilę się oddalił i znów ukazał niżej jeszcze, znów znikł i znowu krążył wolniutko nad głowami naszych podróżnych, wznosząc się może kilkadziesiąt metrów zaledwie nad drzewami i jakby chcąc osiąść gdzieś w pobliżu.

— Czyżby inżynier chciał tu wylądować gdzieś blisko? — rzekł do siebie głośno Mirski.

Nie o lądowaniu myślał jednak Marczyński, on to bowiem kierował w powietrzu „Białym Orłem“. Za chwilę, gdy znów nieco niżej samolot znalazł się nad naszą gromadką, dał się słyszeć głos, wiadać, przez tubę podany:

— Półtora kilometra na zachód rzeka! Tam was czekam!

Zanim Mirski czy Tadeusz zdołali cokolwiek odkrzyknąć, „Biały Orzeł“ poszybował nad polaną i znikł, wskazując zarazem kierunek, dokąd należało się naszej gromadce udać.

— Okazuje się — odezwał się Tadeusz — że nawet posiadanie dobrego kompasu niezawsze wystarcza. Cóż z tego, że odnajdywaliśmy strony świata, kiedy musiano nam dopiero powiedzieć, w której z nich natrafimy na potrzebną rzekę.

— Rzecz jasna — odrzekł Mirski — rzeki nie płyną prosto. My w dotychczasowym swym pochodzie możemy już i byli w pobliżu nieraz, nie wiedząc wcale o tem. Teraz przynajmniej wiemy,



że w prostej linii natrafimy na rzekę, chyba, nie inaczej trzeba rozumieć wskazanie inżyniera.

— A nie wartoby czasem, nie czekając rana, teraz już wybrać się w drogę i jak najprędzej dotrzeć do statku, który pewnie zaraz tam poleciał, gdzie nam kazał się udać — mówił Stefan.

— To dobra rada! — przytaknął Tadeusz.

— I ja się na to zgadzam — powiedział Mirski. — I tak już dziś spać nie będziemy. Zabierajmy więc manatki i naprzelaż, z kompasem i bronią w rękę, marsz!

Chłopcy, mając już dość tego szalasu i przygód, z radością przyjęli propozycję pochodu na zachód. Tylko Józek, dzielając zresztą zapał wszystkich, odezwał się nieśmiało:

— A z niedźwiedziem co będzie?

Istotnie, szkoda było skóry z tak pięknego okazji.

Mirski długo się namyślał, co robić. Ale zważywszy, że wzięcie ze sobą świeżo zdartej skóry mogło być kłopotliwe, przytem nie tak łatwo było ją po nocy ściągnąć ze zwierzęcia — zdecydował się dać wszystkiemu spokój i tylko na pamiętkę po misiu postanowił uciąć mu przednie łapy, co natychmiast zrobiono bez wielkiego trudu małą siekierką, jaką miał Staszek ze sobą.

Za chwilę ruszono w drogę.

Trzymając w rękę busolę, szedł naprzód Tadeusz, za nim pozostali chłopcy, na końcu Mirski. Szczęściem, puszcza w tem miejscu nie miała ani zbyt gęstych gąszczów, ani bagnisk. Po męczącej

powolnej nocnej drodze przed świtem jeszcze doszli do rzeki. Na środku jej stał już na kotwicy „Biały Orzeł“, nie zdążywszy jeszcze złożyć skrzydeł.

Zaalarmowanie załogi i dostanie się na „Orła“, który na wezwanie podjechał pod sam brzeg — było już drobnostką.

Do samego rana, t. j. jakiejś 6-ej godziny, nie było końca rozmowom i opowiadaniom. Statek tymczasem stał pośrodku rzeki. Mirski i wszyscy chłopcy dziękowali inżynierowi za odszukanie ich, wypytywano się też, o ile sprawnie odbyła się jazda powietrzna.

— Wyśmienicie! — odpowiedział Marczyński. — Wie pan? możebyśmy tak teraz kawałek się przejechali dalej powietrzem? Tu, do samego Bereżowa i dalej, takie pustkowie, że doprawdy, nie grozi nam żadne ostrzeliwanie... A jak się ta jazda podobała młodzieży!

— Spodziewam się! — odrzekł Mirski. Jeśli pan uważa, że warto poszybować, to w takim razie spróbujmy. Boję się tylko trochę o motor...

— Wytrzyma! wytrzyma! — zapewniał inżynier.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ

## PONAD LASY I WODY

Warunki jazdy, w jakich znajdowali się nasi znajomi, nie zmuszały ich do szczególniejszego pośpiechu, to też, po długich rozmowach po przybyciu na statek naszej gromadki, sen zmorzył wszystkich i spano do południa.

Pustkowie, w jakim się znajdowano, nie wzbudzało żadnych obaw przed czymkolwiek podejściem, zresztą, jak zawsze w nocy, kolejno czuwała warta z chłopców. Ostatnie trzy godziny czuwania przypadły na Kazika. Siedział też sobie na pomoście i łowił wędką ryby z wielkim powodzeniem, mając nieraz kłopot z wyciąganiem parofuntowych okazów sumów (*Silurus glanis*), łososi (*Salmo salvelinus*), a raz nie mogąc nawet wyciągnąć olbrzymiego, kilkułokciowej długości jesiotra o bardzo wydłużonym pysku (*Acipenser stenorhynchus*), który zerwał sznurek wędki i przepadł naturalnie w głębiach rzeki ku wielkiemu żalowi łowcy.

Ale gdy słońce przed samem południem za-



częło już na dobre dopiekać, znudziła się Kazi-  
kowi ta robota. Dosyć przytem miał już nałapa-  
nych ryb: ze dwadzieścia sztuk, i to nie byle ja-  
kich. Można się niemi było karmić przez tydzień,  
nic więcej nie jedząc nawet... Złożywszy razem  
wszystkie te ryby na pomoście, umocowane na  
sznurkach i przywiązane do słupka, zaszedł do  
kajut obudzić śpiących. Nie bez trudu mu to  
przyszło, bo byli zaspani, jednakże w kwadrans  
czasu już ruch się zrobił, a nawet pomost się  
ożywił. Wylegli nań chłopcy. Józek, Stefan i Sta-  
szek, którzy chcieli przypatrzeć się po raz pierw-  
szy skrzydłom statku, spoczywającym lekko, choć  
ponad wodą, a zajmującym sporą przestrzeń.  
Wiedziano już, że wkrótce „Biały Orzeł“ wzbije  
się znowu w górę z powierzchni rzeki i że będą  
bując obecnie w powietrzu bodajby do samego  
końca Obi. Zosia, Jadzia i Julcia wraz z Kazikiem  
nie mogli się naopowiadać, jakie wrażenie spra-  
wiała jazda w powietrzu, jak w szczególniejszy  
sposób przedstawiał im się wczorajszej nocy wi-  
dok puszczy, nad którą krążono, poszukując za-  
ginionych, których dostrzegli dzięki rozpalonemu  
ognisku.

— I widzieliście nas ze statku? — pytał Staś.

— Wybornie! — odpowiedział Kazik—tylkoście  
byli bardzo mali i skakaliście koło ognia, jak ja-  
kie pchełki, tak się z góry wydawało.

Wszyscy zaczęli się śmiać z tego porównania,  
ale wyrzwał w tej chwili na pomost Mirski z inży-  
nierem.

— Czasby ruszyć w drogę! — rzekł.

— Któż dziś będzie przy motorze?

— Ja będę! — odezwał się Kazik. Oni — tu wskazał na pozostałych chłopców — niech się teraz przyglądają, jak się wzbija i jedzie, bo ja to już wczoraj widziałem.

— A więc spiesz do maszyn! Kto z was nie dostanie zawrotu głowy, może tu zostać na pokładzie, byleby się trzymał dobrze barjerki. Będzie pan, inżynierze, sterował?

— Dlaczegożby nie? — odrzekł Marczyński. Tylko jak się kierować? Czy naprzetaj przez lasy, wprost ku Berezowu, czy trzymając się koryta Obi?

— Hm! — mruknął Mirski w zakłopotaniu. Ponad lasami będzie o jakąś setkę km. bliżej, bo prościej, widoki może jednostajniejsze, ale okolica najzupełniej bezludna. W pobliżu Obi — ciągnął dalej, patrząc na mapę — sporo tu jeszcze wiosek po drodze, skąd nas mogą zobaczyć...

— Coprawda, tu już nie mamy potrzeby wiele sobie robić z tego, że nas kto zobaczy — zauważył Marczyński.

— W takim razie jedźmy wzdłuż koryta Obi. Zawsze to bezpieczniej i wygodniej, można każdej chwili wylądować, a w lasach byłoby to prawie niemożliwe — zdecydował Mirski.

Na pokład wyjrzała w tej chwili Zosia.

— Tatusiu! To zaraz jedziemy? — zapytała. — Czy ja też mogę tu zostać?

— Jeśli masz chęć, to zostań, naturalnie — odparł Mirski. — Tylko się trzymaj.

— A jak jest z balastem? — zapytał przez tubę Mirski Kazika, bo Marczyński w tej chwili zeszedł do kajuty.

— Balast wczoraj był usunięty — odpowiedział Kazik — a inżynier, przewidując, że i dziś będziemy lecieli w powietrzu, nie kazał napełniać zbiornika.

— To tak, inżynierze? — zwrócił się Mirski do powracającego Marczyńskiego. — Jużście wczoraj, słyszę, planowali jazdę powietrzną na dzisiaj?

— Nie zapieram się — odrzekł inżynier — bo przyznam, że mi się już znudziła ta jazda wodą.

— Wierzę. Ale że wam nudno, to już ani wody, ani moja wina...

— Jakto? Nie winuję nikogo...

— A, bo inżynier nie chce wyjść z tego statku. Trzebaby się kiedy wybrać gdzieś na polowanko, jak my...

— A kłoby nas wtedy w puszczy szukał? — roześmiał się Marczyński.

— Możebyśmy z wami nie zbłądzili.

— No to może kiedyś jeszcze się skuszę.

— Trzymam za słowo... — podchwycił Mirski.

Marczyński stanął u steru i dał znak, by motor zaczął działać.

Zamigotała i zaszumiła śmiga. Statek drgnął i zaczął ślizgać się po wodzie z coraz większą szybkością, nieznacznie podnosząc się od przodu. Za chwilę unosił się już w powietrzu, coraz wyżej i wyżej, choć według zamiaru wszystkich miał niezbyt wysoko bujać, najwyżej na wysokości dwustu metrów nad wierzchołkami drzew.



Mijano bez przerwy to gąszcze leśne, to większe lub mniejsze polany, to drobne rzeczki, spływające do rzeki, wzdłuż której szybowano. Sama ona dość kręciła, że z góry jednak skręty jej znać było wyraźnie na znacznej przestrzeni, omijano je i, skracając, pędzono w prostej mniej więcej linii, kierując się ku olbrzymiemu korytu Obi, które ukazało się wkrótce na widnokręgu jak wielka szkląca się płyta lustrzana. Choć wszystkim jazda ta wydawała się powolną, w istocie była ona szybsza niż pociągu pospiesznego, choć motor puszczono jeszcze nie na największą prędkość. Mirski i Marczyński obawiali się wyczerpywać siłę motoru, słusznie chcąc uniknąć ewentualnej katastrofy, tem gorszej, że grożącej w najlepszym razie zwichnięciem całego planu ucieczki z obczyzny. Jazdę powietrzem uważano za pewien zbytek, który zastoso­wywać się winno tylko w razie konieczności. Jeszcze w Tomsku, gdzie czyniono próby ze statkiem, głównie ćwiczone się w jeździe na wodzie i ślizganiu się po powierzchni wód. Ze względów zrozumiałych nie przyznawano się tam wtedy nawet do tego, że motor ma siłę uniesienia statku nawet w powietrze. Wzlot statku w powietrze był tylko obliczony przez inżyniera i wykonany pierwszy raz właśnie ubiegłej nocy, gdy przyszło poszukiwać zagubionych towarzyszy podróży. Ponieważ wzlot ten okazał się nadspodziewanie udatny i łatwy, inżynier dążył też do wypróbowania statku raz jeszcze przy Mirskim. I jechano teraz właśnie długi czas w mil-

czeniu, podziwiając sprawność i równość lotu. Marczyński z całą swobodą, jakby na wodzie, kierował statkiem, a ten unosił się lekko, posłuszny na każde jego skinienie. Silny wiatr w przeciwnym kierunku utrudniał zresztą rozmowę. Chłopcy z radością spoglądali dokoła, podziwiając bezmiar puszczy, nad którą się unoszono, patrząc jak na olbrzymią mapę. Zosi Mirskiej wiatr rozwiał włosy i stała, trzymając się oburącz barjerki, zapatrzona przed siebie z rozpromienioną twarzą.

Widoki się zmieniły, gdy dotarli do Obi. Olbrzymia rzeka zmałała nieco z tej wysokości, z jakiej na nią patrzono. Urwiste jej prawe brzegi tak zmałyły, że ledwie się różniły od przeciwnych, płaskich i piaszczystych wybrzeży, niknących gdzieś daleko na zachodzie. Gdzieniedzie widniały wysepki piaszczyste, drobne, przybrzeżne, dzieniedzie całe wyspy, porośłe borem odwiecznym. W oddali, tu i ówdzie, co jakiś czas spstrzegać się też dały nędzne nadbrzeżne wioski, których mieszkańcy ze zdumieniem zapewne wpatrywać się musieli w nieznanego dotąd olbrzymiego ptaka, który szumem lotu zdaleka zwiastował swoje przybycie w ich strony.

Tymczasem w kajucie Jadzia i Julcia przygotowywały obiad. Przyniesione, jako trofea Józka — niedźwiedzie łapy i część ryb, złowionych przez Kazika — wchodziły w menu dzisiejsze, jako główne danie. Gdy już nakryto stół, Jadzia wyrzała na pomost, prosząc wszystkich na obiad. Naturalnie inżynier, jako sternik i Kazik przy motorze, nie



mogli się oderwać od czynności. Bez nich też zeszedli wszyscy do kajuty. „Biały Orzeł“ szybował dalej bez przerwy. Przed wieczorem dosięgnął ujść rzeki Endyr, płynącej po bagnistej i zalesionej lewobrzeżnej równinie.

Wobec zbliżającego się wieczoru trzeba było pomyśleć o opuszczeniu się gdziekolwiek na wodę. Aby nie trafić na jakąś pobliską wioskę, skierowano statek bardziej na zachód, nad lewą wielką „pratokę“ Ōbi, oddaloną od głównej o jakieś 20 km. Tu, w pustkowiu, wśród głuszy leśnej brzegów, „Biały Orzeł“ stopniowo zniżając swój lot, padł wreszcie na wodę i, ślizgając się po niej jakiś czas jeszcze, osiadł wkońcu na nurcie, zrzucając kotwicę pośrodku i tak, jak ostatniej nocy, nie zwiłając narazie skrzydeł.

Przy wieczerzy, spożywanej w komplecie przez wszystkich, Mirski, zwracając się do inżyniera, rzekł:

— Możebyśmy tak jutro zapolowali sobie trochę?

— Na cóżby pan chciał tutaj polować?— spytał Marczyński.

— Ależ, panie kochany! Tu raj dla myśliwych w tych błotach! Toż tu teraz przecie przedewszystkiem miliony ptactwa najrozmaitszego gnieździ się wszędzie! O ile wiem, nie brak tu zresztą nawet najrzadszych zwierząt, dostarczających futerek, nie licząc niedźwiedzi, łosi i t. p.

— Tak, w tych stronach jeszcze najobficiej występują między innymi zwierzętami i bobry



(Castor fiber), lubiące właśnie takie zarosłe niedostępne bagniska — dorzucił Tadeusz.

— Taby warto jutro od rana urządzić wyprawę myśliwską — wtrącił Stefan.

— Właśnie, myślę urządzić — zdecydował Mirski.

Po dłuższej naradzie postanowiono, że nazajutrz wzbiją się w górę odszukać najbardziej głucho pustkowiec leśny, osiadać w nich gdziekolwiek na rzece, skąd dopiero pieszo pójda szukać myśliwskich przygód. Największa trudność była z ustaleniem, kto pójdzie, a kto zostanie gospodarzyć na statku. Jedną Jadzia sama ofiarowała się zostać. Z chłopców wszyscy chcieli brać udział w wyprawie. Ostatecznie Mirski zdecydował, że na „Białym Orle“ prócz Jadzi zostanie i Staś. Temu ostatniemu było bardzo przykro, ale cóż miał robić?

O świcie jeszcze statek wzbił się w powietrze i zaczął krążyć nad wielkim obszarem jednolitej puszczy, rozłożonej tu na dość bagnistych obszarach lewego brzegu Obi, a zajmującej przestrzeń co najmniej 20 tysięcy km. kwadratowych. Na wielkiej tej przestrzeni znajdowało się może ze dwie, czy trzy wioski wogulskie\*). Mirski z wysokości paruset metrów, na jakie wzbił się „Biały Orzeł“, lornetował okolicę, wypatrując suchszego terenu, nie uśmiechało się bowiem nikomu zbyt nie chodzenie po bagnach. Gdy już dostatecznie

---

\*) Wogulowie—lud tamtych stron, pokrewny Ostjakom.

została zlustrowana w ten sposób część puszczy, najbliższa Obi, zdecydowano opuścić się na rzekę. Że zaś w tych stronach nie brakowało szeregu dopływów Obi, dostatecznie dużych, zwłaszcza w obecnej porze, by „Orzeł“ mógł po nich szybować, nim osiadzie zupełnie, wybrano jeden z większych i za chwilę obniżono lot statku. Zwolna „Biały Orzeł“ opuszczał się coraz niżej, wkońcu siadł na rzece w miejscu, oddalonem od Obi na jakieś pół setki kilometrów.

Bezimienna rzeka w tem miejscu miała szerokości ze 200 m. Od północy lewe brzegi były wyniesione na kilka metrów, piaszczyste, strome, zrzadka zarosłe roślinnością.

Gdy statek już osiadł na wodzie, zarzucono kotwicę, więc stanął na środku rzeki. Ponieważ wszyscy do drogi byli przygotowani, można było zaraz wysiadać na brzeg, ale Mirski za poradą inżyniera postanowił pierwszy wrócić statkowi wygląd statku wodnego.

— Już nie będziemy lecieć, jak dotąd w powietrzu — rzekł. — Przyjemność tę trzeba zachować na później, gdy będziemy mieli może gorsze warunki. Boję się nadużywać latania, bo może zajść jeszcze jaka katastrofa i wtedy znaleźlibyśmy się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, któraby może zwichnęła zupełnie nasz plan ucieczki.

Zakrzątnięto się raźnie koło zwinięcia skrzydeł, zdjęcia śmigi, wreszcie obalastowania statku, by się nieco silniej pogrążył w wodę. To ostatnie było już rzeczą najłatwiejszą, bo żadnej pracy nie



wymagało, prócz otworzenia specjalnych kurków od basenu, znajdującego się na dnie łodzi. Wszystkie na statku wróciło w przeciągu pół godziny do pierwotnego wyglądu. „Biały Orzeł“ teraz ledwo wystawał swym pomostem nad wodę.

Za chwilę śruba zawarczała, statek podpłynął ku brzegom. Nasi myśliwi wyskoczyli na piaszczyste urwisko. Na statku pozostała tylko Jadzia ze Stasiem. Ostatni na odchodnym dostał od Mirskiego i Marczyńskiego stosowne instrukcje, jako tymczasowy kapitan statku, odpowiedzialny za jego całość, a również bezpieczeństwo Jadzi.

— O nas się tam nie martwcie! — rzekł Staś odchodzącym, — Byleby was znowu jaki miś nie napadł. A jak na noc nie wrócić, to jadę z Jadzią sam do Polski.

— Szczęśliwej drogi i powodzenia! — krzyczała Jadzia, powiewając chusteczką za odchodzącymi, gdy już Staszek, wszedłszy do maszyn, zpowrotem skierował statek na środek rzeki dla bezpieczeństwa.

## XXIX

### NA BOBRY.

Gromadka naszych myśliwych tymczasem ruszyła w głąb boru. Pierwszy szedł Mirski, za nim co kilka kroków: Zosia, Julcia, Kazik, Józek i Stefan. Zamykali pochód Marczyński z Tadeuszem. Wszys-



cy byli uzbrojeni w sztucery, z którymi polowano jeszcze w Kargasoku, mieli tym razem przytem browningi ze sobą i noże myśliwskie, w plecakach zaś spory zapasik żywności, wziętej ze statku. Prócz tego zaopatrzone się w krótkie siekierki do rąbania drzew na ognisko.

Drogi przez las nie było. Początkowo drzewa były dość rzadkie: limby, jodły, modrzewie i sosny, rozrzucone bezładnie, z niezbyt gęstem podszyciem. W miarę oddalania się na zachód od rzeki puszcza stawała się coraz głuchszą i dzikszą. Gąszcz zarośli tamował przejście, z gałęzi zwieszały się sploty olbrzymiego porostu brodatego (*Usnea barbata*), jak ljanya w puszczech zwrotnikowych, tylko, że nieoplatające drzew. W zupełnej ciszy krok w krok za Mirskim postępowali wszyscy z palcami na cynglach sztucerców, spodziewając się przypadkowego spotkania z jakąś grubszą zwierzyną. Ze dwie godziny już trwał taki pochód. Puszcza stawała się coraz wilgotniejszą. Powoli zaczęto napotykać kępy brzozowoosikowe, tworzące jakby wysepki wśród iglastego boru. Kępy te, podszyte sitowiem i mchami były coraz większe i przechodziły w polany, zarosłe torfowcem i innymi roślinami bagnistymi.

Pochód przez te miejsca stał się trudny i nawet niebezpieczny. Początkowo, póki torfowiska były jeszcze na terenie zarosłym drzewami, chodzenie po nich nie budziło obawy. Później jednak pokazały się spore jeziorka, zarosłe trzcina i sitowiami, otoczone zwartą łąką podmokłych torfo-

wisk. Gromadka nasza zatrzymała się. Iść dalej, czy nie? Mirski wysunął się naprzód kilkanaście kroków, gdy wtem, pozostali, zobaczyli z przerażeniem i zdumieniem, jak pod jego ciężarem torfowisko wygięło się na jakieś pół metra, tworząc półkulistą kotlinkę. Posuwanie się naprzód w tych warunkach było niemożliwe.

Rada w radę, stanęło na tem, że mokradła te trzeba okrążyć.

— Prawdopodobnie musi tu być w pobliżu rzeka, przez którą i tak nie moglibyśmy przejść — zauważył Tadeusz.

Okrążenie mokradeł trwało z półtorej godziny. Po drodze płoszono liczne tu ptactwo, gnieźdzące się masowo na moczarach. Z pod nóg rwały się dzikie kaczki i gęsi, jakieś nury, czajki i najrozmaitsze inne gatunki, nieznanne naszym podróżnikom, a nawet wspaniałe łabędzie (*Cygnus musicus*), przy spłoszeniu wydające głośnie okrzyki. Mirski do tych wszystkich „drobiazgów“ nie pozwolił strzelać, mówiąc, że jeszcze będzie na to czas, a tymczasem spłoszyłoby się grubszą zwierzynę. I z wielkim żalem nawet Zosia z Julcią, w których też zbudziła się żyłka myśliwska, musiały przechodzić koło tego odlatującego ptactwa bez wystrzału, nieraz mijać na ziemi, wśród kęp sitowia i mchu uwite gniazda, pełne jaj tych ptaków. Wreszcie doszli nad brzeg jakiejś niewielkiej rzeczki. Brzegiem tej nieznannej na mapie rzeczki posuwano się w dalszym ciągu naprzód, w jej górę.



Płosząc i tu mnóstwo ptactwa, kiedy już zrobiono ze dwa kilometry, Zosia i Julcia, najbardziej pomęczone takim forsownym marszem, zaproponowały odpoczynek, tembardziej, że zbliżało się południe i czas było na posiłek.

Szyk „gęsiego“ naturalnie zaraz się załamał. Usadowiono się nad brzegiem rzeczki i zaczęto rozpałać ognisko. Mirski oddalił się, idąc w dalszym ciągu wzdłuż rzeki, aż znikł z oczu naszej gromadce.

Tymczasem buchnęło nad rzeką ognisko. Przy pomocy drutu na trójnogu z gałęzi uczepiono czajnik, w którym wkrótce zaczęła się gotować woda na herbatę. Zabrano się do zapasów i zaczęto gawędzić.

— Tu dopiero prawdziwa puszcza pierwotna! — rzekł inżynier. W tem miejscu, gdzie jesteśmy, rękę, jeszcze żadna ludzka noga nie postąpiła, w każdym razie żaden cywilizowany człowiek tu nie zaglądał.

— Co tu ptactwa w tych błotach! Toż tu możnaby bez trudu zrobić zapasy jedzenia na całe lata i dla setek ludzi! — dodał Kazik.

— A z tych jaj ptasich toby nam jajeczniczy starczyło na całe życie chyba! — dorzuciła Julcia.

— O ileby się nie popsuly... — zauważył Stefan, wywołując śmiech.

— A gdzie pan Mirski? — zapytał nagle Marczyński.

Wszyscy dopiero teraz zauważyli brak Mirskiego. Nieobecność ta jednak nie zdziwiła na ra-



zie nikogo i dopiero zaczęła trochę niepokoić, gdy przeciągnęła się ponad godzinę.

— Kto widział w którą stronę poszedł pan Mirski? — zapytał Tadeusz.

— W górę rzeki — odpowiedziała Zosia. — Widziałam, jak odchodził prosto.

— Pójdę w tę stronę zobaczyć, czy się co nie stało. Przecież chyba nie zabłądził.

— To i ja pójdę szukać tatusia — odezwała się Zosia.

Tadeusz i Zosia, wzięwszy sztucery, zaczęli powoli i ostrożnie posuwać się wzdłuż rzeki naprzód. Zosia szła pierwsza. Nie mówiono nic do siebie. Po upływie jednak już dziesięciu minut dał się słyszeć szelest krzaków, Tadeusz chwycił silniej sztucer w ręce i pociągnął Zosię do tyłu, by sobą zasłonić. Z pośród gąszczów ukazał się Mirski. Szedł rażno, z miną, zwiastującą jakąś nowinę, i zdziwił się niemało, zobaczywszy Zosię z Tadeuszem.

— A wy tu skąd? — zapytał.

— Idziemy po tatusia, gdyż byliśmy niespokojni, czy się co nie stało — odpowiedziała Zosia.

— Ależ! — machnął ręką Mirski. — Nie jest tu znów tak niebezpiecznie, to nie dżungle azjatyckie, ani selwasy Brazylii. Tygrys mnie tu lub jaguar nie napadnie, a jadowitych węzów niema. Poszedłem szukać czegoś ciekawszego, no i znalazłem... Wracam właśnie wam to powiedzieć.

— Co pan osobliwego znalazł? — zapytał Tadeusz.

— Bobry! Całą kolonję bobrów podszedłem.

— Naprawdę?! Warto tam zajrzeć. O ile wiem, nawet tu bobry są już rzadkością — rzekł Tadeusz.

— A tak — odpowiedział Mirski. — Właśnie dlatego tak daleko was wiodłem, bo wiedziałem, że można będzie tutaj spotkać te gryzonie. Pójdziecie ze mną wszyscy tam i może kilka sztuk upolujemy.

— Warto by — potwierdził Tadeusz — ale czy jest ich tam tak dużo?

— Sporo. Widziałem samych gniazd z dziesięć sztuk — odrzekł Mirski. — Daleko jednak jeszcze do naszego obozu? Bo straciłem rachubę przestrzeżenia...

— Z dziesięć minut drogi — wyjaśniła Zosia.

— To zostańcie tutaj, a ja pójde po pozostałych — mówił Mirski. — Poczóż macie dwa razy przebywać tę samą drogę?

— To lepiej niech pan się nie trudzi, a ja sprowadzę wszystkich — odezwał się Tadeusz i szybkim krokiem poszedł w stronę obozu.

W pół godziny później całe towarzystwo złączyło się z Mirskim, który, nakazawszy zupełne milczenie i naśladowanie go w sposobie chodzenia, ruszył naprzód, prowadząc ku odnalezionemu siedlisku bobrów.

Rzeka, wijąca się coraz bardziej wśród gąszczów, naraz ukazała się, rozszerzona w spore jezioro. Mirski zatrzymał się i, wskazując na miejsce, gdzie rozszerzyła się rzeka, odezwał się po cichu:



— Patrzcie! Bobry tu zbudowały tamę z drzewa, gałęzi i ziemi, aby podnieść poziom rzeki i rozszerzyć ją w jeziorko. A te na wodzie kopuły, widzicie, to ich budowle nawodne, zwane gonami. Są to ich domki, mające wewnątrz jedną komorę mieszkalną i drugą na zapasy żywności. Podejdźmy bliżej, to zobaczymy same zwierzątka, jak pracują, gryząc drzewo i znosząc je do tamy i swych budowli.

Cała gromadka ruszyła powoli i cichutko ku jeziorku, chowając się za krzaki i drzewa, żeby przypadkiem nie spłoszyć tych czujnych zwierząt. Gdy już zbliżono się na tyle, że widać było całą przestrzeń jeziorka, a i drugie nieco dalej dawało się spostrzec, pierwsza Julcia zauważyła, że na jednej z owych kopuł, wystających z wody, siedzi bóbr, widać na czatach, bo rozgląda się uważnie i nadśluhuje na wszystkie strony. W paru miejscach woda na jeziorku mocno zaczęła się falować, ukazując co chwila łebki pływających bobrów, popychających trzymane w pysku kawałki drewna i gałązki. Po drugiej stronie widać też było kilka tych zwierzątek, gryzących zawzięcie drzewa, a nawet pnie wielkich limb, sterczących w pobliżu wody.

— Co one robią? — zdziwił się Józek — chcą przegryźć drzewo!

— I przegryzą, zobaczysz — odpowiedział Tadeusz, umyślnie tak podcinają, by je obalić w wodę, pociąć potem na drobniejsze kawałki i z nich budować swoje szopy.



— Żeby tak dostać się do tych budowli — rzekł Marczyński — muszą być ciekawie wewnątrz utworzone.

Na jeziorku było coś sześć owych budowli, a parę jeszcze na jeziorku drugim, mniej dobrze widocznem z miejsca obserwacyjnego naszych podróźnych.

— Szkoda płoszyć te zwierzątka wystrzałem — rzekł Stefan. — Nawet gdyby się zastrzeliło które, to jakże wydobyć je z wody?

— Wartoby jednak na pamiątkę zdobyć choć jedną skórkę bobra — odezwał się inżynier, którego zwierzątka te szczególnie zainteresowały.

— Można by zastrzelić parę sztuk, jeżeli odpowiednio ich podejdziemy, ale ktoś z nas będzie musiał wejść do wody powyciągać trupy — rzekł Mirski.

— Ja pływam dobrze — odezwał się Stefan.

— I ja nienajgorzej — dorzucił Kazik.

— No to wystarczy — rzekł Mirski. — Teraz uważajcie tylko wszyscy. Niech każdy ustawi się gdzieś za drzewami w ten sposób, żeby mógł wziąć na cel jednego bobra. Na dany znak przezemnie wypalimy wszyscy jednocześnie. Ktoś przecie nie spudłuje, to i któreś ze zwierzątek upolujemy.

Nasi myśliwi ostrożnie i pocichutku zbliżyli się jeszcze nieco do jeziorka i według wskazówek Mirskiego zaczęli celować do poszczególnych bobrów. Zosia, która nie pierwszy raz już w życiu polowała, choć pierwszy raz na bobry, wybrała tego, który na środku jeziorka stał na czatach,

siedząc na jednej z owych kopuł, sterczących nad wodą. Gdy już wszyscy byli gotowi do strzału, Mirski podniósł swój sztucer do oczu. To było znakiem dla wszystkich. Huknęło osiem wystrzałów prawie w jednym momencie. Osiem bobrów trafionych strzałami, zostało na placu, a raczej w wodzie, brocząc krwią. Reszta zniknęła pod wodą, ukrywając się we wnętrzu gonów. Stary, najdoświadczeńszy bóbr, w którego celowała Zosia, nie uszedł też zagłady. Spadł z daszku gony do wody, trafiony celnie.

— Teraz czempredziej w wodę! — zakomenderował Mirski.

Zosia i Julcia odeszły od brzegów. Stefan i Kazik, a za ich przykładem i Józek, zaczęli szybko rzucać ubranie i za chwilę płynęli już do miejsc, gdzie na zabarwionej od posoki wodzie unosiły się ciała zabitych zwierząt. Znalaziono jednak tylko pięć. Trzy bobry widać zostały tylko ranione i zdołały się gdzieś ukryć. Przyciągnięto zabite bobry do brzegu, opłótkano w wodzie i rozłożono, aby obeschły. Siwo-brunatne ich piękne, gęste futerka błyszcząły w słońcu wspaniale. Podziwiano ogony. Szerokie, poziomo postawione, pokryte łuskami, innymi jednak, niż u ryb, bo tworzy je powierzchnowa, zrogowaciała warstwa skóry, służą wybornie za ster przy pływaniu. Pływanie bobrów nie jest tak lekkim jednak, jak np. wydr, bo nie mają błon międzypalczastych na wszystkich łapach, jedynie na tylnych. Za to brak błon na przednich łapach u bobrów pozwala tym zwie-



rzętom używać tych kończyn z wielkiem powodzeniem przy owych kunsztownych ich budowlach domków mieszkalnych i podziemnych korytarzy.

Za chwilę Mirski myśliwskim nożem rozplatał brzuchy bobrów, poobcinał ogony i powykrawał posiadane przez nich u nasady ogona szczególniejsze gruczoły, wydzielające tłustawą ciecz o przenikliwym specyficznym zapachu.

— Pocóż - to tatuś odcina im ogony? — zapytała Zosia. — Czy inaczej skóra nie da się zdjąć?

— Da się zdjąć, ale ogony te zabierzemy... Trzeba je będzie spróbować usmażyć, bo podobno są nadzwyczaj smaczne.

— A to na co pan bierze? — rzekł Józek, przypatrując się ciekawie dalszej operacji.

— Ta ciecz w tych pęcherzykach, to bardzo drogie i rzadkie lekarstwo na niektóre choroby, nazywa się strój bobrowy — odpowiedział Mirski.

Tadeusz, Marczyński i Stefan za przykładem Mirskiego zaczęli ściągać ostrożnie z bobrów skórki, nadrzynając delikatnie od środka ścięgna mięsne. W godzinę sprawiono się z obciążeniem futerek. Przez cały ten czas już ani jedno zwierzątko nie pokazało się na powierzchni jeziora. Spłoszone bobry nieprędko mają zwyczaj ukazywać się, często też opuszczają nawet to miejsce, gdzie je spotkało nieszczęście.

Zabrawszy futerka i posiliwszy się raz jeszcze, zapijając jedzenie herbata, sporządzoną przez dziewczynki podczas ściągania skór z bobrów, nasi myśliwi ruszyli z powrotem tą samą drogą. Pozna-



wano ją łatwo po wydeptanym przez siebie szlaku i po znakach, które miejscami zostawiano przez łamanie gałęzi. Gdy dotarto do trzęsawisk, pełnych gniazd ptasich, zastrzelono kilkanaście dzikich kaczek różnych gatunków (*Anas acuta*, *A. strepera*, *A. penelope*, *A. boschas* i t. p.) i parę gęsi dzikich, między którymi Tadeusz rozpoznał gatunki: gęsi szarej (*Anser cinereus*), zbożowej (*A. segetum*) i czerwonoszyjki (*A. ruficollis*). Do kilku spłoszonych łabędzi nie strzelano wcale, jak również do innego ptactwa, bo miano na widoku tylko zapatrzenie się w mięso na drogę.

Obładowani jak tragarze, ale mimo to zadowoleni z siebie jak nigdy, myśliwi wracali śpiesznie do statku. Od rana panująca parność w powietrzu zapowiadała zmianę pogody. Jakoż pod koniec dnia, gdy już zbliżano się do rzeki, na której oczekiwał „Biały Orzeł“, zaczął padać deszcz. Zmoknięci i zziębnięci, zmęczeni i głodni, mimo to w najlepszych humorach, koło siódmej wieczorem stanęli nad brzegiem rzeki. „Biały Orzeł“ na świstek Stefana podpłynął zaraz i zabrał w gościnne progi aluminiowej kajuty całą gromadkę z jej myśliwskimi bogatymi trofeami.

XXX

## DO BEREZOWA.

— Jakżeście przepędzili dzień wczorajszy? — pytał Mirski Jadzi i Stasia nazajutrz, gdy znaleźli się wszyscy przy śniadaniu.

— Nie nudziło się wam? — dorzuciła pytanie Zosia.

— Ani trochę! — odpowiedziała Jadzia. — Staś łapał cały dzień ryby, pomagałam mu, potem rozmawialiśmy i bawiliśmy się jak małe dzieci.

— Nie chciała mnie wcale słuchać — objaśnił Staś — mnie, kapitana!

— Ktoby tam słuchał takich kapitanów, co jeszcze wąsów nie mają — odcięła się Zosia.

— Bardzo proszę... Trzeba ci wiedzieć, że prawdziwi marynarze, ci, zwani „wilkami morskimi“, zwykle nie mają wąsów — zaczął dowodzić Staszek.

— Ale mieli kiedyś z pewnością, bo im wyrosły, nim zgolili — zauważyła Zosia.

— A ja będę miał niedługo i nie będę golił — z triumfem zakończył Staś. — Zresztą, co tam z wami o tem gadać!...

— No, moi państwo, po śniadaniu zaraz ruszamy — odezwał się inżynier. — Kto tam zgłasza swój dyżur do maszyn i steru?

— Wszyscy po kolei! — odezwał się Tadeusz.

I za chwilę motorówka ruszyła, zawracając ku wschodowi, do Obi. Ponieważ padał deszcz, sterowano z kajuty maszyn, wyglądając przez oszkloną wystawkę na pomoście.

W kajucie tymczasem oglądano z podziwem jeszcze raz skóry bobrów, dziewczęta zaś skubały pierze z upolowanych gęsi i kaczek, opowiadając Jadzi swoje przygody z wyprawy myśliwskiej.

Chłopcy, chociaż byli radzi z wyprawy, za-

zdrościli trochę Staszкови, że choć przez kilkanaście godzin był panem statku, spytali go jednak, czy się nie bał, zostając sam w tem pustkowiu.

— Jabym się miał bać, będąc na „Białym Orle“? Też pomysł! — odparł z oburzeniem.

— No, a cobyś zrobił, gdyby cię kto napadł? — pytał Stefan.

— A nie mam sztucera? Przecież Jadzia teżby strzelała...

— No tak, ale gdyby napastników było kilkunastu i też byli na łodzi motorowej? — rzekł Kazik.

— Ano, tobym się zamknął szczelnie i uciekł, przecieży mnie na żadnej innej łodzi nie dogonili... — rzekł Staś.

— A tobyś nas urządził! — odezwała się Zosia. — Do czegożbyśmy wrócili wtedy z polowania?!

— Nie bójcie się... Za jakiś czas wróciłbym. Będąc ścigany, uciekłbym, ukrył się gdziekolwiek w gąszczach nadbrzeżnych, a gdyby mię już ominięto nie spostrzeżonego, zawróciłbym w to samo miejsce po was...

— Nie martwcie się o Stacha! — rzekł Mirski, przysłuchujący się dotąd w milczeniu rozmowie młodzieży. — Przedewszystkiem w tem odludziu i o tej porze wykluczone jest znajdowanie się jakichkolwiek ludzi, prócz nas. Po drugie, istotnie, cóżby zrobili naszej motorówce? Za dobry ma ona motor, a Staś nauczył się już chyba z nim obchodzić.



Ponieważ „Biały Orzeł“ mknął teraz całą niemal siłą swej śruby, kierowany wprawną ręką inżyniera Marczyńskiego, niezadługo znaleziono się w łózysku Obi. Wyglądający obok przez okienko Kazik naraz krzyknął:

— Parowiec przed nami!

Istotnie, wielki parowiec o podwójnym piętrowym pokładzie sunął poważnie po rzece, kierując się ku północy, w tym samym kierunku, co nasi podróżni. Marczyński, powstrzymawszy rozpęd statku i oddawszy ster Kazikowi, wyszedł z kajuty maszynowej i, przerywając rozmowę zgromadzonym, rzekł do Mirskiego:

— Trzeba wyrzeć na pokład, jakiś statek przed nami.

Wiadomość ta zelektryzowała wszystkich. Rzucono się do schodków, chcąc wyrzeć, ale padający deszcz wnet spłoszył wychylone głowy. Wyszedł tylko Mirski z Marczyńskim, zarzuciwszy na głowy kaptury od gumowych płaszczy.

Przypatrzwszy się statkowi, wobec tego, że statek ten zmierzał do Berezowa zapewne, postanowili narazie dążyć za nim w przyzwoitej odległości, a przy pierwszym napotkanem rozwidleniu rzeki statek prześcignąć. Okazja taka bardzo prędko się nadarzyła. Napotkano wkrótce sporą wyspę. Parowiec skręcił w lewe koryto, „Biały Orzeł“, biorąc całą siłę motoru, ruszył korytem prawem. Naturalnie — wyprzedzić statek było rzeczą dla naszej motorówki nietrudną. I dalej też nasi podróżni, wobec wciąż padającego deszczu mknęli

nieprzerwanie przed siebie, nie ciekawi nawet oglądać prawego wybrzeża rzeki, bliżej którego się trzymano; lewe ginęło gdzieś na widnokrzęgu o jakieś dziesięć kilometrów, roztopione we mgle.

Postanowiono nie zatrzymywać się, aż gdzieś pod Berezowem. U steru i maszyn zmieniano się kolejno co dwie godziny. Wobec ciągłego deszczu i trudności orjentowania się w szerokim, ale wciąż rozgałęziającem się korycie rzeki, trzeba było zwolnić bieg znacznie. To też pod wieczór „Orzeł Biały“ zatrzymał się u stóp wyniosłego stromego urwiska po prawej stronie Obi. Widać było zdaleka w tem miejscu jakąś okazalszą wioskę z cerkwią. Nasi podróżni nie wiedzieli dokładnie, gdzie się znajdują, trzeba było zasięgnąć języka. Mirski z Tadeuszem, okrywszy się szczelnie płaszczami, wyszli na brzeg i zaczęli po starych zniszczonych drewnianych schodach drapać się na górę.

Ledwie dotarli na górę, spostrzegli jakiegoś człowieka, przechodzącego szybko przez ulicę.

— Hej! — krzyknął Tadeusz i pospieszył z Mirskim za nieznanym.

Nieznanomy wszedł do domu. Mirski z Tadeuszem zapukali do tego samego domostwa i za chwilę weszli do sporej sieni i otworzyli drzwi do izby.

W dużej izbie przy piecu jakaś baba gotowała wieczerzę. Na ziemi bawiło się kilkoro drobnych dzieci. Ponieważ było już szarawo, nie spostrzegła odrazu przybyłych.



Tadeusz pierwszy ją pozdrowił i zapytał, jak się nazywa to sióło, objaśniając, że dopiero co przybyli z Tobolska, po ciemku nie mogą rozpoznać miejscowości.

— Kondinskoje — odrzekła. Proszę siadać, zaraz będziemy wieszerać, tylko mąż wróci z podwórza.

Mirski ku zdumieniu gościnnej gospodyni podziękował i pospieszył do motorówki, gdzie u steru oczekiwał inżynier.

W kajucie rozpostarto mapę i stwierdzono, że tylko 200 km. jeszcze zostało do Berezowa. Gdy statek odbił od brzegów, by stanąć na środku koryta na kotwicy, Tadeusz zajrzał do książki, żeby się coś dowiedzieć o tej wsi. Okazało się, że wieś Kondinskoje to jedna z większych i ważniejszych w tej krainie, zwłaszcza ze względu na swój charakter centrum oświatowego. Tu bowiem już w r. 1656 na prośbę ostjackich książąt Aleczewych, chcących rozkrzewić chrześcijaństwo wśród ludności miejscowej, sprowadzono z Berezowa mnichów, zakładając klasztor, który trwał do r. 1832. W 58 lat później założono tu żeński klasztor, który się podjął w dalszym ciągu misji nawracania Ostjaków. Założono tu też szkołę dla dzieci ostjackich, a kierownictwo szkoły nawet zdobyło się na ułożenie gramatyki języka ostjackiego.

Na drugi dzień zrana ruszono dalej. Deszcz już nie padał i zaczęło się robić nawet słonecznie. Ob', w tem miejscu usiana licznymi ławicami piasku, w późniejszej porze roku zazwyczaj bę-



dąciami najlepszym terenem połowu ryb, miała wciąż po prawej stronie wysoki stromy brzeg, na którym spostrzegano co kilkanaście km. rybackie wioski. Na wysokości 63° szerokości północnej, koło wsi Czemaszewskoje, Ob', do tej pory rozwidlająca się nieustannie w ramach kotliny o szerokości najwyżej 20 km., teraz rozpadła się na dwa główne koryta, t. zw. Wielką i Małą Ob', o szerokości łącznej z wyspami między niemi — przeszło 50 km. Do tego olbrzymiego łożyska, w danej chwili całkowicie niemal zalanego wodą, należy dodać znaczny jeszcze obszar koryta rzeki Sośwy północnej, która, płynąc z Uralu na przestrzeni przeszło 100 km., również od 63° równoleżnika płynie równolegle do Obi po jej zachodniej stronie.

Ponieważ nasi znajomi chcieli zobaczyć miasteczko Berezów, leżące nie nad Małą Obią nawet, lecz prawie nad ujściem do Obi wspomnianej rzeki Sośwy, jazda obecnie przez labirynt wysp i wysepek na rozlanych obszarach obydwu Obi i Sośwy, była nielada kłopotem. Nie spieszo no też, a przy sterze siedział niemal ciągle albo Mirski, albo Marczyński, albo Tadeusz. Chłopcom obawiano się powierzać tak odpowiedzialnej w danym razie czynności.

W pobliżu rzeki Kazymu, płynącej od wschodu, z głębi tundry, zamieszkałej przez Ostjaków, „Biały Orzeł“ skręcił w jedną z „pratok“ na północny zachód, kierując się ku Berezowu. Wynioślejsze miejsca wysepek, niezalane wodą, pokryte zielo-

nością, służyły teraz za miejsce odpoczynku dla załogi statku, znużonej ciasnotą kajuty. Odpoczywano na nich, rozkoszując się zielonością trawy i krzewów, oraz ciepłem słońca.

Zbliżał się wieczór, gdy na zachodnim widokręgu, na tle lasu z jednej strony, a tundry z drugiej — ukazał się wreszcie Berezów, położony na trzech pagórkach lewego brzegu Sośwy i wpadającej tu do niej rzeki Wogulki.

Statek zatrzymał się w zakątku między paroma mniejszemi wysepkami, stając na kotwicy. Do miasteczka postanowiono udać się nazajutrz rano.

Wieczór nasi podróżni spędzili na rozmowie o mieście, które miano jutro zwiedzać. Tadeusz, odczytany najbardziej, zaczął przy wieczerzy opowiadać:

— Trzeba wam wiedzieć, że ten Berezów został założony w roku 1593 przez wojewodę Trachaniotowa w pobliżu dawnego ostjackiego miasteczka, zwanego Sumgut - Woż, co znaczy właściwie — Brzozowe Miasteczko — i miał służyć od początku za punkt oparcia dla Moskali, starających się zawładnąć tutejszym krajem. Było to zadanie dość trudne, gdyż wojowniczy wówczas Wogulowie i Ostjacy długi czas walczyli o swą niepodległość.

— A czy tu zsyłano na osiedlenie? — zapytał Stefan.

— A jakże — ciągnął dalej Tadeusz — już w r. 1724 car Piotr Wielki kazał zbudować twierdzę dla osadzania w niej przestępców politycznych.



Jednym z pierwszych zesłańców był tu książę Mięsznikow z synem i dwiema córkami, z których starsza była narzeczoną późniejszego cara Piotra II; później książę Dołgorukij i hrabia Osterman. Po spaleniu się w r. 1806 tej turmy nie odbudowywano jej, więźniów zaś osiedlano w samem mieście.

— Niełatwo było stąd uciec, zwłaszcza w owe czasy...— zauważył inżynier.

— I dzisiaj nie tak łatwo zarówno uciec, jak i tu się dostać, choćby się było wolnym—dorzucił Mirski.

— Chciałbym tu być jednak zimą — odezwał się Staszek.

— Dlaczego? Czy tu dużo zimniej, niż było w Kargasoku? — zapytała Jadzia.

— Tego nie wiem — odrzekł Staś — ale wiem, że tu już musi częściej pokazywać się wtedy zorza północna, a to ciekawe zjawisko!

— Szkoda, że nie widzieliśmy zorzy północnej! — rzekła Zosia.

— Musiała być i w Kargasoku niejedną raz, tylkośmy ją przespali z pewnością — objaśniał Stefan.

— Być może — potwierdził Tadeusz — choć Berezów leży o 5 stopni (ok. 65° szer. półn.) bardziej na północ, niż Kargasok. Jeżeli tam bywa czasem zorza, to w każdym razie dużo słabsza. Wogóle, zresztą, zorze północne nie bywają zbyt silne. Najwspanialszą notowano w dniu 16 lutego 1872 r., kiedy to cały widnokrąg północny od



Jenisiejska w głębi Sybiru aż do Grenlandji przedstawiał jeden drgający snop czerwonego jaskrawego światła. Co się zaś tyczy mrozów, to przypominam sobie, że Berezów ze wszystkich punktów zachodniej Syberji miał największe amplitudy w temperaturze. Oto w roku 1839, w miesiącu grudniu notowano tu  $-59^{\circ}$  zimna. Najwyższe notowane ciepło sięgało w r. 1849 przeszło  $+34^{\circ}$ . Jak z tego widać, amplituda równała się przeszło 93 stopniom! Zbliżone do tych warunki spotyka się w okolicach stepowych Barnału, na południu Tomskiej gubernji. Tam zimno sięgało w grudniu 1860 r.  $-55^{\circ}$ , a ciepło największe w r. 1839  $+36^{\circ}$ .

— To się nazywa naprawdę klimat lądowy! — wtrącił Stefan.

— A czy bywa gdzie na świecie jeszcze zimniej, niż tu? — zapytała Julcia.

— Pewnie, że bywa! — odezwał się Józek, ciekawie zwykle przysłuchujący się naukowym rozmowom.

— O, naturalnie — objaśniał dalej Tadeusz. — Dużo jest jeszcze takich miejscowości bliżej bieguna i na Syberji. Najzimniejszą bodaj miejscowością jednak na całej kuli ziemskiej są okolice miasteczka Wierchojańska nad rzeką Janą (dopływ Leny) we wschodniej Syberji. Tam średnia temperatura stycznia równa się  $-50^{\circ}$ , a notowano nieraz mrozy dochodzące  $-72^{\circ}$ .

— Dziękuję za taką przyjemność! — odezwała się Zosia. — Idźmy lepiej spać, niż słuchać o tak strasznych mrozach!

## W KRAJU ZYRJAN I SAMOJEDÓW

Mirski z inżynierem i Tadeuszem z powodu obecności młodzieży nigdy prawie nie mieli sposobności pogadać ze sobą swobodniej o dalszych widokach podróży, która, jak dotąd, odbywała się nadzwyczaj pomyślnie, w miarę jednak zbliżania się ku oceanowi Lodowatemu mogła nasuwać więcej obaw już nie ze strony ludzi, którzy w tych okolicach przestają być niebezpiecznymi, ale ze strony samej przyrody, która na chłodnej Północy kryje coraz więcej niebezpieczeństw i przeszkód. Korzystając z zajęcia się naszej młodzieży po kolacji jakąś grą towarzyską, wyszli na pokład i, usadowiwszy się na nim, zaczęli z sobą rozmowę, którą prowadzono ze dwie godziny, nim sen zaczął kleić powieki. Udano się do kajuty. Na pomoście pozostał jedynie Tadeusz, któremu jakoś spać się jeszcze nie chciało i wołał, wpatrując się w ginące gdzieś na widnokręgu gdzieniegdzie światełka oddalonego Berezowa, wspominać dzienne koleje swego losu zesańczego. W kajucie światła tymczasem pogasły i zrobiło się zupełnie cicho.

Tadeusz nie spieszył się wracać, bo i wiatr jakiś cieplejszy powiewał zlekka od południa, co pozwalało zapomnieć o bliskości pasa biegunowego. Rozkwitłe wszędzie czeremchy na wysepkach napawały powietrze wonią. Cisza była dokoła, prze-

rywana tylko pluskiem fal, uderzających o piaszczysty brzeg, przy którym stał na kotwicy „Biały Orzeł“, niekiedy rzuceniem się nad wodę jakiejś ryby. Gwiazdzista noc nie była zupełnie mroczna i na wielokilometrowej przestrzeni Obi w stronę Berezowa dawało się dość wyraźnie widzieć czerni toni wodnej, nad którą błyskały ledwie widoczne światełka miasteczka.

Tadeusz, zapatrzonej w dal, naraz usłyszał jakiś silniejszy szelest, idący od brzegu, i rzuciwszy okiem w tę stronę, ujrzał na piasku sunącą szybko ku wodzie jakąś wydłużoną postać zwierzęcą. Ponieważ na szczęście miał sztucer, oparty o barjerkę przy sobie, chwycił szybko za broń i wypalił. Postrzelony zwierzę pisnął i rzucił się konwulsyjnie, ale nie dobiegł wody i został na piasku.

Z kajuty wybiegł Mirski, Marczyński, Stefan i inni chłopcy.

— Co takiego?! Do kogo pan strzelał? — pytał Mirski.

— Najmocniej przepraszam, że was moi państwo, obudziłem — tłumaczył się Tadeusz — ale widzicie, udało mi się zabić jakiegoś potwora, sam jednak nie wiem co...

— Gdzież on jest? — pytał Stefan.

— Tutaj oto, na piasku wysepki, przy samej wodzie — odrzekł Tadeusz.

Ale nikt nie mógł na razie nic dojrzeć. Mirski poświecił latarką elektryczną. Snop światła, rzucony na brzeg, odległy od motorówki na kilkanaście kroków, pozwolił rozpoznać wyciągnięte



zwierzątko. Stefan wysunął z pokładu kładkę i po chwili wniósł na pokład zabite zwierzę: był to wspaniały okaz wydry (*Lutra vulgaris*).

— Spory okaz—zauważył Tadeusz. — Ma około metra długości, a jakie śliczne futerko!

— Tak, wydry dochodzą niekiedy tych rozmiarów — odpowiedział Mirski, oglądając bliżej zwierzę.

— Skąd się tu wzięła? — pytał Stefan.

— Zapewne musi być tu gdzieś wpobliżu wejście do jej nory, którą buduje w bliskości wody, a że żeruje przeważnie w nocy, więc musiała dopiero teraz wyjść na łowy i spotkała ją śmierć!

— Nie mamy potrzeby jej żałować—rzekł Mirski — szkodliwe to stworzenie. Niszczy mnóstwo ryb i plectwa wodnego...

— Futerko z niej w każdym razie nam się przyda — dorzucił Kazik.

— Na kołnierze! — rzekł Staś.

Mirski zarządził ponowne udanie się na spoczynek, tym razem poszedł już i Tadeusz.

Nazajutrz rano przed odjazdem całe towarzystwo wyległo na brzeg poszukać nory wydrzej i istotnie znaleziono ją w pobliskich zaroślach. Obejrzano dokładnie futro wydry, bardzo gęste, ciemno-bronzonej barwy, połyskujące na powierzchni, posiadające pomiędzy włosiem, a podszyciem drobne przestrzenie wypełnione powietrzem, co obok silnej tłustawej wydzieliny ze skóry przeszkadza przenikaniu wody do ciała. Przyjrzano

się też dokładnie budowie całego ciała tego zwierzęcia, zdolnego do doskonałego pływania i nurkowania.

— Wiedźcie o tem również, że wydry mają świetny wzrok — mówił Tadeusz — a również znakomity zmysł dotyku, który umiejscowiony jest szczególnie w tych oto wąsach.

— Żeby tak było można złapać żywcem taką wydrę... odezwał się Józio.

— Cóżby ci z niej przyszło, gdyby była żywa? — zapytał Kazik.

— Oswoilibyśmy ją i mieli, jak niegdyś Chryzostom Pasek...

— To trzebaby złapać młodziutką — zauważył Tadeusz. — Stara wydra jużby się nie dała oswoić i nauczyć przynoszenia złapanych przez siebie w wodzie ryb...

— Szkoda — westchnął Józek.

— Bądźcie kontenci i z zabitej — rzekł inżynier. — O ile wiem, to bardzo rzadkie już zwierzę i przez to futro jego bajecznie drogie.

— Tak, u nas w Polsce wydry należą już do rzadkości — potwierdził Tadeusz — tutaj jednak, zdaje się, są jeszcze dość pospolite, choć też je tępią bezlitośnie.

— Nam się jednak dopiero pierwszy raz trafiło napotkać wydrę — odezwała się Zosia.

— Bo to zwierzę bardzo ostrożne i przytem nocne — objaśnił Mirski. — Dziwię się nawet, że panu Tadeuszowi udało się je upolować.

— Moje to szczęście... siedziałem na pomostku

zupełnie cicho, więc mnie nie spostrzegła — odrzekł Tadeusz.

Podczas całej rozmowy przygotowywano statek do odjazdu i za chwilę ruszono wprost ku Berezowu. Gdy zbliżono się do portu miasteczka, spostrzeżono, że u brzegów stoją dwa duże parowce i kilka drobniejszych statków i łodzi motorowych, nie licząc łódek rybackich, należących do miejscowej ludności, trudniącej się przeważnie rybołóstwem. Mirski, potem Marczyński i Tadeusz, zaczęli kolejno lornetować port, ażeby przekonać się, czy przypadkiem niema pogoni. Dla wszelkiej pewności zdecydowano pod samo miasteczko nie podjeżdżać, a zatrzymać się na uboczu.

Ominięto więc miasteczko w przyzwoitej odległości, a zbliżając się znowu do brzegu za miastem, natrafiono na sporą łódź rybacką, wyjeżdżającą na połów ryb z wielkimi sieciami. Stało na niej kilku berezowian, ciekawie przypatrujących się „Białemu Orłowi“, który umyślnie podjechał bliżej, by zasięgnąć języka.

— Witajcie! co tam słyszać w mieście?—odezwał się do rybaków Tadeusz.

Starszy brodacz, siedzący najbliżej, grzecznie odpowiedział na powitanie i dodał:

— Nic osobliwego. Ruch w mieście, bo przyjechało naraz kilka parowców z ludźmi i towarami.

— Skądże to przyjechały? — pytał Mirski.

— Z Tobolska — odrzekł rybak. — Przywiozły też trochę policji...



— Tak? A dokąd pojedą? — zapytał znowu Tadeusz.

— Pewnie do Obdorska — odpowiedział zapytany — bo i poczta przyszła, pierwsza w tę wiosnę. A panowie skąd, jeśli można wiedzieć?

— My też z Tobolska, tylko wyjechaliśmy wcześniej, zatrzymując się w wielu miejscach po drodze, więc nas wyminięto — odrzekł Mirski. — Bądźcie zdrowi!

— Szczęśliwej podróży!

Po odjeździe łodzi zrobiono naradę, na której zdecydowano nie wstępować do Berezowa. Lepiej nie leżeć w paszczę wilkowi.

— Jedźmy sobie i basta — zakończył narady Mirski. I „Biały Orzeł“ pomknął dalej, ku północy, przyspieszając biegu.

Ominięto wkrótce zalesioną wysepkę koło Jurt Nebdyńskich, znaną z tego, że uchodzi za świętą. Przyjeżdżają ku niej z dalekich stron nawet „inorodcy“ (Ostjaki i Samojedzi), składając w ofierze różne przedmioty, jak chustki, sukno, płótno, skóry jelenie, które rozwieszają na drzewach. Na wysepce tej, ani przy niej nie wolno też nikomu pić wody, ani ryb łowić, bo byłoby to profanacją świętego miejsca.

Za świętą wyspą, brzegi Obi, rozlewającej się na jakieś dziesięć km., miejscami nie były zarosnięte lasami. Wszędzie rozpościerała się przeraźliwie pusta równina, niknąca w oddali, bez pagórków. Dopiero pod wieczór, o zachodzie słońca, dojeżdżając pod bogate sioło Kuczewatskoje, roz-

łożone malowniczo na wyniosłem i stromem prąwem wybrzeżu Wielkiej Obi, ujrzano na zachodnim widnokręgu szereg białych, o różnych odcieniach, aż do jaskrawej czerwieni, jakby zębów, wystających z płaszczyzny niziny.

— Co też to być może? — pytano Mirskiego i Tadeusza.

— To chyba widać zaśnieżone, a ozłocone słońcem szczyty Uralu — odpowiedział ostatni.

Mirski zagłębił się w mapę i za chwilę pokazując na nią, odezwał się:

— Bliższych gór jak Ural, niema tu zupełnie, a więc to nie co innego, tylko ten słynny grzbiet, oddzielający Europę od Azji!

— Tośmy już blisko Europy? — zapytały radośnie dziewczęta.

— To się tak tylko wydaje — odrzekł Tadeusz.

— Naturalnie — potwierdził Mirski. — Stąd teraz w prostej linii powietrznej do tych szczytów mamy jakieś zgórą dwieście kilometrów!

— I z takiej odległości widać te szczyty?

— Nic dziwnego — objaśnił Tadeusz — mamy tu równinę płaską jak stół, a szczyty owe dochodzą kilometra i może więcej nad poziom morza, przytem bielą się od śniegów, a w tej chwili to i żarzą od zachodzącego słońca.

I spoglądano z podziwem i radością na piękny widok. Choć jeszcze odległe, góry te nasunęły wszystkim myśl jedną, że już blisko do Europy i do Polski.

Do zupełnego zmroku jechano dalej po Obi

całą siłą motoru, a rozmowa na temat bliskości Europy, Uralu, ludów tu zamieszkałych i Obi nie ustawała ani na chwilę.

W ustronnem pustkowiu przy lewym brzegu rzeki, zupełnie płaskim, „Biały Orzeł“ zatrzymał się na nocleg.

Nazajutrz rano przemknął znów jak po morzu, po coraz szerszej tu Obi i po południu zatrzymał się w pobliżu piaszczystej wysepki nawprost ujścia rzeki Poluja, nad którą w pewnej odległości od Obi zbudowany jest Obdorsk.

## XXXII

### W ZIEMI OBDORSKIEJ

Smutna to i biedna nad wyraz kraina — ta ziemia Obdorska. Wokół nizina, pokryta kępkową mchową tundrą, gdzieniegdzie przerywaną zarosłami karłowatej brzozy, modrzewia i jodły, gdzie-niegdzie, zwłaszcza na południowych stoczach brzegów rzecznych, zarosła łąkami, które umożliwiają choć potrosze hodowlę bydła. Daleki jej zachód jedynie urozmaica na widnokręgu widok zaśnieżonych szczytów Uralu i ogrom bezmiarów wód Obi, która tu płynie potężnym korytem około 20 km. szerokości, ale tylko mniej więcej przez cztery miesiące letnie niezamarzłem. W tej to pustynnej ziemi, której grunta zresztą, wiecznie przemarzłe w głębi, na okres letni tają jedynie na nie-



znaczną głębokość, w r. 1595 przez wojewodę księcia Gorczakowa założone zostało miasteczko Obdorsk na miejscu dawnej wioski ostjackiej. Dopiero od połowy XVIII w. zaczęli przyjeżdżać tu kupcy na jarmarki z ludnością tubylczą. Ludność rosyjska na stałe osiedlać się w Obdorsku zaczęła dopiero od r. 1820, a w trzydzieści lat potem zaczęli się też tu zjawiać Zyrianie, którzy obecnie stanowią prawie połowę ludności Obdorska.

Do tego to miasteczka, urzędowo zaś — siola Obdorskoje, malowniczo położonego na wysokim, spadzistym brzegu wysuniętego przylądka, a zdobnego w duże kopulaste cerkwie, błyszczące z od-dali, nasi podróżni po paru godzinach odpoczynku przy wysepce przybili wreszcie, zatrzymując się między kilkunastoma barkami i łodziami rybac-kiemi, oraz jakąś motorówką, należącą pewnie do władz tutejszych.

Przybicie do przystani nieznanego statku wywołało naturalnie wielkie zdziwienie u mieszkań-ców. Zgromadził się tłum gapiów, między nimi znalazło się z urzędu dwu strażników.

Mirski zdecydował po naradzie ze wszystkimi nie wysiadać zaraz na brzeg, lecz czekać, co będzie, stojąc parę metrów od brzegu. Jeżeli — myślano — wiedzą tu o ucieczce, w takim razie z pewnością zechcą aresztować, na co się, naturalnie, nie pozwoli. Jeżeli nie wiedzą, można będzie nie spiesząc się wysiąść, obejrzeć miejscowość, będącą, bądź co bądź, pewną osobliwością tak daleko na północy.

Czekanie jednak sprzykrzyło się szybko zebra-  
nemu tłumowi, bo częściowo zaczął się rozchodzić,  
częściowo wszczął między sobą dyskusję, zapewne  
na temat nieznanych przybyszów. Strażników ten  
stan rzeczy zaintrygował. Nie doczekawszy się wyj-  
ścia kogokolwiek, zaczęli nawoływać, a ponieważ po-  
zostało to bez odpowiedzi, wsiadłszy do pobliskiej  
łódki, zamierzali podpłynąć do „Białego Orła„.

Zamiary te oczywiście widziano na naszej mo-  
torówce. Po chwili łódka podpłynęła tak, że  
otarła się o szpic motorówki. Gdy na pukanie  
szablą jednego ze strażników w pokład nikt nie  
wyrzwał, strażnik ośmielił się wejść na motorówkę  
i podszedł do pomostu.

Na schodkach w tej chwili ukazał się Mirski.  
Strażnik zasalutował i, przeprasząc za śmiałość,  
oświadczył, że przychodzi poprosić o „dokumenty  
podróży“, gdyż wszystkie nadjeżdżające statki mu-  
szą się zaraz meldować.

— Wiem o tem — rzekł Mirski — ale nie mo-  
żemy tego zrobić w tej chwili. Niech mi za to  
lepiej pan powie, gdzie tu mieszka doktor, o ile  
jest wogóle w Obdorsku.

— Doktor jest, choć mieszka dość daleko. Któż  
chory u panów? — pytał strażnik, zbliżając się  
jeszcze bardziej.

— Proszę nie podchodzić tutaj, bo na naszej  
motorówce dżuma, możecie się zarazić i cały Ob-  
dorsk zgubicie. A co do dokumentów to nie mogę  
przecie ich podać, bo mogłyby roznieść zarazę —  
mówił Mirski, trzymając się zdaleka.

Strażnik, usłyszawszy wyraz „dżuma“, zmienił się na twarzy i w jednej chwili był z powrotem na łódce. Za chwilę łódka była też już przy brzegu. Kiedy, zebrany tłum dowiedział się o dżumie, szybko zaczął opuszczać wybrzeże.

— Ale teraz nie będziemy już mogli pokazać się w mieście — rzekł Stefan, obserwujący wybrzeże z okna kajuty.

— Spróbujemy, może się to jednak uda — odrzekł Mirski.

— Ale to wspaniały pomysł tak się pozbyć tych natrętów — mówiła Jadzia.

— To tatuś wymyślił taką sztukę? — zapytała Zosia Mirska.

— Nie — wtrącił Marczyński — to myśl pana Tadeusza, choć ją pan Mirski tak zrećźnie przeprowadził.

— Tak — potwierdził sam Mirski — to pomysł pana Tadeusza, ale musimy teraz pomysł ten rozwinąć, chcąc dostać się do miasta.

— Zobaczycie państwo, że za godzinę przybędzie tu cała komisja lekarska i zarządzą nad nami kwarantannę — odezwał się Tadeusz.

— O nic się nie bójcie! — uspokajał Mirski. — Już wiem, jak się z nimi urządzimy! Uda się, to dobrze, jak nie, zawsze mamy możliwość ucieczki; przecie nas nikt nie dogoni.

— Naturalnie! — potwierdził inżynier, rad, że oddaje się pochwałę „Białemu Orłowi“.

— Więc kto ze mną pójdzie na miasto? — zapytał Mirski.



— Jakto? Zaraz? — zapytali wszyscy zdziwieni.

— Tak. Musimy uprzedzić przybycie jakiegokolwiek komisji. Wiedząc, że jesteśmy zarażeni, nie ruszą nas, najwyżej zmuszą do powrotu, a co zwiedzimy, to zwiedzimy.

— A jeżeli nas zaaresztują, wiedząc, żeśmy zbiegli? — spytał inżynier.

— Nie przypuszczam, żeby o tem wiedzieli, chyba, żeby ich tu dochodził telegraf zwykły lub iskrowy — odrzekł Mirski.

— Może i mają tu telegraf. Wiem z książki, że jest tu nawet stacja meteorologiczna — odpowiedział Tadeusz.

— W takim razie musimy się nie dać aresztować, ewentualnie zrobimy, jak w Surgucie; poprosimy na motorówkę policję i przejedziemy się z nią za miasto!

— Ja tam nie jestem ciekaw tej dziury północnej — rzekł inżynier.

— Panienki w każdym razie muszą pozostać w kajucie — zaznaczył Mirski.

— Ale ja idę? — zapytał Kazik.

— I ja! — rzekł Stefan.

— Ja także! — wołał Staś.

— A ja nie? — mówił Józek.

— I pan pójdzie? — pytał Mirski Tadeusza.

— Chętnie, choć uważam, że nas i tak za dużo...

— Mniejsza z tem! A inżynier niech nas czeka w pogotowiu — rzekł Mirski — wrócimy pewnie bardzo prędko.

„Biały Orzeł“ podpłynął w tej chwili do brzegu

i nasza gromadka pod wodzą Mirskiego i Tadeusza, zeskoczywszy szybko z pokładu na tamę nadbrzeżną, zaczęła szybko wdzierać się pod górę, ku miastu. Wszyscy byli uzbrojeni w browningi, ukryte starannie w kieszeniach.

Napotkano po drodze kilku mieszkańców, ale ci, widząc już powiadomieni o przybyciu zadżumionych podróżnych, uciekli do pobliskich domostw. To też nasza gromadka bezpiecznie dotarła na górę, ale nie było co oglądać w tem nędznem miasteczku. Ani domy, łącznie z cerkwiemi, szkołą misjonarską i stacją meteorologiczną nie przedstawiały się wcale ciekawie, ani spotykani ludzie nie budzili zainteresowania. Zawrócono też zaraz, obejrzawszy po drodze pomnik w postaci skromnego obeliska, wystawionego ku czci Jermaka, zdobywcy Sybiru.

Gdy już nasza gromadka dochodziła do brzegu, ku któremu podjeżdżał tymczasem „Biały Orzeł“ po naszych amatorów przygód, ujrzano na szczycie nadbrzeżnego wzgórza kilku ludzi z dwoma żandarmami na czele, spieszących ku przystani i dających znaki, by się zatrzymać. Nim jednak oni zeszli z góry ku brzegowi, nasi znajomi zdołali już wejść na pomost motorówki i ukryć się w kajucie.

— Nie mamy tu co dłużej robić — odezwał się Mirski do inżyniera. — Jedźmy!

Statek, pchnięty śrubą, drgnął i zaczął sunąć, zataczając półkole przed zgromadzonymi nad brzegiem ludźmi.

Żandarmi myśleli początkowo, że motorówka chce podjechać pod tamę, zbliżyli się też nad sam brzeg, ale „Biały Orzeł“ w okamgnieniu przemknął obok i zdumionych strażników doleciało tylko głośnie warkotanie śruby. Za parę chwil Obdorsk znikł z oczu. Przed mknącym „Białym Orłem“ otwarła się znowu potężna toń Obi, przerywana gdzieniegdzie ławicami piasku.

Po przejechaniu trzydziestu kilku kilometrów łódź skręciła ku północy, wkraczając w szeroką odnogę Obi i kierując się ku ujściom rzeki Listwiennicznej, nazwanej tak, gdyż miejscami nad jej brzegami pokazują się jeszcze zarośla modrzewi, zwanych po rosyjsku „listwiennica“. Stamtąd miano znowu rozpostrzeć skrzydła i powietrzem przejechać pozostałe jeszcze dwadzieścia mil do brzegów oceanu Lodowatego w zatoce Bajdarackiej.

Wieczorem, gdy „Biały Orzeł“ zatrzymał się u ujścia Listwiennicznej, przystanąwszy na kotwicy w pobliżu niewielkiej ławicy piaszczystej, codziennym trybem wszczęta rozmowa ogólna przeszła na omówienie szczególniejszego zjawiska, które występuje dwa razy do roku na Obi. Mianowicie, jak opowiadał Tadeusz, Ob' w dolnym swym biegu na jesień i wiosnę przy małej wodzie „zamiera“. Oto woda zaczyna czerwienieć, nabiera nieprzyjemnego zapachu i wydziela pęcherzyki gazu z siebie.

— Z jakiegoż to powodu? — zapytał inżynier.

— Według badaczy tego zjawiska — mówił dalej Tadeusz — powodem tych objawów jest to, że



zbiera się w wodzie znaczna ilość tlenków żelaza, nagromadzonych z wód z prawobrzeżnych, przeważnie bagnistych dopływów.

— Taby znaczyło, że dopływy, płynące nie przez bagna lub z bagien, nie podlegają temu zjawisku zamarcia — zauważył Mirski.

— Istotnie tak jest — odrzekł Tadeusz. — Górny bieg wszystkich tych rzek wolny jest od tej zarazy, zwłaszcza bieg dopływów, płynących z Uralu. Jak dużo jest tych tlenków żelaza w wodzie, świadczy najlepiej to, że po pewnym czasie z wody tej, zaczerpniętej w naczynie, na dnie tegoż osadza się czerwony ił. Smak przytem wody do tego stopnia się zmienia, gorzknieje, że zupełnie nie nadaje się ona do picia.

— To i rybom musi taka woda szkodzić — odezwał się Józek.

— Naturalnie! — To też kiedy taki „zamór“ czyli „odór“ powstaje, ryby wszystkie czemprędzej wędrują w górę rzeki, dochodząc w Obi aż do Surgutu i dalej, w dopływach zaś sięgając źródłisk. Część ryb znajduje ratunek w olbrzymiej zatoce Obskiej. A w tych miejscach górnego biegu rzek, gdzie ryby te się chronią, gromadzi się ich takie mnóstwo, że można z łatwością chwycić je całemi pudami. Opóźnione z ucieczką ryby giną, bielejąc z braku tlenu w wodzie.

— To ciekawe zjawisko — rzekł Stefan. — Ale chyba długo nie trwa, bo wygubiłoby wszystkie ryby, których tu nie brak jednak nigdy, jak wiadomo.

— Ponieważ występuje tylko przy niskim stanie wody, zimą np. zaraz po zamrożeniu powierzchni, trwa więc do wiosny. Kiedy indziej krócej, bo znika z każdym większym przypiływem wody świeżej, bogatszej w tlen i lżej pochłaniającej tlen powietrza — tłumaczył Tadeusz.

— No to teraz się z tem nie spotkamy tutaj — wtrąciła Zosia.

— Niema obawy — dokończył Tadeusz.— Wody w tej chwili na Obi sporo i płynie szybko. Przy takim prądzie tworzące się nawet tlenki żelaza, bądź szybciej się osadzają, bądź są unoszone, nie mają natomiast możliwości zawisnąć nieruchomo w wodzie i uczynić niezdatną do życia w niej organizmów.

— Ciekawam, jakiej głębokości jest Ob' w tych stronach przy swem ujściu? — zapytała Jadzia.

— Możliwe zmierzyć — odrzekł Kazik.

— Naturalnie — odezwał się Mirski. — Ale wiadomo mi, że głębokość Obi przy ujściu miejscami sięga 20 metrów.

— Bardzo jest zresztą zmienna — dorzucił Tadeusz.

— Otóż jutro pożegnamy się z tym olbrzymem rzeczonym! — odezwał się Stefan.

— A tak! — odpowiedział Mirski. — I pewnie na zawsze, bo wątpię, czy tu kiedy będziemy. Jutro obok Jałmału musimy minąć Ural i stanąć nad brzegami oceanu Lodowatego.

— Stamtąd już prosta choć daleka jeszcze droga do krajów wolnych — dorzucił inżynier.

— I przebędziemy ją tak, jak dotychczas, szczęśliwie i cało — rzekł Tadeusz.

— Oby jak najprędzej — odezwała się Zosia.

— Jak dobrze pójdzie, możemy być już za jakiś tydzień... — zaczął Mirski.

— Gdzie? Gdzie? — wykrzyknęła Julcia.

— Czyżby już w Polsce?... — pytała Jadzia.

— Może i w Polsce — dokończył Mirski.

— A przynajmniej gdziekolwiek w Norwegji, Szwecji, bo stąd tam najłatwiejby się można było dostać — rzekł Tadeusz.

— Byleby tam być, to już łatwiej stamtąd do Polski — rzekł inżynier.

I z myślą o Polsce, o szybkim do Niej powrocie, położono się spać ostatni raz na lądzie Azji.

### XXXIII

## NA KRAŃCACH URALU

Następnego dnia już od rana nasi podróżni przygotowywali „Białego Orła“ do lotu i czekali tylko skinięcia ze strony Mirskiego, który przez czas dłuższy siedział przy stoliku w kajucie, zagłębiwszy się w mapę. I była już chyba ósma rano, gdy wreszcie ruszono w dalszą drogę. „Biały Orzeł“, przebiegłszy kilkaset metrów po powierzchni, znowu wzbił się w górę i, skręciwszy na północ, zaczął sunąć na wysokości około 100 metrów wzdłuż rzeki Listwiennicznoy ku jej



źródłiskom. Z wysokości tej, kilkunastokilometrowej szerokości Ob' w tem miejscu przedstawiała się w całej okazałości i w oddali na wschodzie majaczyła też już na widnokręgu olbrzymia, usiana mnóstwem piaszczystych wysepek Skopcowskich, wodna płyta zaczynającej się tu zatoki Obskiej, w którą Ob' wlewa swe mętne wody.

Teren, nad którym unoszono się, niezbyt zresztą szybko, bo wszyscy chcieli swobodnie rozglądać się po okolicy, początkowo zupełnie płaski, zlekka wznosił się ku zachodowi, w kierunku gór Uralskich, które były już coraz bardziej widoczne.

Dokoła panowała głucha pustka. Na ledwie odmarzniętej na powierzchni tundrze, zarosłej mchami i mnóstwem właściwych tym strefom innych roślin, jak bażyna (*Empetrum nigrum*), mącznica (*Arctostaphylos alpina*), bagno (*Ledum palustre*), żurawina (*Oxycoclos palustris*), borówka-łochynia (*Vaccinium uliginosum*) i t. p., obok widłaków (*Lycopodium*) i porostów (z rodzaju *Cladonia*, *Cetraria*, *Cornicularia* i t. p.), a także takich roślin kwiatowych jak wiosnowka (*Draba alpina*), welnica (*Eriophorum*), jaskier (*Ranunculus pygmaeus*) i t. p., widać było mnóstwo olbrzymich, do 2 m. wysokości i tyleż w średnicy mających kęp mchowych, pokrytych roślinnością, wśród której te same co wyżej porosty tworzyły wspaniałe delikatne a barwne mozaiki, a dalej gdzieniegdzie karłowate brzozy i wierzby, zresztą mnóstwo różnych krzewin i ziół.

Jak okiem sięgnąć, dokoła rozpościerała się wszędzie nizina z wysokości, na jakiej szybowali nasi podróżni, tem bardziej wydająca się jednostajną. Jedyne na zachodzie srebrzyły się białe szczyty Uralu, widać też było z oddali jakieś nierówności gruntu na północy, jak się wkrótce okazało, jary rzeki Szczucznej (Szczupaczej), płynącej dość kręto w dolinie, miejscami o zupełnie spadzistych, piaszczystych i żwirowatych stokach.

Gdziekolwiek było widać na tle zieleni tundry, teraz na wiosnę wyglądającej bardzo jeszcze świeżo, niebieskawe oczka powierzchni licznych, choć niewielkich, wszędzie tu rozsianych jezior.

Na prośbę młodzieży „Biały Orzeł“ unosił się możliwie najwolniej i opuścił nawet do wysokości zaledwie 50 metrów. Jazda taka, w pogodny dzień, po tej wielkiej równinie, dającej dokoła bezmierne dalekie widoki, należała do tak przyjemnych, że nasi podróżni starali się ją umyślnie przedłużyć. Zdawano sobie sprawę z tego, że to już ostatnie chwile pobytu na Sybirze, że wkrótce przekroczą próg Europy, za którym wolność i upragniona Polska będzie już niedaleką.

Ponieważ jazda powietrzna w tych warunkach nie narażała żadnych niebezpieczeństw, niemal wszyscy wylegli na pomost, rozglądając się dokoła. Bezpośrednio pod statkiem wszystko migało tak szybko, że trudno było cokolwiek rozróżnić, i tylko, gdy patrzano nieco dalej, co zresztą było nawet łatwiejsze, bo nie trzeba było się wychylać, widać było wszystko w tundrze jak na dłoni.



— O patrzcie! patrzcie! — naraz rozległy się głosy niemal wszystkich jadących i wskazywanie na ziemię, gdzie wśród mchowego pokrycia widać było całe stadko, z kilkunastu tysięcy sztuk może złożone, zwierzątek, przypominających z wyglądu susły, a wielkością nieco mniejszych od szczurów.

— Co to takiego? — pytali jedni drugich.

Tadeusz, jako przyrodnik, zmuszony był oczywiście dać stosowne objaśnienie co do tych zwierzątek, tak masowo gdzieś w tundrze wędrujących.

— To lemingi obskie (*Myodes obensis*), zwane tu piestruszkami — rzekł — zwierzątka z rzędu gryzoniów.

— Cóż ich taka chmara? — pytała Julcia.

— Żyją tu masowo, więc dlatego tyle się ich odrazu spotyka. Zresztą wędrują zwykle masowo z miejsca na miejsce, dla żeru, gdy ich się dużo rozmnoży.

W dalszym ciągu napotymano tu pasące się dzikie renifery (*Cervus tarandus*), to płoszono pieśce, czyli psy biegunowe (*Vulpes lagopus*) lub szczury kopytne (*Mus torquatus*), to znów przerywając ucztę żerującym tu wśród gryzoniów ptasim drapieżcom w rodzaju pewnych gatunków myszółowa, zwanych tu kaniukami (*Archibuteo pallidus* i *A. lagopus*).

Po paru godzinach jazdy nasi podróżni dotarli wreszcie do rzeki Szczuczkiej, najbardziej północnego dopływu Obi, kierując się nad nią ku północy. Rzeka ta, wypływając ze wschodnich stoczy północnego krańca Uralu, jak się okazało, w gór-



nym swym biegu ma charakter rzeki górskiej. Podziwiano jej kręte, urwiste brzegi, liczne porohy i szybki prąd wody. Nakoniec już dobrze popołudniu ukazała się przed oczami naszych wędrowników po prawej stronie na północy wielka płyta wodna, po lewej wyraźny grzbiet górski, spadający w oddali kilkoma kopulastymi bezleśnemi szczytami ku ginącej na widnokręgu nizinie.

— Otóż ocean Lodowaty! — powtarzano, wpatrując się w stającą się coraz bardziej widzialną wielką powierzchnię wód.

— Właściwie to dopiero jego odnoże, zatoka Karska lub inaczej Bajdaracka — uzupełnił Tadeusz — do otwartego oceanu mamy jeszcze trzysta z górą kilometrów.

— Co to znaczy! Jutro tam przecie możemy być już! — zauważył inżynier.

— I będziemy chyba? — dorzucił pytanie Tadeusz.

— A co to za szczyty, które mamy przed sobą tak blisko?

— To ostatnie północne wyniosłości Uralu, który właśnie koło zatoki Bajdarackiej kończy się, rozdwajając. Oto ta najbliższa góra którą widzimy — tu wskazał Tadeusz na wcale wyraźnie widoczny zaśnieżony kopulasty szczyt — to Churobada-Paj, a za nim zaraz nieco wyższy Chajudy-Paj i jeszcze wyższa, bo wznosząca się na blisko 1280 m. nad poziomem morza, góra Net-Ju. W tem właśnie miejscu Ural się rozdwaja. Jedna gałąź idzie nieco na północny-zachód, równolegle do zachodniego

brzegu zatoki Bajdarackiej, stanowiąc dział wodny między dorzeczem tej zatoki i Obi, a dorzeczem Pieczory, już w Europie, rozplaszczając się zwolna ku północy, druga gałąź ciągnie się prosto ku zatoce, kończąc szczytami Minisiej (587 m.) i Konstantinow-Kamień (454 m.), choć niektórzy uważają po drugiej stronie zatoki Bajdarackiej występujące wzniesienie na półwyspie Jałmale, na północ od rzeki Juribeja, za faktyczny dopiero kraniec Uralu.

— Ach! jakże te wszystkie nazwy pogańsko brzmią! — odezwała się Jadzia.

— Jesteśmy przecie w kraju pogan, Samojezdów — odrzekł Mirski.

— A czy ich tu gdzie możemy spotkać? — spytała Julcia.

— Może. Ale trudno się tego spodziewać, bo przeważnie koczują, kraj ten tak przytem rzadko zaludniony.

— Wiecie? — rzekł Tadeusz — że w całym okręgu Berezowskim, gdzie, nawiasem mówiąc, ludniej niż tu, według obliczeń z 1897 r. przypada jeden mieszkaniec na 30 km. kw.!

— To tu chyba jeden na 100 km. kw! — wykrzyknął Staś.

— I to za dużo — objaśnił Mirski. — Zważcie przytem, że Samojedzi mają inne koczowiska latem, inne zimą. Teraz właśnie przenoszą się z południa, zwłaszcza z okolic rzeki Kazyma, prawego dopływu Obi, nawprost Berezowa wpadającego, w te właśnie okolice, a szczególnie na półwysp Jałmał.



— To też półwysep Jałmał zwą często półwyspem Samojezdkiem — dorzucił Tadeusz.

— A co właściwie znaczy ta nazwa? — zapytał Stefan.

— To po samojezdku: koniec świata. Samojezdi bowiem wyobrażają sobie, że dalej już na północ nigdzie więcej ziemi niema, tylko samo morze. Wyobraźcie też sobie—objaśniał Tadeusz— że półwysep ten ciągnie się przeszło 900 km., mając średnio szerokości 180, czyli zajmuje przestrzeń połowy Anglii w Europie, nie mając żadnej stałej ludności na swym obszarze!

— To też — dopełnił Mirski — obszar ten jest prawie zupełnie dotąd nieznan. W ostatnich latach zwiedzał Jałmał trochę jedynie Nordenskjöld, a po nim Nansen, ale obydwaj ci słynni podróżnicy nie zapuszczali się włąb zupełnie.

Ponieważ „Biały Orzeł“ nie zatrzymywał się ani na chwilę, niezadługo nasi podróżnicy przemknęli wpoprzek dwóch źródłanych dopływów rzeki Bajdaraty, wpadającej po upłynięciu 100 km. do najbardziej na południe wysuniętego wcięcia zatoki Bajdarackiej, a którą zdaleka było widać.

— Niewielka ta rzeka stałaby się bardziej znaną — rzekł Tadeusz — gdyby był doszedł do skutku dawno już obmyślony i wielokroć wznawiany projekt połączenia jej zapomocą kanału z rzeką Szczuczją. Kanał taki, kilkadziesiąt km. zaledwie długi, do zbudowania niezbyt nawet trudny, pozwoliłby okrętom z oceanu Lodowatego omijać całą zatokę Obską.



— No i dlaczegoż tego projektu nie wykonano? Przecież to bajeczne skrócenie podróży — odezwał się inżynier.

— Nie wiem dlaczego — odrzekł Tadeusz — w Rosji nigdy się nie śpieszą przecie z niczem, więc i z tem...

— Zdaje mi się, że w tym wypadku inny jest powód — objaśnił Mirski. — Oto morze Karskie, którego częścią jest zatoka Bajdaracka, o ile wiem z opisów, jest bardzo niebezpieczne dla żeglugi z powodu nagromadzania się w niem wielkiej ilości gór lodowych, płynących z północy, a także cieśnina Wajgacka, między lądem, a wyspą Wajgacz, jak i t. zw. Karskie Wrota, oddzielające od ostatniej wyspę Nowaja Ziemia, są bardzo burzliwe i groźne dla statków.

Pod wieczór, minąwszy Konstantinow-Kamień, usiany rumowiskiem głazów, powstałem ze zwiertrzenia, na samym szczycie zupełnie zaśnieżony, „Biały Orzeł“ dotarł do rzeki Kary, stanowiącej tu pogranicze między Azją i Europą. Na ogólne życzenie, przytem, ze względu na obawę zajechania podczas nocy nad ocean, nasi znajomi, zwalniając stopniowo lot statku i opuszczając się znowu niżej, osiedli wreszcie na powierzchni wspomnianej rzeki, mającej w danem miejscu około 200 m. szerokości, aby na jej nurtach przenocować, a nazajutrz znowu wodną drogą powędrować dalej. W takim, jak tu, pustkowiu nie było obawy o nic. „Biały Orzeł“, nie zamykając płatów, osiadł na środku rzeki i stanął na kotwicy.

Gdy świt zabielił horyzont, Mirski obudził się i wyrzwał na świat, uchylając drzwiczki na most. Przejmujący chłód go powitał. Cisza i martwość panowały dokoła. Obudził Józka, zwinął z jego pomocą płaty i pchnął motor w ruch, puszczając statek w dół rzeki ku zatoce Bajdarackiej, tworzącej w miejscu wpadania Kary głęboki na 30 m. zalew. Nim wszyscy powstali ze snu, już „Biały Orzeł“ kołysał się zlekka na nurtach tego zalewu, mając po jednej stronie ląd Azji, po drugiej — Europę.

— Wsiądźmy, tatusiu, choć na chwilę w Europie! — zwróciła się Zosia.

— Wylądujemy w Azji, na jej pożegnanie — rzekł Stefek.

— A potem dopiero na brzeg europejski — dodał Kazik.

— Macie się o co prosić! — wrzucił ramionami Staś. — Toż obydwą brzegi niczem się między sobą nie różnią. Tu tundra i tam tundra, pustkowie.

— Istotnie, przecież podział na Europę i Azję — odezwał się Tadeusz — nie jest naturalny, tylko umowny, sztuczny. Geologowie też obydwą te lądy zowią łączną nazwą Eurazji.

Ale musiało się stać według życzenia obu stron. Za chwilę motorówka skręciła na prawo i przybiła do brzegu. Wskoczyli nań wszyscy na chwilę z wyjątkiem Marczyńskiego, który rzekł:

— Miałem już dosyć tej Azji...

Rozejrzano się dokoła, przespacerowano kilka-

dziesiąt kroków wzdłuż piaszczystego urwistego brzegu i, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na wschód, wkroczo no z powrotem na statek. Ostatni wcho dził Tadeusz.

— Żegnaj nam, Azjo, kolebko ludów, a gro bowcu zesańców! — rzekł, stając na statku.

— Witaj, Europo, ziemio cywilizacji współcze snej! — rzekł z powagą Kazik, naśladowując Tade usza i wyciągając ręce w kierunku przeciwległego brzegu, dokąd zaczęto płynąć.

Gdy statek dołynął brzegu, pierwsza wysko czyła Zosia.

— Ja pierwsza! ja pierwsza w Europie! — wo łała radośnie.

Że brzegi jednak tak Europy jak i Azji nic nie odpowiedziały na pożegnania i powitania, wró cono znowu na „Białego Orła“, który też zaraz ruszył naprzód ku morzu, odległemu stąd już zale dwie o parę kilometrów drogi.

#### XXXIV

### W ZATOCE BAJDARACKIEJ

Odnoga morza Karskiego powiała na naszych podróżnych chłodem. Przeciwległego brzegu za toki Bajdarackiej nie można było dojrzeć. Odległy o blisko 100 km. ginął za skrzętem widnokręgu. W sonej oddali morza tu i ówdzie bielily się ja kies punkciki.



— Widzicie góry lodowe? — zawołał Staszek, wskazując na te punkciki.

Nie było żadnej potrzeby udawać się w głąb zatoki, by zobaczyć lodowe góry. Gdy ujechano na „Białym Orle“ kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż brzegów, wykrajanych tu i ówdzie w niewielkie zatoczki, przy jednej z nich ujrzano olbrzymią białą masę skalną, dokoła otoczoną wielkimi krami.

— Otóż i góra lodowa przed nami! — zawołał Stefan, stojący akurat przy sterze na pokładzie.

Na pomost wybiegli wszyscy. Ster uchwycił sam Mirski, nakazując chłopcom sondować głębokość wody i mierzyć termometrem jej temperaturę. Tej ostatniej czynności podjęła się Jadzia z bratem. Mirski polecił też jak najbardziej zwolnić bieg motorówki. Posuwano się wolniutko ku uwięzłej w zatoce lodowej ławicy, która w miarę zbliżania się, rosła w oczach do fantastycznych rozmiarów.

— Poczóż to mamy teraz mierzyć temperaturę wody? — zapytał Królicki. — Tegośmy dotąd wcale nie robili jeszcze.

— Żeby nas nie spotkał los „Titanica“, wiecie, tego największego z okrętów, który w drodze do Ameryki wpadł na górę lodową — objaśnił Tadeusz.

Sonda stale wskazywała głębokość mniej więcej 3—4 m. Zato temperatura wody stawała się coraz niższą.

— Dwa stopnie Celsjusza — mówił Kazik.

— Półtora stopnia — wołała za parę minut Jadzia.

— Już tylko stopień ciepła — odezwał się Kazik, oglądając wyciągnięty termometr samozapi-sujący.

Do góry tymczasem było z pół kilometra.

Na krach, otaczających ją, widać było wyraź-nie szereg ciemnych plam, na które początkowo nie zwrócono uwagi, ale Józek, mający najbystrzej-szy wzrok, spostrzegłszy, że niektóre się poruszają, zawołał:

— Jakieś zwierzęta widać na lodzie!

Stefan zaczął lornetować.

— To widać foki (*Phoca vitulina*)! Cała ich masa leży na krach!

Gdy nasi podróżni przybliżyli się już na jakieś 150 metrów, istotnie rozsiadłe na lodach foki za-częły zeskakiwać do wody, wydając dźwięki po-dobne do ochrypłego szczekania psów, czemu też zawdzięczają nazwę psów morskich. Oryginalne były ich ruchy. Podpierając się pierściami i krót-kiemi przednimi łapami, wyginały łukowato ciało do góry, jak gąsienice, przybliżając tylny koniec ciała ku przodowi, a potem szybko prostując i wy-rzucając naprzód tułów. Zanim motorówka przy-biła do najbliższej kry, już ani jednego z tych zwierząt nie było.

— Jaka szkoda, że nam uciekły! — rzekł Mirski.

— A coby tatuś z nimi robił? — zapytała Zosia.

— Nic. Obejrzałybyś je i wszyscy zbliśka. To ciekawe zwierzęta.

— Jakto? A dałyby się oglądać zbliska żywe?

— Naturalnie. Foki tylko w wodzie są ruchliwe i w swoim żywiole. Na lądzie czy lodzie są to zupełnie bezbronne, ślamazarne stworzenia — dodał Tadeusz.

— Trzeba się teraz bliżej przyjrzeć tym krom i samej górze — odezwał się znowu Mirski — pójdziemy po nich w kilkoro, dokąd się da, tylko weźcie broń ze sobą, bo może jeszcze po drugiej stronie góry natrafimy na foki, a może nawet i białe niedźwiedzie.

— A kto zostanie na statku? — zapytała Zosia.

— Nicby mu się tu i samemu nie stało, ale w każdym razie lepiej, żeby ktoś pozostał.

— Ja mogę zostać — odezwała się Julcia.

— To i ja z tobą — rzekła Jadzia. — Brr! Zimno tu, nie chce mi się marznąć!

Coprawda nasi podróżni już od Obdorska ciepłej się ubierali mimo czasu wiosennego, jednakże bliskość góry lodowej rzeczywiście działała chłodząco.

Za chwilę nasza gromadka ruszyła po krach ku górze lodowej, sterczącej na kilkanaście metrów o rozmiarach olbrzymiej kamienicy.

Gdy znaleziono się tuż pod górą, skrecono na lewo, by ominąć górę wybrzeżem. Nagle Mirski, idący pierwszy, zatrzymał się, a za nim wszyscy.

— Co takiego? — rozległ się szept.

— Cisza! — Mirski dał znak, żeby zachować ostrożność, poczem, schyliwszy się, zaczął posuwać się zwolna.



Okazało się, że w pobliżu brzegu o paręset kroków spoczywało kilkanaście fok. Mirski chciał im zagrozić drogę do wody i przyłapać na lądzie.

☞ Gdy już zbliżono się należycie, na znak, dany przez Mirskiego, skoczyli szybko wszyscy, zabiegając drogę zwierzętom.

Foki dopiero teraz spostrzegły niebezpieczeństwo. Rzuciły się do ucieczki i kilka z nich zdążyło dobiec do wody, w którą chlusnęły z poszczekiwaniami, reszta jednak miała drogę odciętą i zaczęła rozpaczliwie wydawać ochryple psie głosy.

Nasi podróżni zaczęli zbliżając się oglądać unieruchomione z trwogi zwierzęta, mające około  $1\frac{1}{2}$ m. długości. Podziwiano ich kształty, przystosowane do przebywania w wodzie, głaskano piękne połyskujące futerka żółto-popielatej barwy w ciemne plamy i centki. Zosia nawet próbowała dotknąć długich szczecinkowych wąsów, wyrastających tym zwierzętom z górnej wargi i służących jako najdelikatniejszy organ dotyku, ale foka parsknęła ze strachu tak, że się Zosia przestraszyła i odskooczyła z ręką czempredzej.

— Lepiej wąsów nie ruszać, bo może ugryźć— zwrócił uwagę Marczyński.

— Chociaż foki są naprawdę mięsożerne, ale karmią się tylko rybami, które łowią zręcznie w wodzie. W tym celu nawet znakomicie nurkują. Ułatwia im to zdolność powstrzymania oddechu przez parę minut, brak konch usznych i umiejętność

ność świetnego pływania z pomocą tych oto łap pletwowatych — pouczał Tadeusz.

— Cóż my teraz z nimi zrobimy? — spytał po chwili Stefan.

— A niech sobie idą do wody! — odrzekł Mirski. — Zabijać je szkoda, bo i tak nic nam z nich nie przyjdzie. Skóry z nich nie weźmiemy, tłuszczu nam nie potrzeba, mięsa nie będziemy jedli, bo tranem pachnie, a kości i błon z jelit nie potrzebujemy na nic, bo tylko Eskimosi robią z nich różne przedmioty domowego użytku.

— Warto by jednak choć jedną fokę zabrać na pokaz dla Jadzi i Julci — zaznaczył Kazik.

— No to bierzcie — pozwolił Mirski.

— Ale jak!? — zakłopotał się Kazik. I dopiero za radą Tadeusza wzięto jedną z najmniejszych fok na paski, a potem, umocowawszy na sztucznych, wspólnymi siłami zaczęto nieść ku motorówce. Ledwie nasza gromadka odstąpiła od zwierząt, te natychmiast skoczyły ku wodzie i zniknęły w jej nurtach.

Przyniesioną na „Białego Orła“ fokę, po obejrzeniu przez Królicką i Sobieniecką, próbowano nakarmić ułowionymi ale jeszcze żywymi rybami. Nie chciała jeść. Położono ją też wkońcu na krze, skąd nie kazała długo czekać na swą ucieczkę do wody.

Po tej zabawie z fokami „Biały Orzeł“, omijając ostrożnie górę i kry, ruszył dalej ku północy, odbiwszy nieco dalej od lądu. Ponieważ dalej gór lodowych nie zauważono przy brzegu, jazda zo-



stała przyspieszoną. Statek pruł wkrótce chłodne fale morza Karskiego, minął cieśninę Jugorską, wreszcie wschodnimi brzegami wyspy Wajgacz dotarło pod wieczór do Karskich Wrót.

„Biały Orzeł“ zatrzymał się tutaj w jednej z niewielkich zatok na nocleg. Po wieczerzy Mirski rozpoczął ze wszystkimi ważną naradę. Powiedział, że trzeba zdecydować, co teraz robić. Czy jechać dalej wzdłuż brzegów północnych Europy, aby dotrzeć do Norwegji, skąd już lądem możnaby udać się do Polski, czy zatrzymać się w tem miejscu, oczekując jakiegoś okrętu, zdążającego ku Europie, a na którym możnaby się wygodniej i bezpieczniej zabrać.

— A skądżeby w tych stronach akurat miały iść okręty do Europy! O ile słyszałem, jedynie wyprawy naukowe zaglądają do tych krain czasem — odezwał się Tadeusz.

— To pan nie wie, że od początku już wojny istnieje teraz stała komunikacja między Anglią a ujściem Jenisiej? — spytał Mirski.

— Skądżebym o tem mógł wiedzieć na zesłaniu!

— Mojem zdaniem — odezwał się Marczyński — nie czekać na nikogo, tylko jechać dalej i basta. Zajechaliśmy aż tutaj, to i do Hammerfestu w Norwegji dojedziemy.

— A stamtąd choćby do Gdańska! — dorzucił Stefan.

— Tak! tak! — zaczęli wołać wszyscy.

Mirski zamyślił się. W zasadzie nie był przeciwny temu, ale obawiał się zawsze możliwej



w tych stronach katastrofy. Zawszeć to jazda morzem i to oceanem Lodowatym! — to nie po Obi. Chodziło mu przecie o los wszystkich. Pragnął zresztą jak najprędzej stanąć w Polsce. A uważał, że na wielkim parowcu jakoś prędzej i bezpieczniej można to zrobić.

Po namyśle uległ ogólnemu życzeniu.

— Więc niech tam! Jedziemy jutro na pełne morze! Co ma być, to będzie!

Uradowało to wszystkich. Wieczera przeciągnęła się długo.

Nazajutrz rano śruby „Białego Orła“ pruły już Wrota Karskie. Brzegów Nowej Ziemi nie było widać, bo oddalone o pół setki km., a nizinne, nikły za szarą tonią spienionego i sfalowanego morza, usianego krami.

Po południu już, gdy spożywano obiad w pełnym ruchu statku, a przy sterze stał Stefan, usłyszano naraz przez tubę do kajuty wykrzyknięte wyrazy:

— Okręt widać!!

Skoczono na pomost. Mirski zaczął lornetować.

Wielki parowiec o trzech ziejących dymem kominach i dwu masztach z „gniazdami“ sunął w oddali na zachód.

— To statek wojenny! — rzekł po chwili Mirski. — Czyżby to jaki krążownik angielski?

Płynący parowiec zaczęli wszyscy lornetować po kolei. Spostrzeżono, że zwolna się oddala.

— Kiepsko! Odjedzie nas! — mruknął Mirski. — Chłopy! musimy dogonić ten okręt.

— Możeby wzbić się w powietrze? — poradził inżynier.

— Racja! Dalej! Rozwińmy płaty — zakomenderował — trzeba dowiedzieć się, kto jedzie. Jeżeli Anglicy, Francuzi lub ktokolwiekbądź, byle nie Niemcy, to nas zabiorą!

— A jeśli Niemcy? — spytały dziewczęta.

— To wzięliby nas do niewoli..., ale wtedy nie podpłyniemy do nich za blisko przecie... Wątpię, żeby mieli hydroplan, któryby mógł nas gonić — odrzekł Mirski.

Po kilkunastu minutach przemiana „Białego Orła“ z motorówki na samolot była skończona. Pruto powietrze wkrótce całą siłą motoru. Parowiec, z góry widoczny znacznie lepiej, stawał się coraz wyraźniejszy. Gdy zbliżono się doń na jakieś pięć km. przekonano się, że istotnie jest to krążownik wojenny.

Przez lunetę dojrzano na nim trójkolorowy szlandar Francji.

Na samolocie wywieszono zaraz banderę z Orłem Białym. Wytężonym wzrokiem wpatrywano się, czy dojrzano ich z okrętu. I, widać, dostrzeżono samolot, bo statek skręcił raptownie, kierując się przodem w stronę naszych podróżnych. Za chwilę ku swemu zdumieniu ujrzano na pokładzie krążownika biały obłoczek dymu, a za parę sekund huk wystrzału armatniego obił się o uszy.

— Co to znaczy?! — krzyknął Mirski.— Strzelają do nas!!

— Opuścić statek na wodę, a motor wstrzymać! — krzyknął inżynier do Tadeusza, stojącego przy sterze.

„Biały Orzeł“ momentalnie na dany rozkaz zaczął się obniżać. Mirski tymczasem skoczył do kajut i wezwał wszystkich na pokład, rozkazawszy stanąć możliwie najdalej jeden od drugiego przy poręczy. Poleciał też wszystkim założyć gumowe pasy bezpieczeństwa.

Po pierwszym wystrzale nastąpił wkrótce drugi i trzeci.

„Biały Orzeł“ był już może na wysokości 20 m. nad powierzchnią wody, gdy błysnął czwarty obłoczek z krążownika i coś trzasnęło straszliwie w samolocie.

Wszyscy jadący na nim stracili równowagę i poczuli, że razem ze statkiem lecą nadół.

Za chwilę nurty morza pogrążyły ich w siebie.

„Biały Orzeł“, trafiony w śmigło, upadł strzaskany w morze.

Po kilkunastu minutach zaczęła zbliżać się szybko do unoszących się na powierzchni wody naszych podróży wielka szalupa motorowa z krążownika. Naokoło pływały szczątki rozbitego samolotu. Koło kadłuba, zdawało się, nienaruszonego wcale, a unoszącego się na powierzchni, zaczęli się gromadzić wszyscy nasi znajomi. Nikogo nie brakowało. Nikt nie był uszkodzony. Tadeusz pierwszy wdrapał się na kadłub „Orła“ i zaczął wymachiwać ręką w stronę nadjeżdżających marynarzy.



## ZAKOŃCZENIE

Całą naszą gromadkę zabrano na szalupę i wzięto na pokład krążownika.

Wyjaśniło się, że na okręcie tym omyłkowo wzięto polski samolot za niemiecki hydroplan, dlatego też zaczęto doń strzelać i trafiono szrapnelem. Czerwono-białą banderę polską, niespodziewaną tutaj przez nikogo, wzięto za sztandar niemiecki, brak w nim jeszcze czarnej barwy przypisawszy zagięciu się fałd flagi.

Kapitan krążownika tego o nazwie „L'Aurore“, Vidalon, gorąco przeproszał naszych rozbitków za omyłkę i wyrządzoną mimowolnie krzywdę, winszując jednocześnie uratowania życia.

Resztki „Białego Orła“ wciągnięto na pokład krążownika. Okazało się, że i kadłub został poważnie uszkodzony wewnątrz, a maszyny o tyle nadwerżone, że niezdolne były poruszać statek. Co się dało — zabrano też z wnętrza, a sam kadłub poszedł na dno między rupiecie. Nie smuciło to jednak nikogo z naszych uratowanych, choć byli przywiązani już do swego stateczku. Jechali już spokojnie do Europy, a co najważniejsza, dowiedzieli się ciekawych nowin o Polsce.

Nawzajem nasi znajomi musieli opowiadać wszystkim swoje przygody. Wprawily one w podziw i zachwyt cały sztab krążownika, jednajac sympatje.

O wynalazku inżyniera zamilczano rozmyślnie. Mirski po naradzie ze wszystkimi polecil zachować co do tego zupełną tajemnicę, tem więcej, że motor się popsuł i nie można byłoby narazie nawet udowodnić jego oryginalnej budowy.

Po upływie dwu dni dość uciążliwej drogi ominięto w pierwszą piękną, jasną zupełnie noc północny kraniec Europy, przylądek Nordkap, sterczący stromą skałą nad morzem i zagnieżdżony milionami rozmaitego ptactwa wodnego — a na trzeci dzień przybito do norweskiego miasta Hammerfestu, położonego na wysepce, będącego najbardziej północnym portem Norwegji i całej Europy.

Ponieważ był to dzień 21 maja, a od dnia tego właśnie na tej szerokości geograficznej przez dwa miesiące słońce wcale nie zachodzi, po raz pierwszy przyglądano się temu ciekawemu zjawisku długotrwałego dnia.

Po krótkim odpoczynku „L'Aurore“ ruszyła dalej, zatrzymując się dopiero w porcie Trondjem, gdzie nasi znajomi, otrzymawszy z konsulatu francuskiego stosowne tymczasowe legitymacje, pożegnawszy się z kpt. Vidalonem i całą załogą krążownika, wysiedli, zamierzając udać się dalej koleją.

„L'Aurore“ wracała znowu na północ stróżować brzegi Europy przed niemieckimi łodziami pod-

wodnemi. Przyłączyły się do niej dwa spore kontrtorpedowce angielskie, świeżo przybyłe z postoju przy wyspach Szetlandzkich.

Z Trondjem, dawnej stolicy Norwegii, położonej nad głębokim fiordem, nasza gromadka udała się koleją do Chrystjanji — obecnej stolicy tego kraju, stamtąd do Helsingborgu w Szwecji, nad cieśniną Zund. Stąd wreszcie przeprowiono się po paru dniach do stolicy Danji — Kopenhagi.

W Kopenhadze wypadło nieco dłużej zabawić, zanim nadeszło pozwolenie na powrót do kraju od niemieckich i austriackich władz okupacyjnych w Polsce.

A gdy przyszła nareszcie chwila powrotu do Polski, radości nie było końca.

I choć nie do wolnej jeszcze Polski wracano, wierzono, że wolność wkrótce napewno zadnieje.

I zadniała po upływie roku.

Nasi chłopcy zaraz po powrocie zabrali się do nauki szkolnej, ale gdy nadeszły dni rozbijania najeźdźcy, a później walk w obronie granic, rzucili szkołę, wstąpili na ochotnika, walcząc wspólnie w obronie Lwowa początkowo, potem z bolszewikami.

Inżynier Marczyński z wynalazkiem swym udał się czempredzej do Ministerstwa Wojny, które wynalazek skwapliwie przyjęło, powierzając inżynierowi założenie i kierownictwo specjalnej fabryki motorów, o konstrukcji przez niego wynalezionej.

Mirski z Zosią oraz Julcią Królicką gospodarzył znowu w Zosinku, bo Króliccy zaraz po powrocie,



odwiedziwszy rodziców swych, osiedli na stałe u Mirskiego, który zgodnie z dawną obietnicą zaopiekował się nimi. Józek też dostał się do gimnazjum, ale w czas wojny poszedł na front razem ze Stefkiem, Kazikiem i Stasiem. Julcia uczyła się prywatnie w domu z Zosią Mirską.

Jadzia Sobieniecka wróciła na pensję w Warszawie. Tadeusz oddał się cały nauce, pragnąc uzupełnić braki, spowodowane przez długie oderwanie od świata, aby zdać jak najspieszniej egzamin na doktora filozofji. Korzystając z zaproszeń Mirskiego i Zosi, mimo nauki, znajdował czas dość często na odwiedzanie Zosinka i spędzał w nim nieraz po parę dni.

A wszyscy postanowili co rok, w rocznicę powrotu do Polski z zesłania, zbierać się stale razem, by wspominać wspólnie przeżyte chwile.

KONIEC



204



N O W O Ś Ć

WŁADYSŁAW GRZELAK

# NA WODACH NARWI I PILICY

WĘDROWKI WIOŚLARSKIE  
Z 4 ILUSTRACJAMI.

Nowa praca autora „Łódka z biegiem Wisły” (książki, poleconej, przez Komisję M. W. R. i O. P. dla bibliotek szkolnych), poprzedzona barwną historją wioślarza p. t. „Od stawu Łazienkowskiego do morza”, prowadzi nas wzdłuż dwóch największych dopływów Wisły, ukazując piękno ich brzegów, zabytki miast i przygody młodych wędrowców wodnych. Książka „Na wodach Narwi i Pilicy” jako utwór dojrzały znajdzie się niewątpliwie na półkach bibliotek szkolnych, obok swej poprzedniczki; czytać ją będą liczni zwolennicy sportu wioślarskiego w Polsce, przeczyta z zajęciem każdy miłośnik kraju.

Z GŁOSÓW PRASY: ...wszystko tchnie młodzieńczym, czystym duchem, tężyzną, umiłowaniem kraju, koleżeństwem szczerem, bratniem. Książka musi tchnąć zdrowego ducha w piersi młodzieży szkolnej, nawet tej z „powszechniaka”.

(Kurjer Warszawski 16.IV 1928)

Cena zł. 3.—, w opr. zł. 5.—

---

## NOWOŚCI DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

podziwem wprost stajemy przed gwiazdkowemi wydawnictwami Mortkowicza. Ileż w nich staranności, ile pedagogicznej myśli, jak troskliwy dobór tematów, mogących głębiej zainteresować”. (Epoła).

ZOFJA ŻURAKOWSKA

## PÓJDZIEMY W ŚWIAT

(Z cyklu: „Dobre książki dla młodzieży”).

Jestto napół żartobliwa, napół rzewna opowieść o letniej włóczędze ojca córeczki po różnych kątach i wertepach naszego kraju. Opowieść pełna dowcipu, humoru i sentymentu, przeniknięta najpiękniejszym idealizmem. W czasach tak wielkiego zmaterializowania młodzieży dobrze będzie i zdrowo dać ją do ręki naszym dziewczynkom i chłopcom...

(Marja Dąbrowska w „Kobiecie Współczesnej”).

Cena dwóch części brosz. zł. 2.—, kart. 3.—, razem opr. w pl. 5.—

# NOWOSCI DLA MŁODZIEŻY

OSKAR WILDE

## BAJKI

- Tom I: URODZINY INFANTKI  
— II: PRAWDZIWY PRZYJACIEL  
— III: RYBAK I JEGO DUSZA

(Z cyklu: „Dobre książki dla młodzieży“).

Trzy tomiki prześlicznych opowiadań wielkiego pisarza angielskiego doczekały się III-go wydania. Czarują zawsze na nowo wdziękiem i poezją swej fantazji.

Cena każdego tomiku zł. 1.—, w kart. 1.50, razem opr. w pł. 6.—



BENEDYKT HERTZ

## HENRYŚ

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY

(Z cyklu „Dobre książki dla młodzieży“).

Piękna, wzruszająca powieść, której niezwykle żywa akcja rozgrywa się podczas ubiegłej wojny, doczekała się drugiego, przejrzanego i poprawionego przez autora, wydania.

Dwie części po zł. 1.—, w kart. po zł. 1.50.

Razem oprawne w karton zł. 4.—



TADEUSZ DYBCZYŃSKI

## W POPRZEK SYBIRU

POWIEŚĆ PODROŻNICZA

(Z cyklu: „Dobre książki dla młodzieży“).

W zasobnym już w pierwszorzędne utwory cyklu p. t. „Dobre książki dla młodzieży“ ukaże się ciekawa powieść Tadeusza Dybczyńskiego, złożona z pięciu części. Tematem jej są przeżycia trzech harcererek i czterech harcerzy polskich, ewakuowanych podczas wojny na Syberję.

Cena każdej części po zł. 1.—, w kart. po 1.50.

Razem oprawne w płótno zł. 8.—



# KSIĄŻKI JANUSZA KORCZAKA

---

---

BANKRUCTWO MAŁEGO DŻEKA

brosz. zł. 3.60

w opr. pł. zł. 6.—

DZIECKO SALONU

brosz. zł. 2.— w kart. zł. 2.50 w opr. pł. zł. 5.—

JAK KOCHAĆ DZIECI

cz. I wyczerpana, cz. II zł. 1.20, cz. III zł. 1.20

JÓŹKI, JAŚKI I FRANKI

w kartonie zł. 3.50

KIEDY ZNÓW BĘDĘ MAŁY

brosz. zł. 4.50

w opr. pł. zł. 7.50

KRÓL MACIUŚ PIERWSZY

brosz. zł. 3.60

w opr. pł. zł. 6.—

KRÓL MACIUŚ NA WYSPIE BEZLUDNEJ

brosz. zł. 3.60

w opr. pł. zł. 6.—

MOŚKI, JOSKI I SRULE

w kartonie zł. 3.50

S Ł A W A

w kartonie zł. 3.—

BEZWSTYDNE KRÓTKIE

zł. 1.—

SAM NA SAM Z BOGIEM

zł. 0.80

w opr. zł. 1.80

## S k a r b y

Powieść dla młodzieży

Cena brosz. zł. 4.—; w opr. kart. zł. 6.—; płóc. zł. 7.—

„Wśród autorek piszących dla młodzieży przybywa nam talent pierwszorzędny. Książka przeczyta w intencji jest opowieścią z życia młodzieży na wsi podolskiej, opowiedzianą z takim rozmachem, z humorem, i równocześnie z rzewnością, że się ją czyta z prawdziwym wzruszeniem. Towarzyszy mu niezwykle podziw, że nieznaną nikomu autorka posiada taką biegłość pióra, piękność i prostotę stylu, i taki doskonały umiar we wszystkim”

K. Małuszyńska.

## P o ż e g n a n i e   d o m u

Powieść dla młodzieży

Cena brosz. zł. 4.—; w opr. kart. zł. 6.—; płóc. zł. 7.—

„Powieść Żurakowskiej jest właściwie przepół dziecinną powieścią. Mogą i powinni ją czytać także starsi. Jestto dzieło bystrego talentu obserwacyjnego i jeśli nie dokument to w każdym razie dokument epoki. W dworze wołyńskim, zdala od traktu, przeżywa wojnę i wielką rewolucję bolszewicką garstka dzieci, oczywiście ze starszymi, ale dzieci tu rzecz główna. Nastroje doskonale pochwycione, charakter dzieci wybornie rysowane”.

(A. Zagórski w Kurj. Poran.)

---

I. K. IŁŁAKOWICZ

## R y m y   d z i e c i ę c e

ilustracje Zofji Stryjeńskiej

Cena zł. 4.—

„Prześliczne wierszyki wielkiej poetki w połączeniu z prześlicznymi rysunkami wielkiej malarki czynią z tej książki prawdziwe arcydzieło”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

D O B R E K S I A Ź K I  
D L A M Ł O D Z I E Ż Y

SERJA PIERWSZA:

I

*Marja Dąbrowska*

M A R C I N K O Z E R A.

II

*Janusz Korczak*

F E R A L N Y T Y D Z I E Ń.

III

*Zofja Żurakowska*

T R Z Y S R E B R N E P T A K I.

IV

*Marja Dąbrowska*

P R Z Y J A Ź Ń.

V—VI

*Agot Gjems-Selmer*

N A D D A L E K I M C I C H Y M F J O R D E M.

VII—VIII

*E. Nesbit*

P R Z Y G O D Y M Ł O D Y C H B A S T A B L Ó W.

IX—XI

*Dr. E. Candéze*

P R Z Y G O D Y Ś W I E R S Z C Z A.

XII

*Zofja Żurakowska*

G O Ś Ć Z A M E R Y K I.

CENA POJED. KSIĄŻKI ZŁ. 1. W OPR. KART. 1.50  
CAŁEJ SERJI PIERWSZEJ ZŁ. 10. W OPR. KART. 16.



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

D O B R E K S I A Ź K I  
D L A M Ł O D Z I E Ż Y

SERJA DRUGA:

*Juljusz Słowacki*

WYBÓR UTWORÓW DLA MŁODZIEŻY.

*Zofja Żurakowska*

PÓJDZIEMY W ŚWIAT

DWIE CZĘŚCI.

*Oskar Wilde*

URODZINY INFANTKI

OPOWIADANIA.

*Oskar Wilde*

PRAWDZIWY PRZYJACIEL

OPOWIADANIA.

*Oskar Wilde*

RYBAK I JEGO DUSZA

OPOWIADANIE.

*Benedykt Hertz*

HENRYŚ

*Tadeusz Dybczyński*

W POPRZEK SYBIRU

POWIEŚĆ PODRÓŻNICZA.

Dalsze tomiki serji drugiej w przygotowaniu.

Cena po zł. 1. —. W oprawie kartonowej 1.50

# Z G Ł O S Ó W P R A S Y

---

---

## O „DOBRYCH KSIĄŻKACH DLA MŁODZIEŻY“.

„Porządkowanie wewnętrznego życia polskiego, połączone z stopniowym zaspokajaniem jego najróżnorodniejszych potrzeb, ogarnia na szczęście takie nawet dziedziny, do jakich należała od niedawna sprawa czytelnictwa dla młodzieży. Karmiona przez kilka lat powojennych tandetną albo wręcz szkodliwą „literaturą“ sensacyjnych, kolorowych okładek, młodzież odwykać poczyniała od dobrej i wartościowej książki, niosącej w sobie zdrowy pokarm dla kształcących się serc i umysłów.

Jednym z podjętych ostatnio, a zasługujących na uznanie i poparcie, wysiłków, zmierzających do zaopatrzenia rynku księgarskiego w artystyczną, pożyteczną, a przytem tanią książkę dla młodzieży— jest wydawnictwo warszawskiego Towarzystwa Wydawniczego (J. Mortkowicza), dające dwa razy na miesiąc wartościowy, estetyczny i tylko 1 złoty kosztujący tomik pióra wybitnych pisarzy polskich i obcych. A pióra to nie są bynajmniej przygodne i na chybił-trafił wybierane, lecz — przeciwnie — należące do autorów, którzy obok wysokich i niewątpliwych uzdolnień literackich, posiadają głęboką znajomość duszy dziecięcej i świadome a gorące pragnienie służenia jej dążeniom w sposób jak najszlachetniejszy.

(Bolesław Dudziński w „Kur. Łódz.“)

# DOBRE KSIĄZKI DLA MŁODZIEŻY

WYDAWNICTWO PERJODYCZNE

- Marja Dąbrowska.* MARCIN KOZERA.  
*Janusz Korczak.* FERALNY TYDZIEŃ.  
*Zofja Żurakowska.* TRZY SREBRNE PTAKI.  
*Marja Dąbrowska.* PRZYJAŹŃ.  
*Agot Gjems-Selmer.* NAD DALEKIM CICHYM  
FJORDEM.  
W przekł. J. Mortkowiczowej. 2 części.  
*E. Nesbit.* PRZYGODY MŁODYCH  
BASTABLÓW. 2 części.  
*Dr. E. Candéze.* PRZYGODY ŚWIERSZCZA  
W przekł. W. Haberkantówny. 3 części.  
*Zofja Żurakowska.* GOŚĆ Z AMERYKI.  
W serji drugiej ukazały się:  
*Juljusz Słowacki.* WYBÓR UTWORÓW  
DLA MŁODZIEŻY.  
*Zofja Żurakowska.* PÓJDIEMY W ŚWIAT. Dwie  
części.  
*Oskar Wilde.* URODZINY INFANTKI.  
— PRAWDZIWY PRZYJACIEL  
— RYBAK I JEGO DUSZA.

---

Cena pojedynczego tomu Zł. 1.—, w opr. kart. Zł. 1.50.



# KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

	Zł gr
<i>Lazarusówna F.</i> Moja Gromadka. Opow. dla dzieci . . .	2.—
— Złoty pokoik . . .	2.—
<i>Lubicie dzieci bajki o kwiatach?</i> Parawanik dla dzieci . . .	1.20
<i>Leśmian B.</i> Przygody Sindbada żeglarza . . . kart.	4.20
<i>Markowska M.</i> Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę... Powieść historyczna . . .	3.—
<i>Molnar.</i> Chłopcy z placu broni. Powieść dla młodzieży . . .	4.—
<i>Morkowiczowa J.</i> Przygoda w lesie. Bajki dla dzieci . . .	—.—
— Radosny dzień. Książka dla dzieci . . .	2.—
— Stacho. Powieść . . .	—.—
— Zaczarowana wyspa. Bajki dla dzieci. . .	—.—
— Z naszej szkoły. Opow. o tem, jak dzieci pracują . . .	—.—
— Z naszej szkoły Serja druga . . .	3.—
<i>Morkowiczowa J. i Sempotowska S.</i> W pamiętnym roku wojny. Książka zbiorowa dla mł. Ilustr. S. Norblina . . .	5.—
<i>Morkowiczówna H.</i> Dzień Krysi. Wierszyki dla małych dzieci. Z ilustr. autorki . . .	1.20
— Dzień Jędrusia. Wierszyki dla małych dzieci. Z ilustr. autorki . . .	1.50
<i>Nałkowska Z.</i> Moje zwierzęta. Ilustr. C. Aldina . . .	3.50
<i>Nesbit E.</i> Poszukiwacze skarbu. Pow. dla młodzi. kart.	4.—
<i>O Janku Marynarzu.</i> Z obrazkami dla małych dzieci. . .	4.20
<i>Orsza H.</i> Na ziemi polskiej przed wielu laty . . . kart.	3.50
<i>Ostrowska Br.</i> Książeczka Halusi. . . . .	4.20
<i>Plutarch Polski.</i> Hugo Kołłątaj przez B. Limanow- skiego	
— Tadeusz Kościuszko . . . " " " . . .	} a kart. 3.—
— Walerjan Łukasiński . . . " " " . . .	
— Stanisław Staszic . . . " " " . . .	
— Romuald Traugutt . . . " " " . . .	
<i>Przyjaciele Zucha.</i> Książka obrazkowa dla małych dzieci . . .	2.—
<i>Rogosz-Walewska J.</i> Mały gospodarz. Książka dla dzieci . . .	2.—
<i>Rogosówna Z.</i> Dziecinny dwór. Powieść . . .	—.—
— Kolorowe Bajeczki, z ilustracjami Józefskiej . . .	5.—
— Pisklęta. Nowele. Wydanie nowe brosz. 1.60 kart 3.50 opr. 4.50	4.50
<i>Stoński Ed.</i> Jak to na wojence... Książka dla dzieci. . .	—.—
<i>Szarzyński J. E.</i> W Karpatach. Powieść dla młodzieży . . .	3.50
<i>Szczęśny A.</i> Kolorowe okienko. Bajki dla dzieci. . .	—.—
— Pieśń białego domu. Książka dla młodzieży . . .	3.50

NAKLAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO  
w WA A. WIE, Mazowiecka 12. Tel. 244-14.

# KSIAŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

	Zł gr
<i>Aanrud H.</i> Historia o Ceai sierotce . . . . .	3.50
<i>Andersen.</i> Baśnie. Z ilustracjami E. Dulaca. . . . .	30.—
— Królowa śniegu " " " . . . . .	10.—
— Ogród rajski " " " . . . . .	10.—
— Opowiadanie wiatru " " " . . . . .	10.—
<i>Barrie.</i> Przygody Piotrusia Pana. Z ilustr. A. Rackhama . . . . .	30.—
<i>Bim-bam-bum.</i> Parawanik dla dzieci . . . . .	1.20
<i>Bobińska H.</i> O szczęśliwym chłopcu. Pow. dla młodzieży . . . . .	5.—
<i>Candèze E.</i> Przygody świeracza. Powieść przyrodnicza dla młodzieży . . . . .	3.—
<i>Choromański L.</i> Dziwne przygody. Op. dla małych dzieci . . . . .	3.50
<i>Dąbrowska M.</i> Dzieci Ojczyzny. Opowiadanie historyczne dla młodzieży . . . . .	4.—
— Umiech dzieciństwa. Op. dla starszej młodzieży . . . . .	1.60
kart. 3.50 opr. pł.	4.50
<i>Demolder.</i> Serce ubogich. Tłom. J. Mortkowiczowa . . . . .	—.—
<i>Eeden Van.</i> Mały Janek. Książeczka dla dzieci . . . . .	—.—
<i>Ernst.</i> Historia młodego życia. Pow. dla mł. 2— kart. . . . .	3.50
<i>Filipkiewicz F.</i> Sztuka dla dzieci. Teka zawierająca sześć barwnych obrazków . . . . .	—.—
<i>France Anatol.</i> Na kwiaty. Książeczka dla dzieci . . . . .	—.—
— Zazulka. Opowiadanie dla młodzieży . . . . .	—.—
<i>Gąsiorowska N.</i> Książę Józef . . . . .	2.50
<i>Geijerstam G.</i> Moi chłopcy. Powieść . . . . .	3.50
<i>Hertz B.</i> Henryś. Powieść . . . . .	—.—
— Przygody Magdusi. Powieść dla dzieci . . . . .	—.—
<i>Jabczyński F.</i> U stóp Partenonu. Op z dziej. Grecji dla mł. . . . .	3.—
<i>Jak to na wsi bywa.</i> Książka obrazkowa dla dzieci . . . . .	1.60
<i>Korczał J.</i> Bankructwo małego Dżeka. Pow. 3.60, opr. pł. . . . .	6.—
— Józki, Jaśki i Franki . . . . .	3.50
— Król Maciuś Pierwszy. Powieść . . . . .	5.60 opr. pł. . . . .
— Król Maciuś na wyspie bezludnej. Pow. 3.60 opt. pł. . . . .	6.—
— Mośki, Joski i Srule . . . . .	3.50
— Sława. Opowiadanie dla młodzieży . . . . .	3.—
<i>Lagerlöff Selma.</i> Cudowna podróż. Cz. I, II i III opr. pł. po . . . . .	6 —
Część I—III opr. pł. razem	15.—
— Wspomnienia. Zebrała i przeł. J. Mortkowiczowa . . . . .	2.—
w sprawie	3.50

NAKLAD TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO  
w WARSZAWIE, Mazowiecka 12. Tel. 244-14.



Biblioteka Główna UMK



300041767609